WIOSNA ARTYSTYCZNA

KONRAD FREJDLICH

ZNOWU WIOSNA...

DZIEŁO SZTUKI ZA ROLKĘ PAPY

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 22 (1016)
29 MAJA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

REKONESANS

7 i 8 maja 1977 roku z inicjatywy Komitetu Dzielnicowego PZPR — Górna i Aeroklubu Łódzkiego odbył się w Łodzi IV Zwiad Lotniczo-Dziennikarski. Rezultatem tego zwiadu są reportaże. Publikujemy dwa z nich: Wiesława Machejki „Navigare necesse est..." i Mirosława Kuźniaka „Na ziemi i w powietrzu".

Dalszy ciąg na str. 8 i 9

DLA NAS I DLA DOMU

BOGDA MADEJ

DREWNO, KTÓRE GNIE SIĘ JAK GUMA

Z okazji wystawy mebli duńskich, jaka odbyła się niedawno w Warszawie, padło wiele zachwytów nad prostotą tamtejszych mebli, które produkowane są już nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat. Powodem takich zachwytów było też zwykłe, proste krzesło. Przy tej okazji można było się przekonać, że stare powiedzenie: „cudze chwalimy, swego nie znamy, sami nie wiemy, co posiadamy", jest nadal aktualne.

— **Nasze krzesła** — powiedział kierownik działu zbytu w fabryce mebli w Radomsku, Jerzy Urbański — **w wielu krajach są uznawane za meble stylowe. A sprzedajemy je do USA, Szwecji, Francji, RFN, Kanady, Japonii nawet. Na rynku krajowym natomiast nie cieszą się taką popularnością.**

Krzesła gięte produkuje się w Radomsku od 100 lat. W latach siedemdziesiątych XIX wieku bracia Thonet kupili stary młyn i założyli w nim fabrykę krzeseł giętych. Były to czasy, kiedy Rosja carska ustanowiła wysokie cło na towary importowane, ale to wysokie cło nie dotyczyło towarów produkowanych w dawnej Kongresówce. Tu można było znaleźć tanią siłę roboczą, nie było kłopotów z surowcem, a i rozbudowa sieci linii kolejowych sprzyjała rozwojowi przemysłu.

Tradycje meblarskie przetrwały w Radomsku pierwszą wojnę światową. Już w Polsce niepodległej powstała w Radomsku druga fabryka mebli giętych „Mazovia" i następna, która dziś jest zakładem nr 3 **ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU MEBLARSKIEGO im. Gwardii Ludowej w Radomsku.** Tutaj właśnie, na przestarzałym parku maszynowym, produkuje się krzesła gięte. Jak z tego widać tradycja przetrwała również drugą wojnę światową.

Dalszy ciąg na str. 6

REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

STREFA CISZY, ZMOWA MILCZENIA

Życie raz po raz potwierdza regułę... Jeśli pisarz i w ogóle jakikolwiek artysta decyduje się opuścić Łódź, to niewątpliwie po to, żeby spróbować szczęścia w Warszawie. Jest to chyba naturalna kolej rzeczy; na stołecznym bruku znaleźć można twórców wielkich, średnich i małych; takich, którym się powiodło i takich, którzy ponieśli klęskę; jednakże wszyscy oni, z dolin i gór, uchodzą w oczach prowincji za coś lepszego.

Nikt po nich nie ronił łez, nie usychał z tęsknoty; raczej zawiść — urwali się, trafili w bezpośrednie sąsiedztwo ołtarza; namiar bezbłędny; wcześniej czy później bęben losu podsunie każdemu wygraną.

Życie raz po raz potwierdza regułę... Ale każda reguła ma wyjątki. Taki Zbigniew Nienacki na przykład... Dziesięć lat temu pomylił kierunek.

Kondensat rozmowy kawiarnianej z tamtych czasów:

— **No, a co tam u Nienackiego?**
— **Wyprowadził się.**
— **Do Warszawy?**
— **Na Mazury.**
— **Olsztyn?**

Dalszy ciąg na str. 5

POLEMIKI

„Wziąć zadek w garść“

Paremiologia jest dziedziną nauki, która zajmuje się gromadzeniem, objaśnianiem i krytycznym opracowaniem przysłów. Pluralizm z kolei zakłada istnienie mnogości bytów, które nie dają się sprowadzić do jednej realności. Ostatnio wszakże okazało się, że podobne założenie filozoficzne nie ma najmniejszego sensu. Tego wiekopomnego odkrycia dokonał dr **Jerzy Tynecki** z Uniwersytetu Łódzkiego —poeta, krytyk a przy tym pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Filologii Polskiej. Wyniki żmudnych badań ogłosił w miesięczniku **„Poezja”**, który choć ma charakter literacki udowodnił przecież tym samym, że i sciencja nie jest mu całkiem obca, chyba w myśl głośnej maksymy Terencjusza: „Homo sum...”. [1]) Co prawda **„Poezja”** umieściła przezornie elaborat dra Jerzego Tyneckiego w pubryce **„Punkty widzenia, starcia, koncepcje”** [2]) odmawiając mu tym samym zdecydowanie naukowego charakteru i sugerując raczej dyskusyjne podejście do tematu, ale wydaje się to być krzywdzące dla pełnych filozoficznej zadumy ustaleń badacza.

Na samym wstępie nasz autor stwierdza, że **„co najmniej od czasów „Literatury Łodzi w ciągu jej istnienia” Ludwika Stolarzewicza (1935) literatów łódzkich traktuje się niehierarchicznie”**. Ktokolwiek żył czy był w tym mieście, a parał się piórem, otrzymuje jednaką wzmiankę u potomnych.

To śmiałe stwierdzenie każe mi powątpiewać czy dr Jerzy Tynecki widział kiedykolwiek książkę, która posłużyła mu jako przesłanka do charakterystyki środowiska literackiego Łodzi, czego dokonuje parafrazując Daniela Ropsa — „nic dobrego z Nazaretu”. Można bowiem Ludwikowi Stolarzewiczowi zarzucić brak metody krytycznej (co jest niestety i dziś spotykanym grzechem[3]), nie można mu jednak odmówić krytycznego podejścia do omawianych zjawisk, a to wcale nie to samo. Jerzy Tynecki stawia tu jednak zdecydowany znak równania po to tylko, aby z furią zaatakować publikacje nie wolna wprawdzie od błędów i luk, ale stanowiąca, jak do tej pory, najpełniejszą krytyczno-literacką wypowiedź o poetach działających w Łodzi w okresie trzydziestolecia powojennego. **„Rzecz Poetycka. Środowisko”** [4]) jest dla dra Jerzego Tyneckiego tylko ideałem pluralizmu, który **„dosięgnął druku”**. Jak się zresztą przekonamy, albo nie rozumie on terminu pluralizm, albo tylko udaje, że nie rozumie dla jemu tylko wiadomych celów.

Ale skoro już tak się stało, że **„ideał sięgnął bruku”** [5]) Jerzy Tynecki robi wszystko, aby nie tylko książkę, ale przy okazji całe środowisko splugawić i zetrzeć na proszek. W myśl tej zasady **Jan Czarny**, którego utwory drukowane są w almanachach światowej poezji, to zaledwie **„przekaziciel wrażeń”. Tadeusz Chróścielewski** to ledwie **„uzdolniony stylizator”**, który **„często odwołuje się do konceptów pisarzy znanych z historii literatury”**. Przy okazji dostaje się **Ziemowitowi Skibińskiemu**, który na kartach **„Rzeczy Poetyckiej”** rzekomo zestawia Tadeusza Chróścielewskiego z Johanem Huizingą, chociaż naprawdę porównuje on tylko postawę poety z thulrem, ale dla dra Jerzego Tyneckiego to wszystko jedno. [6]) Wie przecież, czemu daje wyraz na łamach **„Poezji”**, że Ziemowit Skibiński posiada niedostateczną znajomość literatury, aby oceniać wzorce stylizacyjne. A skąd wie? Z odkrywczego: **„że kulturoznawców, jak wiadomo, nie sieją”**. Chciałoby się zakrzyknąć już dla samej kontestacji: jaka szkoda, że sieją doktorów!

Kolejną porcję razów wymierza dr Jerzy Tynecki **Jerzemu Poradeckiemu.** Zrazu szczypie go tylko epitetem **„krytyk silnego temperamentu”**, aby zauważyć już po chwili, że jego oponent **„wpadł w pasję paremiotyczną tworząc nowoczesną wersję porzekadła „ni przypiął, ni wypiął”.** Innymi słowy wszystko, co pisze Jerzy Poradecki o **Jarosławie Marku Rymkiewiczu** nie trzyma się kupy i dopiero dr Jerzy Tynecki ukaże nagą prawdę o trutniu, który narzucił sobie **„galerniczy trud wierszopisania”.** Jest w tym wprawdzie sprzeczność, bo trutnie, jak chcą ludowe gadki, trudzić się nie lubią, ale ostatecznie Jerzy Tynecki zrobił doktorat z filologii a nie nauk przyrodniczych, więc winno mu to być odpuszczone, gdyby nie mały donosik. Bo oto dowiadujemy się nagle, że **„kontestacja rodzi się z cwaniactwa”** (wciąż o J. M. Rymkiewiczu), a przy tym przewrotna pochwała (wciąż o J. M. Rymkiewiczu): **„dobrze zrobi dając do zrozumienia, że w trakcie tej morderczej roboty przebywa na emigracji wewnętrznej”.** [7]

Znacznie jednak ciekawsze będzie zastanowić się, gdzie przebywał dr Jerzy Tynecki pisząc o **„melinie poetyckiej” Jerzego Wilmańskiego** i o samogonie z fuzlem? Ten wyszukany język krytyczny wskazuje w każdym razie na szczególny rodzaj skojarzeń, którego bym na przyszłość nie polecał w pracy dydaktycznej, bądź co bądź, w środowisku młodzieży akademickiej. Już chyba lepiej, gdy surowo zganiony **Grzegorz Gazda,** pisząc o poezji Jerzego Wilmańskiego, jak chce dr Jerzy Tynecki, **„nabrał cytrynady w usta”.**

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Z właściwą sobie skromnością dr Jerzy Tynecki określił siebie jako prawdziwego zwolennika a nawet wyznawcę **„diltheyowskiej humanistyki rozumiejącej”** [8]). W związku z tym proponuje **„tylko takie pojmowanie poety, by wydał się ciekawszy niż jest”.** Wobec kogo? Odnoszę wrażenie, że to tylko Jerzy Tynecki chce się wydać ciekawszym w oczach czytelnika **„Poezji”** niż jest w rzeczywistości jako autor tomiku wierszy **„Prometeusz schorowany”.** [9]).

Ten tytuł tłumaczyć nam może zgorzknienie poety-krytyka, choć jest sprzeczny z moimi własnymi poglądami na poezję, która, powtarzam to za Julianem Przybosiem, nie przestała jednak być **„prometejskim szturmem humanistycznym”.** Różnię się także z dr J. Tyneckim w poglądach na pluralizm, choć dokonał rzeczy niezwykłej: udowodnił przecież, że mnogość bytów da się sprowadzić do nicości. Ta nicość jest oczywiście w Łodzi, gdzie prowincja chce wkroczyć **„w świat kultury otwartej”.** A **„wszystko dzięki temu, że Uniwersytet Łódzki po trzydziestu latach wreszcie reprodukuje sam siebie”.**

Co Tynecki osiągnął tym stwierdzeniem? Tym zbiorem zjadliwych przeinaczeń, epitetów, pomówień? Odpowiedzi poszukajmy w paremiologii, w której dr Jerzy Tynecki zdaje się lubować. Otóż najwybitniejszy w Polsce przedstawiciel tej dyscypliny prof. **Julian Krzyżanowski** w następujący sposób wykłada znaczenie paremii **„Wziąć zadek w garść”** [10]):

„Na schyłku wieku XIX w owoczesnej Galicji mawiało się o kobiecie, której nie udało się załatwić tej czy innej sprawy, tak że odejść musiała z niczym, a raczej z obrażoną miną: „Wzięła dupę w garść i poszła”.

I to chyba wszystko.

KONRAD FREJDLICH

PS. Niniejszym składam serdeczne podziękowanie panu dr Jerzemu Tyneckiemu za uwagę, że moja legenda biograficzna „ustępuje na razie (zresztą, jak gdzie) legendzie Stasinka Sierosławskiego”. Postaram się poprawić, ale dopraszam się o pamięć.

K.F.

1) Publius Terentius Afer jest autorem jeszcze jednej maksymy: „Suus cuique mos” (Każdy ma swój obyczaj).

2) Jerzy Tynecki: „Rymkiewicz wobec Heraklita (O pluralizmie i paremiologii)”. „Poezja” nr 4 z 1977 r. str. 115—118.

3) Jerzy Tynecki: „Progi uniwersalizmu na przykładzie „Starej pijalni” w: „Rzecz Poetycka. Środowisko”, Łódź 1975. Nasz naukowiec pisze nam np. o autorze ponad dziesięciu tomów wierszy: „Także dla Jana Huszczy, którego uderzyło, gdy znalazł się w 44 roku na Lubelszczyźnie że chłopi tamtejsi mówią wyłącznie po polsku”, Jest to nie tylko oburzający fałsz, ale swoista metoda krytyczna, której moralną ocenę pozostawiam Czytelnikom.

4) Dr Tynecki uporczywie pisze „Rzecz poetycka”, jakby nie wiedział że chodzi o periodyk ukazujący się od 20 lat.

5) Tak u Norwida, bo jego to chyba parafrazuje dr Tynecki, chociaż sądząc po nierzetelności cytatów może „bruk” rzeczywiście pomylił mu się z „drukiem”.

6) W szkicu „Fetysz historii i homo ludens” Ziemowit Skibiński napisał: „Wzór takiej postawy sięga czasów zamierzchłych. Johan Huizinga w „Homo ludens” pisze o występującym często w literaturze staroskandynawskiej thurlu: „Thurl jest szafarzem wszelkiej wiedzy mitologicznej i wszelkich tradycji poetyckich. Jest mądrym starcem znającym historię i tradycję wiodącym słowo przy uroczystych okazjach, umiejącym wyprowadzić genealogię bohaterów i arystokracji”.

7) Podkreślenie moje — K. F.

8) Wilhelm Dilthey: „Gesammelte Schriften” tt 1—12, Lipsk-Berlin 1913—1936.

9) Łódź, 1963.

10) Julian Krzyżanowski: „Mądrej głowie dość dwie słowie. Pięć centuryj przysłów polskich i diabelski tuzin” Warszawa 1975, tom III str. 207.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

Jury Ogólnopolskiego Konkursu na Nowelę Filmową o Tematyce Współczesnej zorganizowanego przez Redakcję „Głosu Robotniczego”, Zespół Filmowy „Profil” oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi w składzie: **Jerzy Wawrzak** (przewodniczący), **Wojciech Ekiert, Stanisław Kuszewski, Jan Pakuła, Bohdan Poręba, Jadwiga Wendorff, Jacek Zaorski** (członkowie) po rozpatrzeniu 92 nadesłanych prac postanowiło przyznać następujące nagrody:

II nagrodę w wysokości 20 tys. zł — **WŁADYSŁAWOWI MACHEJKOWI** za pracę pt. „Historia nie z tej ziemi”.

III nagrodę w wysokości 15 tys. zł — **RYSZARDOWI GONTARZOWI** za pracę pt. „...a ludzie żyli dostatniej”

oraz 6 wyróżnień po 10 tys. zł:

Ninie KRACHEROWEJ — za pracę pt. „Temat do reportażu”

Janowi ŁYSAKOWSKIEMU — za pracę pt. „Coraz krótsze dni”

Mirosławowi MANKIEWICZOWI — za pracę pt. „Dezerter”

Edmundowi NIZIURSKIEMU — za pracę pt. „Nominacja”

Jerzemu SZCZYGŁOWI — za pracę pt. „Papuzia choroba”

Tomaszowi TRYZ''IE — za pracę pt. „Chłopiec w jajku”

Jury wysoko oceniło wartości artystyczne i ideowe nadesłanych prac, uznając że konkurs spełnił oczekiwania organizatorów. Kierownictwo Zespołu Filmowego „Profil” postanowiło zakupić prace nagrodzone i wyróżnione oraz szereg prac nie wyróżnionych nagrodami. Pokłosiem konkursu będzie również tom wybranych nowel filmowych, które opublikuje Wydawnictwo Łódzkie.

O terminie wręczenia nagród uczestnicy konkursu zostaną powiadomieni indywidualnie.

IMPREZY

Jedną z ciekawszych, a bodaj czy nie najciekawszą formą pracy kulturalno-oświatowej jest spotkanie z pisarzem. Stąd też coraz częściej organizowane wieczory autorskie w klubach, świetlicach, szkołach czy zakładach przemysłowych. Przodują tu jednak biblioteki. I nic w tym dziwnego.

Przedmiotem dyskusji na spotkaniach autorskich bywają zagadnienia literackie, kulturalne, nierzadko polityczne i społeczne. Pytania kierowane pod adresem pisarza jakże często przekraczają ramy jego książek, zbaczają na aktualne realia codziennego życia. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się osoba twórcy. Czytelnik chce poznać szczegóły biografii pisarza, chętnie słucha wspomnień i anegdot, potrafi swoimi pytaniami wprawić w zakłopotanie. Fascynuje go osobowość jak i proces twórczy. Chciałby się dowiedzieć jak się pisze książkę lub wiersz i dlaczego się pisze. Jak powstaje pomysł na utwór literacki, czym piszący kieruje się wybierając ten, a nie inny temat i czy możliwe jest ustalenie kryterium właściwego wyboru. Emocjonalny stosunek do czytanego dzieła powoduje często zatarcie różnic

SPOTKANIA Z PISARZEM

między rzeczywistością a fikcją, stąd pytania o granice między tym, co prawdziwe i wymyślone przez autora.

O zainteresowaniu warsztatem twórczym pisarza świadczy chociażby fakt znikania z księgarń kolejnych wydań „Alchemii słowa” Jana Parandowskiego. Problematyka warsztatu poruszana jest na każdym niemal spotkaniu autorskim

Własna twórczość pisarza jest najpopularniejszym, choć nie jedynym tematem spotkania autorskiego. Zainteresowaniem czytelników cieszą się opowieści i wrażenia z odbytych podróży, zwłaszcza do krajów dalekich i egzotycznych. Natomiast problematyka współczesnych kierunków literackich, do poruszania której osoba twórcy wydaje się najbardziej predestynowana, znajduje uznanie jedynie wśród bardziej oczytanej i przygotowanej publiczności. Różnorodność tematyczna spotkań autorskich jest ogromna.

Popularyzacja i udostępnianie książki, upowszechnianie czytelnictwa i kształtowanie nawyków czytelniczych to podstawowe zadania stojące przed biblioteką publiczną. Wśród różnych form działalności popularyzującej bibliotekę w środowisku, najwięcej trudności organizacyjnych sprawiają spotkania autorskie. Organizowane są najczęściej w dużych ośrodkach miejskich, gdzie stosunkowo łatwo nawiązać współpracę z literatem i zaprosić go na spotkanie z czytelnikami. Natomiast zapotrzebowanie na tego rodzaju imprezy występuje przede wszystkim w środowiskach małomiejskich, peryferyjnych. Efektem spotkania z pisarzem jest uaktywnienie czytelnictwa, tak poprzez wzrost liczby wypożyczeń jak i nowe zapisy do biblioteki. Nie zawsze są to fakty wymierne, znajdujące odbicie w danych statystycznych, gdzie, jak wiadomo, działają prawa wielkich liczb.

Jest to również okazja otrzymania książki podpisanej przez autora lub zaopatrzonej w dedykację. Cenną pamiątką, materialnym śladem obecności pisarza są dedykacje i wpisy do egzemplarzy bibliotecznych. Ale to już zupełnie inny temat.

MAREK CZECHOWSKI

MUZYKA

MISSA SOLEMNIS

Nastrój uroczysty, bardziej może niż przed operową premierą. Na scenie w pełnej gali orkiestra, wraz z nią prawie osiemdziesięcioosobowy chór. Moment oczekiwania i oto pojawiają się soliści. Jest też dyrygent. Zdecydowanym akordem rozpoczyna się Kyrie...

Na trzy kolejne wieczory — 7, 8 i 10 maja — łódzki Teatr Wielki porzucił bieżący repertuar operowy, by przedstawić słynną beethovenowską Missę Solemnis. Piękny zamysł: zaprezentowanie tej kompozycji to nie tylko dar dla słuchaczy rozsmakowanych w muzyce kantatowo-oratoryjnej, lecz także forma uczczenia 150 rocznicy śmierci kompozytora.

Owo monumentalne dzieło, uważane za jedno ze szczytowych — obok mszy h-moll Bacha — osiągnięć w dziedzinie twórczości religijnej, fascynuje do dziś, imponuje rozmiarami i złożonością struktury, wzrusza treścią nastrojową. W przeciwieństwie do konwencjonalnych, wcześniejszych mszy innych twórców napisane zostało „przeciw liturgii”, potraktowane symfonicznie, z szeroką perspektywą. „Styl instrumentalny — pisze Stefania Łobaczewska — przeniósł na tę formę wszystkie swoje nowe koncepcje zrodzone na terenie muzyki symfonicznej i wszystkie swoje zdobycze techniczne: operowanie tematyką muzyczną w wielkich rozmiarach, przepojenie melodii głębokim wyrazem uczuciowym, użycie harmonii jako środka ekspresji, wykorzystanie kontrapunktu, dynamicznych i kolorystycznych różnic brzmienia pomiędzy głosami solowymi, chórem i orkiestrą”.

Missa odtwarzana jest nieczęsto. Przyczyna tego tkwi głównie w trudnościach, przed jakimi stają wykonawcy. Zarówno orkiestra, chór, jak i — najbardziej chyba — kwartet wokalny. Nic też dziwnego, że pierwsza po dłuższej przerwie realizacja łódzka wzbudziła spore zainteresowanie.

Trudno jednak mówić tu o prawdziwym sukcesie artystycznym. Być może m. in. ze względu na to, że specyfika wykonawstwa oratoryjnego odbiega od codziennej praktyki zespołu operowego. Określone bariery stylistyczne są w związku z tym trudne do pokonania. Uwaga powyższa nie dotyczy w konkretnym przypadku orkiestry, która pod batutą Bogusława Madeya pokazała się od jak najlepszej strony. Grała precyzyjnie, miała wyrównane, pełne brzmienie. Chór przygotowany przez Zbigniewa Pawelca sprostał wprawdzie technicznym wymogom w skomplikowanych, polifonicznych fragmentach (zawrotne tempa!), nie zachwycił natomiast forsowaniem dźwięku, szczególnie w głosach męskich i nadmiernym rozwibrowaniem żeńskich głosów. Mieszane uczucia wywołały również partie solistów, którzy nb. w przeważającej części rekrutowali się spośród najmłodszych śpiewaków teatru. Powołano dwie obsady. Obydwu kwartetom brakowało momentami równowagi dynamicznej, dostrojenia. W pierwszych dwóch dniach śpiewali: Teresa May-Czyżowska — sopran (jej gwiazda zajaśniała pełnym i czystym blaskiem), Krystyna Rorbach — alt, Franciszek Przestrzelski — tenor (śpiewał manierycznie), Włodzimierz Zalewski — bas. W ostatnim natomiast koncercie wystąpili: Łucja Wierzbińska-Jóźwiak — sopran, Izabela Kobus — alt, Jerzy Rynkiewicz — tenor (mógł się podobać!), Andrzej Malinowski — bas (wyraźnie niedysponowany, rzutowało to na intonację).

Tak więc ambitne przedsięwzięcie Teatru Wielkiego nie w pełni usatysfakcjonowało. Wydaje się jednak, iż mimo niedosytów i zastrzeżeń co do interpretacji, wystawienie Mszy Solennej było wydarzeniem cennym. Na przekór wszystkiemu przemówiła bowiem wielka muzyka.

JANUSZ JANYST

INFORMACJE

„Potop” najlepszym filmem w ZSRR

Polski film „Potop” został uznany przez czytelników popularnego radzieckiego tygodnika „Sowietskij Ekran” za najlepszy film z krajów socjalistycznych, wyświetlany na ekranach Związku Radzieckiego w 1976 roku. Czwarte miejsce w tej ankiecie zajął również film polski — „W pustyni i w puszczy”. Z filmów radzieckich najwięcej głosów uzyskał film „Ironia losu, czyli z lekką parą”, a z filmów produkcji zachodniej: włoski pt. „Powrót Białego Kła”.

„Slalom” nagrodzony

W Budapeszcie zakończył się IV Międzynarodowy Festiwal Filmów Sportowych, na który zgłoszono 89 prac z 20 krajów. Większość konkursowych filmów poświęcona była różnym imprezom sportowym oraz problemowi jak najlepszego wykorzystania wolnego czasu.

Wśród nagrodzonych obrazów znalazł się film polski „Slalom” o tematyce narciarskiej, zrealizowany przez Wytwórnię Filmów Oświatowych w Łodzi. Film reżyserowała Jadwiga Żukowska.

Medale dla polskich książek

Na międzynarodowej wystawie książki i sztuki edytorskiej „IBBA-77” w Lipsku wśród nagrodzonych znalazły się także książki wydawnictw polskich. Otrzymały one 9 medali i 9 wyróżnień. Złotym medalem nagrodzono książkę „Arkad” pt. „Arrasy flamandzkie w zbiorach Zamku Królewskiego na Wawelu”. Srebrny medal otrzymał m. in. elementarz Mariana Falskiego z rysunkami Janusza Grabiańskiego wydany przez PZWS.

L. A. Mróz laureatem

Leonard Andrzej Mróz otrzymał nagrodę na międzynarodowym telewizyjnym konkursie śpiewaków operowych w Hadze. Laureat jest solista Teatru Wielkiego w Warszawie.

Nowe filmy zespołu „Silesia”

W zespole filmowym „Silesia” dobiegają końca prace nad trzema kolejnymi filmami. W Łodzi trwa montaż filmu historycznoprzygodowego „Sowizdrzał świętokrzyski” reżyserowany przez Henryka Klubę. W montażu i udźwiękowieniu jest film o tematyce śląskiej „Okrągły tydzień” w reż. Tadeusza Kijańskiego. Dobiegają końca zdjęcia do filmu obyczajowo-psychologicznego pt. „Szarada” w reżyserii Pawła Komorowskiego.

Liceum Sztuk Plastycznych w Zduńskiej Woli

Liceum Sztuk Plastycznych w Zduńskiej Woli ma dwa kierunki kształcenia: wystawiennictwo i formy użytkowe. Uczniowie dwu klas z tymi kierunkami po ukończeniu szkoły otrzymują tytuł technika sztuk plastycznych. Do liceum przyjmowana jest młodzież z woj. sieradzkiego i sąsiednich regionów.

„Bolek i Lolek” w 80 krajach

W ciągu 13 lat Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej wyprodukowało ponad 120 jednoaktowych filmów z serii „Bolek i Lolek”. Ostatnimi filmami o przygodach sympatycznych chłopców są „Pocztowy gołąb”, „Wiosenne porządki”, „Wędrowny cyrk”.

Filmy z Bolkiem i Lolkiem sprzedajemy do ponad 80 krajów świata. W tym roku w bielskim studio powstana 52 tytuły nowych filmów. Prawie 70 proc. produkcji to filmy dla dzieci.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

WIOSNA ARTYSTYCZNA

Choć tegoroczna wiosna kalendarzowa sprawiła nam niemało niespodzianek, doczekaliśmy się w Łodzi „Wiosny" mniej podatnej na kaprysy aury. Mam na myśli oczywiście ŁÓDZKĄ WIOSNĘ ARTYSTYCZNĄ, której dziewiąta już z kolei edycja wskazuje niedwuznacznie, że stała się ona instytucją: sprawdzoną i, co tu ukrywać, obecną w pejzażu kulturalnym miasta. Można oczywiście zastanawiać się, jak głęboka jest ta obecność, można a nawet należy spierać się o model „Wiosny", ale lekceważyć jej nie sposób.

KONRAD FREJDLICH

ZNOWU WIOSNA...

Organizatorom pierwszych „Wiosen" przyświecały szlachetne, choć niewykonalne cele. Miały być one przeglądem całokształtu dorobku artystycznego środowisk twórczych miasta, skłonić je do rywalizacji a tym samym wpłynąć na żywszy nurt życia kulturalnego. To zawsze sprowadza niebezpieczeństwo etatyzacji, przydziału zadań, a jak wiemy kultury zadekretować się nie da. Doświadczenia pierwszych „Wiosen" potwierdziły, że było to niebezpieczeństwo realne. Zamiast wielkiego festiwalu dorobku artystycznego mieliśmy do czynienia z wszystkoizmem, któremu patronował brak kryteriów. Każda instytucja finansowana z budżetu kultury uważała za swój obowiązek uczestniczyć w tym przeglądzie, którego przerost organizacyjny nie pozwalał ani na porównanie autentycznego wkładu środowisk twórczych w poszczególne inicjatywy, ani tym bardziej na ogarnięcie całości. Był to więc kolos, ale na papierowych nogach, nad racjami artystycznymi górowała sprawozdawczość.

Ten model nie wytrzymał próby życia. W porę zrozumiano, że w sferze poczynań kulturalnych decydująca jest jakość zjawisk, konkurować może najlepsze z najlepszym. Od tej pory „Wiosny" nabrały oblicza. Po muzycznej mieliśmy plastyczną, która z kolei ustąpiła miejsca filmowej. Zamiast konfrontacji w nieporównywalnych dziedzinach sztuki doczekaliśmy się więc wreszcie próby penetracji i opisu jednej dyscypliny artystycznej, ale za to ukazanej pełniej i prawdziwiej.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że podczas „Wiosny" mamy do czynienia z jednym tylko wypreparowanym zjawiskiem kulturalnym, które chcemy upowszechniać. Jak dawniej w przeglądzie dokonań biorą udział wszystkie środowiska twórcze, chociaż w odpowiednio zmienionych proporcjach. A więc pomimo **filmowego charakteru tegorocznej „Wiosny"** na brak emocji nie mogli narzekać ani melomani, ani miłośnicy plastyki czy literatury.

Jak już wspomniałem tegoroczny festiwal kultury łódzkiej rozgrywał się pod auspicjami X Muzy. Wyboru tej właśnie dziedziny na hasło wywoławcze „Wiosny" nie trzeba szczególnie uzasadniać, ponieważ Łódź w opinii większości chyba Polaków uważana jest za centrum sztuki filmowej. Tu przecież działa jedyna w kraju szkoła kształcąca kadry twórcze dla kinematografii, tutaj także istnieje zasłużony ośrodek filmologii. W Łodzi wreszcie zlokalizowana jest potężna baza produkcyjna reprezentowana przez wyspecjalizowane wytwórnie filmowe. Jedną z nich jest **Studio Małych Form Filmowych „Semafor"**, które w ciągu trzydziestu lat swej działalności może się poszczycić dorobkiem w postaci blisko 700 tytułów obejmujących niemal wszystkie gatunki filmowe: animowane, wycinankowe, aż po aktorskie.

Jubileusz **„Semafora"** stał się okazją do przypomnienia całokształtu dorobku polskiego filmu animowanego, który podobnie jak ta wyspecjalizowana wytwórnia obchodzi swoje trzydziestolecie. Uświetniły go obrady ASIFA — **Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Animowanego**, co jest dowodem uznania dla naszego wkładu w światowy rozwój tej dziedziny twórczości. Jednym z ważniejszych akcentów było przyznanie nagród imienia Zenona Wasilewskiego, zasłużonego twórcy filmów animowanych, za najlepszą pozycję tego rodzaju dla dzieci.

Jakby przedłużeniem retrospektywnych przeglądów była eksponowana w Centralnym Muzeum Włókiennictwa wystawa pod nazwą **„Plastyka filmowa"** ukazująca dorobek scenografii, kostiumów, rekwizytów, projektów plastycznych, które powstały z okazji realizacji filmów fabularnych, animowanych i lalkowych. I ta prezentacja miała charakter ogólnopolski, złożyły się bowiem na nią eksponaty wszystkich naszych wytwórni, nie tylko tych, które działają w Łodzi. Jest to istotne nowum tegorocznej „Wiosny", która nie rezygnując z próby szerokiego zaprezentowania osiągnięć lokalnych, odważyła się na konfrontację ogólnokrajową.

Podobne cele przyświecały czwartemu już z kolei **Ogólnopolskiemu Festiwalowi Filmów Dydaktycznych**, choć miał on znaczenie nie tylko artystyczne, ale także i praktyczne. Hasłem przewodnim tej imprezy była przecież refleksja pozostająca niestety wciąż jeszcze w sferze postulatów: **„Film dydaktyczny a reforma systemu edukacji narodowej"**. I w tej dziedzinie, ze względu na obecność w Łodzi **Wytwórni Filmów Oświatowych** jesteśmy potentatem. Cóż z tego, gdy szkolnictwo z różnych względów, preferuje wciąż tradycyjne sposoby przekazywania wiedzy. Aby film naprawdę trafił na lekcje do szkół, aby stał się ważkim instrumentem w kształtowaniu świadomości ucznia, potrzebny jest rzeczywisty przełom w myśleniu nauczycieli, a przede wszystkim odpowiednie wyposażenie szkół w środki techniczne. Jak dowiódł tego zestaw filmów konkursowych nie brak wartościowych tytułów, które mogą być prawdziwą pomocą w procesie nauczania. Nie brak także dobrych chęci, niedoskonałe są tylko sposoby wprowadzania filmów do szkolnictwa. Toteż z uznaniem należy powitać raport ekspertów o stanie produkcji i rozpowszechnienia filmów dydaktycznych otwierający drogę do posunięć praktycznych, które film szkolny uczynią dostępnym dla każdego ucznia i pedagoga.

Osobne zagadnienie stanowi film fabularny. Jeszcze do niedawna nasze miasto, mimo posiadania potężnego potencjału produkcyjnego, nie było ośrodkiem twórczej myśli filmowej w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie decydowało bowiem o artystycznym kształcie powstających tu obrazów. Sytuacja zmieniła się z chwilą powstania **Zespołu Realizatorów „Profil"** skupiającego twórców z Łodzi, jak i ośrodków pozałódzkich. Jego start nie był łatwy, zaczynaliśmy bowiem od zera. W drugim roku swej działalności **„Profil"** ma w swym dorobku kilka pełnometrażowych filmów fabularnych i tyleż telewizyjnych, co dowodzi, że rozkręciliśmy się już na dobre. Nic dziwnego, że podczas tegorocznej „Wiosny" **„Profil"** mógł przedstawić premierę swego najnowszego filmu **„Gdzie woda czysta i trawa zielona"** zrealizowanego przez kierownika artystycznego zespołu **Bohdana Porębę**. A oto co na temat tego obrazu powiedział sam twórca:

— Jest ten film zbiorem przemyśleń na temat problemów, które obchodzą nas wszystkich, a które znajdują się na styku spraw władza — obywatel, to film o komplikacjach związanych ze sprawowaniem władzy, o kryzysie zaufania, o odwadze i odpowiedzialności.

Swoją dotychczasową produkcją **„Profil"** potwierdza, że interesują go sprawy współczesnej Polski podejmujące tematy trudne i odpowiedzialne. Dowodem tych ambicji może być rozstrzygnięty ostatnio konkurs na nowelę filmową, który choć nie związany bezpośrednio z „Wiosną" na pewno będzie miał swoje konsekwencje artystyczne podczas „Wiosny" kolejnej, kiedy **„Profil"** zaprezentuje swoje nowe pozycje.

Sprawa to istotna, co unaoczniło zorganizowane z okazji tegorocznej „Wiosny" ogólnopolskie seminarium **„Warsztat scenarzysty filmowego"**, w którym wzięli udział wybitni realizatorzy, najmniej zaś było na sali scenarzystów. Może dlatego, co ze swadą ujawnił **Kazimierz Kutz**, że nie istnieje u nas zawód scenarzysty filmowego, pisaniem na użytek kina zajmują się u nas amatorzy uważający za swój podstawowy obowiązek uprawianie literatury, którą zresztą film w Polsce, z nielicznymi wyjątkami, karmi się od dziesięcioleci. Jest to sytuacja budząca niepokój zważywszy planowany kilkakrotny wzrost produkcji filmowej, której nie da się dłużej rozwijać środkami chałupniczymi. A więc i to seminarium, podobnie jak i inne imprezy **IX Łódzkiej Wiosny Artystycznej** przyniosło obfite tworzywo do refleksji i przemyśleń. Oby towarzyszyły im także posunięcia praktyczne.

Ewenementem tegorocznej „Wiosny" była na pewno jubileuszowa wystawa prac wybitnego malarza **Konstantego Mackiewicza** stanowiąca reprezentatywny przegląd jego sześćdziesięcioletniej działalności twórczej. Unaoczniła ona raz jeszcze niespożyty witalizm i temperament artysty, który przez ponad pół wieku czerpiąc z najlepszych wzorów światowego malarstwa, czuły na jego niepokoje i poszukiwania formalne, pozostał sobą przedstawiając własną wizję świata w tak pełnym, nasyconym kształcie. Twórczość Konstantego Mackiewicza nie raz omawiana była na łamach **„Odgłosów"** co zresztą czynimy i w tym numerze, toteż nie robię tu żadnej recenzji, myślę wszakże, że zaprezentowanie jej w tak bogatym wyborze z okazji „Wiosny" oddaje sprawiedliwość całemu środowisku plastycznemu miasta, które nie raz udowodniło swoją prężność i międzynarodową rangę.

Z interesującymi pomysłami wystąpiło też środowisko łódzkich pisarzy, którzy z okazji „Wiosny" ogłosili **„Dni Literatury"**. Ich ukoronowaniem było ogłoszenie wyników konkursu na dramat poetycki oraz na reportaż o Łodzi, o czym **„Odgłosy"** donosiły już w poprzednim numerze. Nie zamierzam tu bynajmniej przedstawiać całego programu tych bogato wypełnionych **„Dni Literatury Łódzkiej"** na pewno jednak wypada wspomnieć o sympozjum pt. **„Powieść — kryzys czy rozwój?"**, które choć nie dało pełnej odpowiedzi na tak postawione pytanie uprzytomniło nam przecież, że obok poetów (Łódź organizowała co roku Ogólnopolskie Festiwale Poezji) mamy tu liczne środowisko prozatorów o ogólnopolskim znaczeniu. Szkoda, że miejscowa uniwersytecka krytyka, a także recenzenci gazet lokalnych zajmują się nimi tak mało, co drastycznie unaoczniła dyskusja.

Oceniając więc tegoroczną „Wiosnę" trzeba stwierdzić przede wszystkim, że oprócz przekroju dokonań a czasem i porażek, wniosła ona cenny element niepokoju i refleksji. Nie jest to mało skoro poprzednio woleliśmy mówić o tym tylko, co najlepsze, w znaczeniu: najbardziej spektakularne. A przecież ten nurt krytycyzmu nie przeszkodził nam dostrzec tego, co jest naszym prawdziwym sukcesem: różnorodność poszukiwań twórczych, mnogość wartościowych wypowiedzi artystycznych, które wyznaczają rangę i miejsce Łodzi na mapie kulturalnej kraju.

NIE TYLKO HISTORIA

DZIEJE NAUKI POLSKIEJ

Historia nauki stała się dziś ważną, wyspecjalizowaną dziedziną badawczą, cieszącą się ogromnym zainteresowaniem w całym bodaj świecie. Nie jest to sprawa przypadku. Wzrastająca rola nauki we współczesności, jej wtargnięcie do życia każdego z nas, wreszcie nadzieje, jakie ludzkość wiąże z jej rozwojem wszystko to uwrażliwiło historyków, wpłynęło na pobudzenie zainteresowań dla dziejów ludzkiej naukowej wiedzy. Historia nauki nie jest dziś, jak przed kilkudziesięcioma laty, jedynie historią wielkich naukowych odkryć, chociaż tymi ostatnimi nie przestaje się interesować. Nie jest też serią biografii wybitnych twórców nauki z różnych wieków, choć badawcza aktywność uczonych znajduje się w centrum jej uwagi. W coraz bardziej doskonały sposób śledzi dzieje rozwoju ludzkiego naukowego myślenia i pracy, w uwarunkowaniach społecznych, organizacyjnych, politycznych i wszelkich innych, nie spuszczając z oka jego zróżnicowanych funkcji. Stara się udzielić odpowiedzi nie tylko na pytanie, co i kiedy nauka dała społeczeństwu, ale również pyta się, dlaczego mogła mu dostarczyć tego lub owego, stara się wszechstronnie śledzić znaczenie nauki w życiu społecznym.

Polskie badania z historii nauki należą niewątpliwie do przodujących w świecie i wielu obcokrajowców zazdrości nam osiągniętych już rezultatów. Podsumowaniem wieloletnich zespołowych badań nad dziejami nauki polskiej, prowadzonych w Zakładzie Historii Nauki, Oświaty i Techniki Polskiej Akademi Nauk, jest zakrojona na wiele tomów naukowa synteza, opatrzona tytułem: „Historia Nauki Polskiej", wydawana od kilku lat nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, pod naczelną redakcją wybitnego uczonego Bogdana Suchodolskiego.

Otrzymaliśmy właśnie trzeci tom tego monumentalnego dzieła który ukazał się (1977) pod redakcją Jerzego Michalskiego. Jest to tom bez przesady ogromny — obejmuje bowiem 75 arkuszy wydawniczych i ponad 850 stron druku. Trudno jednak się temu rozmiarowi dziwić, skoro został on poświęcony dziejom nauki polskiej w szczególnie ważnym okresie czasu: mianowicie w latach 1795—1862, od upadku dawnej Rzeczypospolitej do powstania styczniowego. Jakiż wielki to szmat czasu! Przypada nań spory kawał epoki Oświecenia — bowiem nie skończyło się ono z upadkiem państwa — czasy Romantyzmu i początki nowej, już pozytywistycznej formacji intelektualnej! Graniczne daty, przyjęte w tym opracowaniu, aczkolwiek zostały zaczerpnięte z biegu dziejów politycznych, nie mogą budzić poważniejszych wątpliwości. Przecież wielkie wydarzenia polityczne, które były podstawą do ich wyróżnienia, miały znaczenie determinujące dla wszystkich, nie tylko politycznej, sfer naszych dziejów! Bardziej niż datę 1795, można by pewnie dyskutować cezurę 1862 r. Jak zaznacza na wstępie tego tomu B. Suchodolski, cezura ta „nie oznacza jednak zasadniczego przełomu". „Poddajemy dziś rewizji — ciągnie uczony — dawniejsze poglądy przeciwstawiające z wielką ostrością okres Romantyzmu i okres Pozytywizmu. Były one oparte głównie na porównaniu krajowej literatury pozytywistycznej — rzeczywiście bardzo różnej — z emigracyjną poezją romantyczną. Ale analiza warunków życia ludzi, treści ich świadomości oraz zadań społecznych i narodowych stojących przed nimi w kraju w pierwszej i drugiej połowie XIX w. znacznie osłabiła przekonanie o ostrości różnic tych dwóch faz rozwojowych polskiej kultury".

Historia nauki, czy historia nauk? Oto dylemat, który musieli starać się rozstrzygnąć autorzy nie tylko tego wielkiego, zbiorowego dzieła. Każdy historyk nauki jest zwykle specjalistą od historii tej lub innej nauki — czy chodzi o nauki ścisłe i przyrodnicze, czy też humanistyczne i społeczne. W dzisiejszych czasach trudno być omnibusem, jednakowo dobrze znającym... wszystko. Nie może być inaczej, bowiem trudno o specjalistów, którzy byliby jednakowo kompetentnymi znawcami kilku dziedzin nauk jednocześnie. Jeżeli czasem tak się zdarza, są to zwykle nauki sobie bliskie, prawie nigdy tak odległe, jak np. matematyka i historia. Ale przecież trudno sprowadzać przedmiot historii nauki jako całości, jedynie do historii poszczególnych naukowych dyscyplin. Poza tym, co poszczególne specjalności w ich historycznym rozwoju wydziela, warunkuje kształtowanie się coraz nowych dyscyplin, jest przecież i to inne, co je wszystkie razem ze sobą łączy w naukę przez wielkie N: ogólne warunki rozwoju, sposoby rozumienia jej celów i funkcji, charakterystyczne dla danej epoki reguły naukowego myślenia i inne. Filozofowie nauki nie bez powodzenia starają się odnaleźć w jej dziejach rozwój ogólnych struktur naukowego myślenia, przejawiający się w wielości naukowych dyscyplin i specjalności. I z pewnością jest to bardzo obiecujący kierunek poszukiwań.

Redaktorzy i autorzy „Historii Nauki Polskiej" wybrali zasadę... złotego środka. Nie jest on wprawdzie całkowicie „złoty" — można sobie bowiem wyobrazić lepsze ujęcia — ale z całą pewnością był możliwy do zrealizowania. Cóż z najwspanialszych koncepcji, skoro nie sposób ich wcielić w życie? Wybrano więc zasadę kompromisową: pierwsza część omawianego tomu została poświęcona warunkom rozwoju nauki polskiej w omawianym okresie czasu (jej autorem jest J. Michalski), krótka część druga obejmuje „tło filozoficzne nauki polskiej"), które opracowali Władysław Tatarkiewicz i Andrzej Walicki), a dopiero część trzecia, stanowiąca blisko połowę tego ogromnego tomu, została poświęcona historii poszczególnych „dyscyplin szczegółowych". Dyscyplin tych znalazło się w omawianym tomie aż dwadzieścia jeden (nie licząc wyodrębnionych specjalności, będących właściwie osobnymi dziedzinami nauki), a opracowało je aż dwudziestu dwóch autorów! Daje to wyobrażenie o rozmiarach włożonego w to dzieło trudu.

„Historia Nauki Polskiej" ma za zadanie możliwie wszechstronne ukazanie rozwoju nauki w Polsce „jako rozwoju umysłowej kultury społeczeństwa", a jednocześnie zaprezentowanie polskiego „wkładu do światowego postępu naukowego". Wydany obecnie tom stanowi doniosły krok na tej drodze.

ANDRZEJ F. GRABSKI

LITERATURA

TADEUSZ GICGIER

JEDEN DZIEŃ GRUDNIA

Miałem jeszcze dwa tygodnie urlopu i postanowiłem wykorzystać je z początkiem grudnia. Przypomniałem sobie o leśniczówce, do której jeżdżę każdego lata, a te wakacje spędziłem nad morzem. Nie żałowałem tego, bo pogoda dopisała jak rzadko kiedy i wypławiłem się w morzu za wszystkie czasy. Ale wkrótce po powrocie do miasta zrozumiałem, że jest mi czegoś brak. Bez trudu uświadomiłem sobie, że to odezwał się coroczny nawyk, przyzwyczajenie, które, jak wiadomo, jest naszą drugą naturą. Nie nachodziłem się tego lata po lesie, nie nasłuchałem się jego szumu, nie widziałem, jak dojrzewają na leszczynach orzechy. Wprawdzie ta strata nie była już do nadrobienia, ale las jest zawsze lasem, zwłaszcza ten sosnowy i świerkowy. Spakowałem zimową odzież i pojechałem do leśniczówki.

Leśniczyna krzątała się jak zawsze w kuchni. Zapytałem o pokój na górce, ten z kaflowym piecem, gdzie można zamieszkać o każdej porze roku.

— Jest wolny, kto by go tam zajmował w grudniu. Tyle, że mąż już panu w piecu nie napali...

Teraz dopiero spostrzegłem, że leśniczyna ubrana jest na czarno, że schudła i ma zapadnięte oczy. Usiadłem na kuchennym krześle.

— Kiedy to się stało?

— Siedem miesięcy temu. A ja jeszcze żyję. Pijam, proszę pana, tylko wodę, na jedzenie nie mogę patrzeć. I żyję. Ale i tak niedługo pójdę za nim. Może dożyję do pierwszej rocznicy jego śmierci.

— Nie wolno tak mówić.

— Wszyscy mi to powtarzają. Każdy, z kim rozmawiam. I siostra męża, która mną się opiekuje. Powiedział do niej: ty uważaj na Zośkę, żeby sobie czegoś nie zrobiła. Ale ona mnie nie upilnuje.

Nie mogłem ruszyć się z miejsca. Zdawałem sobie sprawę z tego, że należy natychmiast wstać i iść na górę, a siedziałem jakby przykuty do krzesła. Byłem na siebie zły, że nie napisałem wcześniej do leśniczówki. Gdybym dostał tę smutną wiadomość, nie przyjechałbym tu, w każdym razie nie tak prędko po śmierci leśniczego. Ładne czekają mnie wczasy zimowe, nie ma co.

— Ja straciłam, proszę pana, wiarę, i dlatego tak mi jest ciężko. Bo gdyby był Bóg, to by mi go przecież nie zabierał. Wierzący ufają, że kiedyś połączą się z kochaną osobą, i to im przynosi ulgę. A dla mnie wszystko się skończyło, zapadło pod ziemię. Razem z ciałem mojego męża.

Milczałem. Byłem przybity determinacją kobiety, którą przecież dobrze znałem, a, okazuje się, nie wiedziałem nic o niej. Ani o niej, ani o jej małżeństwie. Żyli z mężem zgodnie, każde zajęte swoją pracą. Dzieci nie mieli. Pomyślałem, że to bardzo niedobrze.

Leśniczyna jakby odgadła moje myśli.

— Bardzo się kochaliśmy, i dlatego żadne z nas nie chciało dzielić się tą miłością. Nawet z własnym dzieckiem. A teraz nie mam dla kogo żyć, proszę pana.

Przejmujący smutek był w tych prostych słowach kobiety.

— Powinna pani stąd wyjechać, tu wszystko przypomina zmarłego.

— To właśnie dobrze. To tak, jakby był jeszcze ze mną. Nie uwierzy pan, minęło już tyle czasu, a ja ciągle nasłuchuję jego kroków. Stawiam na stole dwa nakrycia. Teraz też, kiedy usłyszałam jakiś ruch w sionce, myślałem, że to on wraca z lasu.

Las — i oni sami w tej leśniczówce. Tak prawie przez okrągły rok. Któż odgadnie, co czuje do siebie dwoje ludzi, żyjących samotnie w lesie.

— Myśmy byli jednością, proszę pana. Mąż też tam na pewno odczuwa taką pustkę, jak ja tutaj. On tu nie wróci, więc ja muszę iść do niego.

Dochodziła północ, gdy wreszcie znalazłem się na górce w pokoju. Cisnąłem się na żelazne łóżko, nie rozpakowawszy podróżnego neseseru. Zrobię to rano — pomyślałem. Ale sen nie przychodził, mimo że byłem solidnie zmęczony po podróży. Zastanawiałem się nad tym, czy istotnie rozumiem stan, w jakim znajduję się leśniczyna. Bo przecież w czasie rozmowy zapewniłem ją kilka razy o tym. Nie, niczego nie rozumiem. Chyba, że za to rozumienie uznam lęk, z jakim myśl moja cofa się przed odczuciem takiej straty.

Ranek wstał mroźny i słoneczny. Zaraz po śniadaniu wyruszyłem do lasu, aby otrząsnąć się z wczorajszych wrażeń. W drzewo zastukał dzięcioł, spodobał mi się ten znak życia w owej martwej porze. Sosny stały pobielone od szronu, kołysząc się lekko na zimowym wietrze. W słońcu połyskiwała miedzią ich kora. Na leśnej polanie natrafiłem na stadko sarn. Odbiegły kawałem nieśpiesznie, a potem odwróciły ku mnie głowy i przypatrywały mi się spokojnie.

Spotkałem rodzinę dzików. Przebiegały truchtem przez leśny dukt, brunatne jak leśne podszycie, najpierw on, głowa rodziny, odyniec, za nim warchlaki, na końcu czujna locha. Gdy doszedłem do tego miejsca, na płytkim śniegu widniał ślad taki, jakby ktoś przeciągnął po ziemi sznurek między dwiema ścianami lasu.

Pożałowałem trochę, że nie jestem myśliwym. Miałem jednak satysfakcję: nigdy latem nie udało mi się zobaczyć tu dzika.

Niskie słońce wisiało na konarze sosny, kiedy schodziłem nad rzekę. Rzeka nie była zamarznięta. Nagle od powalonego pnia, zanurzonego wierzchołkiem w wodę, oderwał się biało-rudy cień. Lis czmychał w popłochu, nie upolowawszy zdobyczy. Z przybrzeżnych szuwarów poderwały się dzikie kaczki, najpierw usłyszałem plusk wody jakby ktoś rzucił w nią kamieniem, potem wysoki dźwięk przypominający brzęczenie komara. To skrzydła kaczek cięły z trudem powietrze. Odprowadziłem ptaki wzrokiem, delektując się ich barwnym upierzeniem: zielenią i czernią na tle błękitnego nieba.

I nagle zrobiło mi się wstyd. Zupełnie tak, jakbym był czegoś winien. Jakbym się komuś sprzeniewierzył. Bo ja się delektuję, podczas gdy nadzorca tych włości gnije w ziemi. Zdążyłem go poznać nie najgorzej, zaprzyjaźniliśmy się nawet ze sobą na swój sposób. Nie przyszło to nam łatwo: dwie natury zamknięte w sobie. A jednak się zaprzyjaźniliśmy, może właśnie dlatego. Nie rozmawialiśmy ze sobą wiele. Zdawkowe zdania o pogodzie, jakie mamy lato tego roku, jaka będzie jesień i zima. I czy przyjadę tu następnego lata.

Wracałem do leśniczówki zamyślony. Szedłem na przełaj lasem, przede mną zarysowały się kontury paśnika. Przy paśniku stał człowiek w zielonym mundurze i nakładał na żerdzie wiązki siana. Stanąłem jak wryty. Zdawało mi się, że rozpoznaję sylwetkę w mundurze.

Zawróciłem szybko i okrężną drogą pomaszerowałem do leśniczówki. Gospodyni obierała w kuchni ziemniaki, na oparciu krzesła leżał mundur jej męża. Twarz i ręce miała czerwone od mrozu.

Nie, tego było za wiele. Zacząłem żegnać się z leśniczyną.

Wracam do miasta — oznajmiłem jej krótko.

— Jak to, pan wyjeżdża?

— Wyjeżdżam. Byłem dziś w lesie i nad rzeką. To jednak nie to, co latem. Przyjadę, jak zawsze, z początkiem sierpnia.

— Proszę, niech pan przyjeżdża. Ale mnie pan już nie zastanie. W kwietniu przypadnie rocznica śmierci mego męża.

Uśmiechnąłem się niewyraźnie na pożegnanie i zamknąłem za sobą szybko drzwi.

ANNA POGONOWSKA

WSPOMNIENIE

(W łódzkim parku „Źródliska")

Ptak przeniknął przez cień zielony
A za nim rój słonecznych plam —
Robotnice wyszły z fabryki
Każda przez ogród miejski szła

Wszystkie miały żylaki na nogach
Grube rozdęte węzły
Jedna twarz miała ostrą jak promień
Który dosięgnął dna nędzy

Ważka światłocień szyła nad wodą
Szeleścił wierszy tom
Robotnica usiadła przy mnie
Spoglądałyśmy w dno

Foto: Archiwum

ANNA WERNEROWA

STARZY MĘŻCZYŹNI

dlaczego starzy mężczyźni
wracają często
do starych kobiet
które kiedyś kochali?

Bo one są
jak październikowe jabłka
bardzo dojrzałe
soczyste
czerwone w smaku
i jeszcze twarde w dotyku

starzy mężczyźni
opowiadają starym kobietom
o swoich młodych
które wyglądają przeważnie
jak manekiny z umalowanymi ustami
i wydatnymi biustami

dlatego stare kobiety
nie są zazdrosne

wiedzą
że kiedy liść
zacznie brunatnieć
i zwija się w śmierć
starzy już bardzo
ongiś kochankowie
będą się czepiać
rąbka ich dawnych spódnic
jak bojące się ciemności dzieci

TOMASZ SOLDENHOFF

WĘZEŁ

Ja: niewątpliwie do końca męskoosobowy... Nie
mający,
nie mający — na szczęście — odpowiednika w
liczbie mnogiej,
ani — niestety — rodzaju (bo opuściła mnie pewna
pani, co była
ze mną jednością ciała oraz ducha). Ponadto Ja:
co wciąż występuję ze swoim zaprzeczeniem (Nie
wiedząc
na domiar czym Biernik, tylko Mianownik, czy
może jednak Wołacz),
tak, że z moim „tak" do taktu jest na nie „nie" i
zaprzecza mu w słowach moich, oczach bliźnich.
Ja:
nie będący kategorią ściśle logiczną ani też
irracjonalną. Tyleż do
Londyna nie podróżujący, co i do Londynu.
Agresywny po prasłowiańskim antenacie zaimek
miękkotematowy
Ja artysta: rzeczownik w formie żeńskiej
nazywający mężczyzn
czuję
jak mi to Ja w gardle rośnie:
samozaciskowy węzeł.
1975

WIEDZA

Pamięci H.S.

W ten niezwykły dzień musisz zdążyć wszystkich
odwiedzić, którym zmarli właśnie jacyś z bliskich
bliżsi.

Musisz podzielić się z nimi opustoszałym polem
twarzy, umieć każdą godzinę na połowę przepołowić.

sprawiedliwie... Musisz biec jeśli będzie trzeba. Albo
stąpać
cicho. Na widok Pięknej Pani wzrok zasmucić...

Musisz pamiętać o ludziach starych i tych po
drugim zawale,
do kieszeni wsypać trochę chleba, włożyć fotografię.

I na koniec musisz wiedzieć, kiedy przerwać wiersz,
kiedy przerwać: życie, miłość, umieranie, sen.
20.06.1975.

WALENTY JARECKI

ORKA

Już się zwiewny przedświt
ściele na ziemię
jak dywan
w różnobarwne desenie

tam jest serce
w głębi
we wnętrzu ziemi

a tu nad każdą skibą
w zamyśleniu
napina swoją twarz
ten
który ze znakiem krzyża
wyoruje z ziemi
swego życia sens

WIESŁAW JAN WYSOCKI

* * *

to są przepaście głębokie
i drzewa na śmierć przygotowane

palą się oczy płomieniem zielonym
ręce tulą tę samą tęsknotę

gwiaździsta meduza między namiotami
w rzekę się zmieniła i błysk

skrzydlate kamienie są ślepe

Sybillo wrzuć w ogień ostatnie słowa księgi
mówili że góry są wszędzie
i przepaście głębokie

Foto: G. Puciato

STREFA CISZY, ZMOWA MILCZENIA

Dalszy ciąg ze str. 1

— Nie. Jakaś wioska pod Morągiem.

Uśmiech. Dwa uśmiechy. Sto uśmiechów.

Tymczasem człowiek, który był kiedyś redaktorem łódzkich gazet i siedział za tym samym biurkiem, przy którym siedzi teraz Konrad Frejdlich, pracował w charakterze robotnika na swoim nowym gospodarstwie — najpierw założył kłódki i zabezpieczył okna, potem zaczął remontować piece i naprawiać ganek, wreszcie zabrał się do stawiania rzetelnego ogrodzenia, i w tym spektakularnym momencie po raz pierwszy zwrócił na siebie baczniejczą uwagę okolicznej ludności.

To przyszli do Nienackiego gospodarze z **Jerzwałdu**, bo tak się ta wioska nazywa, i poczęli wypytywać półgębkiem:

— A warto, panie, stawiać ten płot?

— Warto.

— I ściany tynkować?

— Warto.

— Znakiem, panie, nic się nie zmieni?

— Nic.

To później, na stronie, sąsiedzi zaczęli wnioskować logicznie: patrzta! gość z centrali, mądrala sakramencko gramotny i nie bojał się tu kupić dom... nie bojał się postawić płotu...

I znalazło się paru takich, co też postawili sobie nowy płot.

A jak Zbigniew Nienacki zburzył starą szopę i zainwestował w schludny, zgrabny budynek gospodarski z białych, oheblowanych desek, to chłopi też zaczęli remontować swoje przybudówki i stodoły; jak Nienacki ocembrował swoją studnię, to kilku zaraz zrobiło to samo; jak Nienacki zniwelował teren na podwórku i położył sobie tu i ówdzie chodnik, tak, aby można było w czasie deszczu przejść suchą nogą od furtki do domu, a od domu do garażu, studni i sławojki, to sąsiedzi — każdy wedle swoich potrzeb i możności — także zaczęli go twórczo naśladować, ba! Niejeden na modłę „pisarza" zastąpił tradycyjne palenisko kuchenka na gaz z butli; nie jeden poprawił dachówkę i przeczyścił kominy, niejeden kupił radio, telewizor, a co najważniejsze — ludziska przestali się rozglądać za kupcem na swoje gospodarstwo i wzdychać za poletkiem w innym rejonie kraju.

— Słyszeliśta? Jest u naszego pisarza ten pan, co macha pałeczką w Sopocie na tym, no!... jakże to!... Festiwalu...

— A rok temu, panie, to u niego był na rybach sam Kapitan Kloss...

Jeszcze parę innych znakomitości odwiedziło Zbigniewa Nienackiego w różnych odstępach czasu, a że i sam pisarz pojawił się kilkakrotnie na antenie radiowej, gdzie zresztą zawsze mówił o swojej wsi z szacunkiem i ciepłem — ludzie w pełni zaakceptowali nowego sąsiada, przyznając mu równocześnie pozycję szczególną.

Nie zadzierał przecież nosa, nie bawił się w neodziedzica, co to, „nie przystąp bo kopnę", ani w artystę, który na wszystkich patrzy z góry i rygluje się na cztery spusty. Wielki to sukces zdobyć sobie przyjaźń i zaufanie rolników, ale Zbigniew Nienacki zawdzięcza owo wyróżnienie nie tylko swoim książkom — te zaczęły być czytane na końcu — raczej chyba swojej pracowitości, gospodarności, życzliwości, z jaką odnosił się do każdego obywatela w **Jerzwałdzie**. Kowal, drwal, sklepikarz, listonosz, nikt nie czuł się wobec niego skrępowany — znał ich imiona, nazwiska, wiedział, ile kto ma dzieci i z jakimi boryka się problemami; wysłuchiwał ich rad, jego rady też były cenne, bo na swoim pracował tymi samymi co oni narzędziami — heblem, młotkiem, obcęgami, kątownikiem; nieraz korzystał z ich pomocy, nieraz sam im pomagał; umiał własnoręcznie wykonać nie gorszą szafę i ławę niż okoliczny stolarz, trzeba było zabawiać się w ogrodnika — sadził na podwórku drzewa, co się tyczy lasu — posiadał naprawdę rozległą, teoretyczną i praktyczną znajomość przedmiotu, na co bez wątpienia miała — i ma — wpływ długotrwała przyjaźń z leśnikami.

Ludziom, którzy dobrze znają Zbigniewa Nienackiego, mój reportaż może wydać się trochę dziwny, naciągany — pamiętają go bowiem z czasów łódzkich jako zadziornego publicystę i wojującego działacza. Nie był bynajmniej świętoszkiem — dał się temu i owemu we znaki; niektóre jego uczynki budziły sprzeciw środowiska; wiele jego dowcipów do dziś powtarza się z szyderstwem lub ze zgrozą. Jednakże zawsze był Zbigniew Nienacki człowiekiem konsekwentnym i twardym. Kiedy kilkanaście lat temu wypił swój ostatni kieliszek wódki, wypowiadając sakramentalne „nigdy więcej", to rzeczywiście dotrzymał słowa i nie namówisz go w żaden sposób ani na kogiel-mogiel z piwem, ani na kaczkę w maladze. Kiedy złożył sobie przyrzeczenie, że raz na zawsze zerwie z kawiarnią literacką, nie ma go już wieczorami na plotkach w wielkomiejskich klubach. Mówi:

— Jedno krzywe spojrzenie, ironiczne słowo, potrafi rozbić człowiekowi dzień. Siedzisz później przy stole i zamiast myśleć o pisaniu, zaczynasz rozpamiętywać... Na wsi, w lesie, nic takiego ci nie grozi, dopiero tu można osiągnąć pełną koncentrację.

Przed laty na jeziorach wokół **Jerzwałdu** było głośno; szczególnie w czasie wakacji, kiedy ściągali zewsząd turyści i krążyli po tak zwanej tafli wodnej motorówkami. Te motorówki były straszną zmorą dla ptaków, ryb, a także prawdziwych miłośników przyrody. Szczerze mówiąc — Zbigniew Nienacki też miał wówczas motorówkę, którą pływał od wyspy do wyspy w poszukiwaniu tematów. Płoszył zwierzęta, brudził wodę, zakłócał spokój biwakowiczom, których namioty stały najbliżej brzegu. Mógł więc przekonać się naocznie, ile zamętu wywołuje taki niewinny, prykający motorek, i nagle, pozbywając się swojej, zaczął walczyć z pozostałymi motorówkami — proszę bardzo, żaglówki, jachty, łodzie wiosłowe, w ogóle wszystko, co nie szkodzi naturalnemu środowisku a krajobrazowi przydaje uroku — ale z motorami koniec! Stał się jednym z orędowników i prekursorów sprawy, która zresztą zakończyła się sukcesem, powstała bowiem w tamtych okolicach **STREFA CISZY.**

Zbigniew Nienacki w przetargu z władzami próbował powstrzymać egzekucję niektórych wiekowych drzew, a jedno (okazowy dąb) chciał bodajże litościwie odkupić, aby sobie dalej trwało w lesie. Zbigniew Nienacki wszczął kampanię na rzecz domków dla gajowych i leśniczych, i tu pokazał swój wilczy kieł... Przecież leśniczówki coraz częściej odprzedawane były (i są) różnym instytucjom i bogatym osobom prywatnym, zaś pracownikom leśnym polecono osiedlać się w miastach i... dojeżdżać. W ten sposób szlachetny zawód leśnika został zbiurokratyzowany i ograniczony: żadnych tam całodziennych wędrówek po borze! Jedziesz na swoje osiem godzin, robisz co jest do zrobienia, i wracasz do miasta. Bez wątpienia nie służy to lasom... Przypominając sobie łódzkie czasy, Zbigniew Nienacki napisał w tej sprawie listy do kompetentnych władz, a że zrobił to z iście publicystyczną werwą, znalazł sobie nowych nieprzyjaciół. Wieś jednakże i ci prawdziwi, ortodoksyjni leśnicy przyznali Nienackiemu rację...

— Nasz pisarz nigdy się nie myli.

Kiedy we wsi popełniono morderstwo, do ekipy śledczej podeszło kilka osób i przestępując z nogi na nogę ten i ów zaczął radzić:

— Jakbyście, panowie, zatrudnili naszego pisarza, zaraz by zbrodniarza capnął.

Innym znowu razem pojawił się w **Jerzwałdzie** krakowski literat z długonogą pięknością.

— Pan naprawdę jesteś literatem? — wypytywali go wieśniacy.

— Tak.

— A naszego pisarza pan zna?

— A jak on się nazywa?

— Nienacki.

Ten z Krakowa może i słyszał to nazwisko, ale że stała przy nim dziewczyna, i że chciał jej pokazać swoją wyniosłą wielkość, odpowiedział nieopatrznie:

— Nie znam.

Ku swojemu przerażeniu zauważył, że twarze wieśniaków pokryły się gniewem.

— Nie zna pan naszego pisarza? To znaczy, że nie jest pan żadnym literatem!

Zgodnie z obowiązującym zwyczajem — Zbigniew Nienacki został zaszufladkowany, i mówi się o nim najczęściej jako o pisarzu książek dla młodzieży. Chciałbym w tej publikacji pominąć zagadnienia warsztatu literackiego i nie wdawać się w jakiekolwiek oceny, przyświecała mi bowiem idea pokazania Z. Nienackiego z innej strony: jako działacza, miłośnika przyrody i przyjaciela rolników, tym niemniej... gdyby odciąć z dorobku autora ogon książek młodzieżowych, cieszących się zresztą wielką popularnością i zasłużonym uznaniem — zostałoby i tak dosyć książek „dorosłych", aby czterdziestoparoletni twórca mógł wytrzymać konkurencję z większością „poważnych" autorów. **„Worek Judaszów", „Laseczka i tajemnica", „Podniesienie", „Z głębokości", „Sumienie"**, dwutomowe **„Liście dębu", „Mężczyzna czterdziestoletni"**, przygotowywany do wydania **„Uwodziciel"**, pięć wystawionych sztuk teatralnych, trzy zrealizowane scenariusze filmowe, przekłady na język czeski, niemiecki, ormiański, rosyjski... Daj nam Boże.

Nie wiem, co jest przyczyną, że wokół twórczości Zbigniewa Nienackiego panuje zmowa milczenia. Mogę od biedy zrozumieć krytyków, którym kontrowersyjne powieści Z. Nienackiego nie trafiają do przekonania, oburza mnie natomiast, kiedy mówi o nich z pobłażliwym uśmieszkiem autor dwóch zeszycików poetyckich albo twórca cienkiej (i jedynej) książczyny prozą. Zaraz, zaraz... Czym on sobie na tę obojętność i na ten uśmiech zasłużył? Swoją głęboką znajomością życia? Swoją rozległą wiedzą z wielu różnych dziedzin nauki? Powagą i pietyzmem w odniesieniu do literatury? Samotniczą, chwilami katorżną pracą na ustroniu?... A może jest to po prostu zawiść?...

Zbigniew Nienacki żyje skromnie w swoim dużym domu, otoczonym potężnym kawałkiem łąki. Jego posiadłość graniczy bezpośrednio z jeziorem i malowniczym kanałem, nad którym trzyma w hangarze swój jacht i wygodną łódź rybacką. Luksus. Ma przecież także dwa samochody — osobową skodę i terenowy wóz rumuński. Ma psa, doga, wielkości średniego cielaka. Ma dobudowany ostatnio taras, skąd rozciąga się widok na okolicę. Czyżby właśnie ta zamożność kłuła ludzi w oczy?

Jedno jest pewne — sąsiedzi nie zazdroszczą mu majątku. Uważają, że uczciwie na niego zapracował i rozsądnie z nim postępuje. Nie pije, nie wydaje głośnych przyjęć, nie urządza polowań dla przyjaciół, pali — jak i oni — sporty, je to, co można dostać w okolicznych sklepach, częściej chodzi pieszo niż jeździ samochodem, troszczy się o łódzką rodzinę, utrzymując w pewnym sensie dwa domy. A co najważniejsze — jego książki w pełni na siebie zarabiają: zarówno w sensie wartości moralnych jak i materialnych (oby każda spółdzielnia przynosiła państwu taki zysk).

Może więc warto poświęcić Zbigniewowi Nienackiemu trochę uwagi? Nie bądźmy tacy pamiętliwi — my, mieszczanie, warszawianie i łodzianie, którym się wydaje, że poza kawiarnią literacką kończy się świat. Wieś zrobiła z Nienackiego nowego człowieka i zupełnie innego pisarza — cierpliwego, uczciwego, świadomego swoich celów i ambicji. Nie wstydzę się przyznać, że jego sądy są często niezwykle sugestywne i zaraźliwe — można się zresztą z nimi spierać; nie każdy przecież przytaknie, że wszystko, co złe, bierze się z męskiej impotencji i braku orgazmu u kobiet, albo, że samobójstwo może popełnić tylko psychopata — ale ataki Zbigniewa Nienackiego na literaturę i lansowane przez nią skostniałe normy mieszczańskie nie są z pewnością pozbawione racji.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DLA PRZEMYSŁU LEKKIEGO

Mija 30 lat od chwili powstania Wydziału Włókienniczego Politechniki Łódzkiej. Pierwsi absolwenci, wśród nich obecny dziekan wydziału, prof. dr hab. **Grzegorz Urbańczyk**, otrzymali dyplomy magisterskie w roku akademickim 1950/51. Było ich osiemnastu.

Ostatnio, co roku liczba absolwentów przekracza 300. Ogółem studia na Wydziale Włókienniczym PŁ ukończyło już ponad pięć i pół tysiąca osób. Pracują teraz w zakładach produkcyjnych całego kraju. Nie ma takiego przedsiębiorstwa w polskim przemyśle włókienniczym, które nie zatrudniałoby na kierowniczych stanowiskach absolwentów tego jedynego w kraju wydziału.

Duże zainteresowanie wzbudziła, zorganizowana na wydziale w ramach obchodów jubileuszowych, sesja naukowa na temat kształcenia inżynierów dla potrzeb przemysłu lekkiego. Wzięli w niej udział rektorzy i dziekani odpowiednich wydziałów wielu uczelni zagranicznych. Referaty przygotowali naukowcy z Czechosłowacji, Francji, Polski, RFN, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego. Wykładowcy Wydz. Włókienniczego PŁ od kilku lat kształcą w ramach kursów podyplomowych organizowanych przez UNIDO, inżynierów krajów rozwijających się. Autorzy wielu spośród 89 opracowanych na wydziale skryptów i podręczników otrzymują prośby o przesłanie często niedostępnych, choć poszukiwanych za granicą, egzemplarzy. Niektóre podręczniki przetłumaczono na języki obce: **„Naukę o włóknie" T. Żylińskiego** wydano w języku angielskim, a **„Fizykę włókna" J. Kalinowskiego i G. Urbańczyka** w rosyjskim.

Blisko 3.300 studentów zdobywa teraz wiedzę na Wydziale Włókienniczym. Jednak nie wszyscy systemem stacjonarnym. 920 osób korzysta z innych form studiów. Różnorodność tych form jest ogromna. Oprócz dziennych studiów magisterskich prowadzi się też studia wieczorowe, zaoczne i eksternistyczne. Realizuje się również doskonalenie zawodowe inżynierów na studiach podyplomowych (m.in. na wspomnianych już kursach UNIDO) oraz stacjonarnych i zaocznych studiach doktoranckich.

Wydział Włókienniczy PŁ już od 11 lat działa także na terenie Bielska Białej. Początkowo utworzono tam punkt konsultacyjny Politechniki Łódzkiej. Od roku akademickiego 1969/70 w Bielsku istnieje filia PŁ. W jej oddziale włókienniczym zdobywa dziś wiedzę ponad 400 studentów.

Współpraca z resortami gospodarczymi, a głównie z Ministerstwem Przemysłu Lekkiego, zacieśnia się z roku na rok, a w ciągu ostatniego 10-lecia przybrała wręcz modelowe formy. W 6 instytutach Wydziału Włókienniczego wykonuje się liczne opracowania naukowe dla potrzeb przemysłu. Tylko w latach 1970—76 wykonano 139 prac zleconych przez przemysł, głównie włókienniczy, chemiczny i maszynowy. Ich wartość wyniosła 65 milionów złotych. Podobną sumę, ponad 70 milionów złotych, przeznaczyło Ministerstwo Przemysłu Lekkiego na wyposażenie i modernizację laboratoriów, pracowni i hal technologicznych Wydziału Włókienniczego PŁ w Łodzi i jego oddziału w Bielsku Białej. Wieloletnia umowa, podpisana w styczniu br. przez rektora PŁ i ministra przemysłu lekkiego, przewiduje dalszy rozwój współpracy charakteryzującej się już teraz ogromną różnorodnością form. Bliskie kontakty resortu z Wydziałem Włókienniczym wynikają m.in. z rosnącego zapotrzebowania szybko modernizującego się przemysłu lekkiego na kadrę inżynierską o wysokich kwalifikacjach. Już obecnie absolwenci wydziału stanowią 85 proc. inżynierów zatrudnionych w przemyśle włókienniczym.

Wśród prac o charakterze teoretycznym na uwagę zasługują m.in. badania struktury przędzy i płaskich wyrobów włókienniczych. Wiadomo, że właściwości tkaniny, dzianiny, filcu czy innych wyrobów płaskich, a także różnego typu przędz, zależą od ich fizycznej budowy. Zbadanie tych zależności oraz ich teoretyczne uogólnienie jest niezbędne dla wielu opracowań natury wdrożeniowej. Teoria struktury przędzy i wyrobów płaskich jest jedną z uznanych w świecie polskich specjalizacji naukowych.

Takich „polskich szkół" dopracowali się naukowcy wydziału w wielu innych dziedzinach. Należy do nich fizykochemia polimerów włóknotwórczych — nauka niezbędna dla opracowania ulepszonych i nowych włókien syntetycznych. Duże osiągnięcia zanotowano w badaniach fizycznej mikrostruktury włókna, tzn. w określaniu budowy włókien niepoznawalnej nawet przy użyciu mikroskopów elektronowych. Wyniki prac prowadzonych w PŁ za pomocą technik rentgenograficznych i spektrofotometrycznych rozszerzają możliwości modyfikacji fizycznych, a, co za tym idzie, również użytkowych właściwości włókien.

Naukowcy z PŁ mają też znaczne osiągnięcia w takich dziedzinach, jak fizykochemia procesów barwienia i chemicznego uszlachetniania tkanin, intensyfikacja procesu zgrzeblenia, teoria optymalizacji procesu tkania, doskonalenie technologii z dziedziny odzieżownictwa, ulepszanie konstrukcji maszyn włókienniczych, zagadnienia organizacji i zarządzania procesami produkcyjnymi w przemyśle lekkim i wiele innych. Pracownicy Wydziału Włókienniczego mają na swoim koncie 2.700 publikacji naukowych, 172 zakończone przewody doktorskie i 28 habilitacyjnych.

PAWEŁ PATORA

DLA NAS I DLA DOMU

Foto: Archiwum

DREWNO, KTÓRE GNIE SIĘ JAK GUMA

Dalszy ciąg ze str. 1

Była kiedyś w Radomsku Fabryka Mebli Giętych, od nazwy której powstał skrót: **„FAMEG"**. Wychodząca dziś dla przeszło 5,5-tysięcznej załogi zakładowa gazeta nazywa się **„Głos Famegu"**, choć nie odpowiada to już obecnej nazwie, która, jak wspomniałam brzmi dziś zupełnie inaczej: **ZAKŁADY PRZEMYSŁU MEBLARSKIEGO im. Gwardii Ludowej w Radomsku. „Głos Famegu"** przyznaje się zresztą lojalnie, że jest **„Organem Samorządu Robotniczego Zakładów Przemysłu Meblarskiego im. Gwardii Ludowej"**.

W kącie magazynów urządzono niewielki „salon wystawienniczy", który pokazuje się gościom z pewnym zażenowaniem. Solidnego producenta mebli powinno być stać na coś większego, lepszego, bardziej okazałego. Ale dyrekcja tej fabryki mieści się w „blaszance", jak tu nazywa się piętrowy „biurowiec" zmontowany z elementów „Made in DDR", a biurowiec z prawdziwego zdarzenia dopiero buduje się i jest to inwestycja — jak to określił inż. **Waldemar Kędra** — spóźniona o 20 lat.

W „salonie wystawienniczym" można zobaczyć co produkuje „Radomsko". Inż. Waldemar Kędra zastrzega, że jest tam tylko niewielka część tego, co fabryka w ogóle może pokazać i co produkuje. Są więc tam na przykład bardzo gustowne barki przeznaczone wyłącznie dla odbiorcy zagranicznego, jako że do naszych mieszkań blokowych zupełnie nie pasują. Zbyt wiele zajmowałyby miejsca. Są meble gięte od najbardziej klasycznych, uznawanych u nas nawet w epoce retro za „meblarski śmieć", choć całkowicie niesprawiedliwie. Są też meble typu tapicerskiego, meble stolarskie — a więc bez elementów giętych — oraz meble kombinowane, czyli stolarsko-gięte — z elementami giętymi. Są wreszcie — na mój gust bardzo interesujące — meble w „stylu kolonialnym" lub w „stylu kapitańskim", nawiązujące do mebli z epoki wielkiej migracji w USA, kiedy to osadnicy kolonizowali indiańskie ziemie Dzikiego Zachodu, a które to meble musiały nie tylko wytrzymać trudy podróży wozami po prerii, ale i niejeden raz służyły do obrony i ataku, o czym tak pięknie opowiadają westerny.

W „salonie wystawienniczym" widać wyraźnie ewolucję, jaką przechodzą **ZAKŁADY PRZEMYSŁU MEBLARSKIEGO im. Gwardii Ludowej w Radomsku.** To już nie jest dawny **„FAMEG"**, to już wielki kombinat, który coraz bardziej jest zainteresowany w produkcji nie tylko mebli giętych i dla którego meble gięte stanowią tylko część produkcji.

Tu kilka interesujących danych, które orientują czym jest fabryka mebli w Radomsku:

— w 1976 roku wprowadzono 45 nowych modeli mebli,

— 36 modeli mebli uzyskało znak jakości lub go posiadało; jest to „jedynka",

— meble ze znakiem jakości stanowią 19,6 procent ogólnej produkcji i jest to o 9 procent więcej niż sobie zakładano,

— w pierwszym kwartale 1977 roku fabryka w Radomsku wyprodukowała 41 tys. sztuk mebli ponad plan, a z tego 35 tys. sztuk poszło do sprzedaży na rynek krajowy,

— rocznie w Radomsku opracowuje się od 50 do 70 nowych wzorów mebli,

— dziennie produkuje się w ZPM w Radomsku około 10 tysięcy sztuk mebli,

— rocznie 180 typów mebli z różnym wykończeniem.

I aby obraz był już całkowicie pełny, warto jeszcze podać, że na **ZAKŁADY PRZEMYSŁU MEBLARSKIEGO im. Gwardii Ludowej w Radomsku** składa się aż siedem różnych zakładów. W tym zakład nr 3, który produkuje meble gięte i który musi być zmodernizowany, a także zakład nr 6 w Piotrkowie Trybunalskim oraz zakład 7 w Pajecznie, który był tapicernią Katowickich Fabryk Mebli i który robi teraz tapicerkę dla Radomska. Poza tym ZPM w Radomsku produkuja też płyty wiórowe, co jest rozsądnym wykorzystaniem odpadów. Robi to zakład nr 4. Posiadają też własny transport specjalistyczny do przewozu mebli, czym zajmuje się zakład nr 5.

W referacie dyrektora naczelnego fabryki — mgr inż. Zbigniewa Palucha, wydrukowanym w „Głosie Famegu" znajduje się następujące stwierdzenie:

„Meble nasze, zwłaszcza nowe zestawy wypoczynkowe „Zbigniew", „Radomsko", „Esex" oraz zestaw dziecięcy „Ewa" — cieszą się niesłabnącym popytem i ich produkcja w niewielkim stopniu pokrywa występujące zapotrzebowanie".

Nie mam zamiaru podważać tego trafnego spostrzeżenia, ale — moim zdaniem — wkradł się tam pewien drobny błąd. Patrząc na taką ocenę z punktu widzenia klienta należałoby powiedzieć, że meble wypoczynkowe z Radomska cieszą się **„niesłabnącym popytem"** bo **„ich produkcja w niewielkim stopniu pokrywa występujące zapotrzebowanie".** Bez wątpienia jest to ilustracja zjawiska, które ekonomiści nazywają „rynkiem producenta". Wiadomo przecież, że klient kupi każde meble, które pojawią się na rynku, gdyż ich nieustannie brakuje. Wiadomo też, że po mebie trzeba zapisywać się w kolejki, że wokół handlu meblami powstała bardzo niezdrowa i — powiedzmy to delikatnie — niemoralna atmosfera. Pewien wysoki urzędnik opowiedział mi wręcz anegdotyczną historię kupna fotela bujanego, który przez miesiąc czasu nie mógł dotrzeć do jego domu, mimo załatwienia wszelkich formalności, tylko dlatego, że załatwiał to przy pomocy dyrektora przedsiębiorstwa handlowego, a nie przy pomocy „bodźców finansowych" dla pracowników transportu. Zresztą ów dyrektor sam mu dowiózł fotel do domu, gdyż był bezsilny wobec zmowy swoich pracowników pozbawionych „dodatkowych zarobków".

Inż. Waldemar Kędra był niezwykle uprzejmy i postanowił pokazać mi, co można zrobić z drzewem. Stałam jak urzeczona patrząc na naparowane drewno, które gnie się w formie niczym elastyczna taśma gumowa. Drewno wysycha później i przybiera nadany mu w formie kształt. Poddaje się doświadczonym rękom robotników, budząc fascynację u laika. Ale inż. Waldemar Kędra ostudza mój podziw.

— **Jest to metoda** — powiada — **którą przed stu laty opracowali bracia Thonet i która do dziś znakomicie się potwierdza. Wymyślili oni bardzo proste urządzenie, które pozwala robić z drewnem to co chcemy i co jest nam potrzebne, zachowując jego właściwości.**

Kiedy byłam w Radomsku miesiąc maj przypominał czerwiec i nie trzeba było ubierać się w grube zimowe swetry. W hali fabrycznej panował upał tropików i wcale się nie dziwię **Jerzemu Rykalskiemu,** który tu już pracuje 16 lat, kiedy mówi, że konserwatorzy maszyn wytrzymują tam po kilkanaście minut i uciekają, dziwiąc się, jak oni mogą — w skwarze i duchocie — pracować po 8 godzin dziennie. A stare maszyny wymagają remontów. Parniki są mało szczelne. Zbyt często wyłącza się dmuchawy, które dostarczają świeże powietrze.

Modernizacji i rozbudowy wymaga cały przemysł meblarski. **ZAKŁADY PRZEMYSŁU MEBLARSKIEGO im. Gwardii Ludowej w Radomsku** w latach 1972—1976 wydały na ten cel 300 milionów złotych. Kupiono wiele nowoczesnych maszyn i urządzeń, co pozwoliło podnieść jakość produkcji i poprawić warunki pracy. Ale do ideału jeszcze daleko. Trzeba bowiem przede wszystkim zmodernizować zakład nr 3, ten, w którym wyrabia się meble gięte. I to leży w zamierzeniach fabryki. Unowocześni się również zakład nr 6 w Piotrkowie Trybunalskim. Potrzeba radomszczańskiej fabryce nowych magazynów, potrzeba unowocześnienia wydziału obróbki wstępnej, instalacji klimatyzacyjnej i energetycznej. I to wszystko ma stać się do 1981 roku. Takie są plany, zamierzenia i cele. Rynek krajowy czeka na radomszczańskie meble i „Radomsko" na to oczekiwanie musi odpowiedzieć wyższa i coraz lepsza produkcja. Radomszczańskie meble chcą też ciągle kupować zagraniczni kontrahenci.

— **Niespełna 40 procent naszych mebli sprzedajemy za granicę** — stwierdził Jerzy Urbański.

Dużo to, czy mało? — zastanawiam się. Z pomocą przychodzi mi inż. Waldemar Kędra.

— **Proszę pamiętać** — powiedział — **że do produkcji mebli giętych potrzeba „łat bukowych o długości dwa metry dwadzieścia, dwa metry czterdzieści. Drzewo bukowe musimy kupować za granicą. Importujemy je i potrzebujemy dewiz na to drzewo, jak też potrzeba nam dewiz na modernizację, na kupno importowanych maszyn.**

— **A poza tym jest też sprawa gustów** — uzupełnił Jerzy Urbański. — **Wydłużamy serie eksportowe i dajemy część tej produkcji do sklepów Warszawy, Katowic, Poznania, Łodzi. Jednak nie zawsze meble poszukiwane na zagranicznych rynkach podobają się w kraju. Na przykład meble w „stylu kolonialnym". Nie każdy je kupi.**

Mnie się tam one podobają, ale to nie zmienia faktu, że nim będziemy mogli kupować to, co nam się podoba, przemysł meblarski musi się unowocześnić.

BOGDA MADEJ

PLASTYKA

GUSTAW ROMANOWSKI
ANTONI SZRAM

W STRONĘ MACKIEWICZA

W obszernych granicach łódzkiego realizmu umieszcza się schematycznie twórczość artysty najstarszego pokolenia — KONSTANTEGO MACKIEWICZA, którego powojenna działalność artystyczna zajmuje ważne i indywidualne miejsce w dziejach współczesnej sztuki łódzkiej.

Ale przedstawienie tylko wymiaru tej twórczości z perspektywy ostatnich trzydziestu kilku lat, zubożyłoby wizerunek artystyczny K. Mackiewicza, dla którego tak istotne są doświadczenia malarskie z młodości, spędzonej w Rosji (potem w Rosji Radzieckiej). To prawda, że Konstanty Mackiewicz, jako perfekcyjny malarz warsztatowiec, przechylił się ostatecznie ku formie realistycznej — jednakowo traktując postimpresjonizm typu bonnardowskiego, jak i realizm dziewiętnastowieczny wykształcony na gruncie szkoły rosyjskiej. Ale traktowanie tego wyłącznie jako akcesu K. Mackiewicza do realizmu jako i szkoły widzenia i filozofii artystycznej, byłoby szablonowym zacieraniem rzeczywistości.

Konstanty Mackiewicz we wczesnej młodości rozpoczął samodzielną twórczość — jeszcze jako student szkół artystycznych w Odessie i w Penzie — pod sztandarami awangardy i to od razu jako wyjątkowo dojrzały malarz. Zachowały się do dziś obrazy z tego okresu — **„Uliczka w Odessie"** (1913) **„Fabryka w Penzie"** (1914) i **„Wspomnienie z Grodna"** (1916), gdzie odnajdujemy bez trudu ślady kubizmu syntetycznego i oryginalnego rosyjskiego futuryzmu. Potem, w latach 1916—1926 malował K. Mackiewicz **„Maszyny"** — obraz w wielu zmieniających się wersjach, który można też uznać za osobliwe laboratorium, gdzie jego poglądy przechodziły dość szczególną ewolucję. W 1916 roku była to — jak sam wspomina — praca domowa, wykonana na półrocze roku akademickiego i przedstawiona do oceny w penzeńskiej szkole. Utrzymana była wtedy w duchu bardziej cezannowskim, niż konstruktywistycznym. Obraz ten nie otrzymał oceny, co stało się dla młodego eksperymentatora bodźcem do poszukiwania dlań takiej formy, która najlepiej potrafiłaby uchwycić technicystyczny rytm nowych czasów. Wersja obrazu, którą znamy z galerii Muzeum Sztuki w Łodzi, jest — według zapewnień autora — szóstą z kolei i uwzględnia zauważony również przez krakowskich formistów ten czysty regularny rytm, jaki tworzą maszyny, budynki, pracujący ludzie.

Jednakże w tym samym czasie, kiedy eksperymentował z **„Maszynami"**, uprawiał jednocześnie malarstwo realistyczne: malował rosyjskie dworki, wnętrza, lasy, rozległe przestrzenie nadwołżańskiego pejzażu. W okresie, kiedy powstawały również pionierskie w formie martwe natury — a forma ich może należeć do mocnych zrębów na jakich zasadza się polska sztuka nowoczesna XX w. — tego rodzaju działanie artystyczne (jeśli nie było podejmowane z pobudek wyłącznie doraźnych i zarobkowych), może być uważane za zgrzytliwą niekonsekwencję. Ale właśnie to jest specyfiką myślenia artystycznego Mackiewicza, które rzutuje na całą jego ogromną ilościowo twórczość.

„Nigdy nie interesowała mnie sprawa — powie potem artysta — **czy moje koncepcje i propozycje są nowatorskie, pionierskie; zdecydowanie interesował mnie prąd filozoficzny, w którego nurt wchodziłem. Moje martwe natury („Z czajnikiem" 1917, „Z dziurami" 1920—1922) burzą tradycyjną formę obrazu — ten poczciwy układ prostokąta. Doszedłem wtedy do przekonania, że obraz sztalugowy kształtuje wewnętrzna jego struktura, na którą składa się format, wieloboczność, wyraz, napięcie wewnętrzne. Do tworzenia kompozycji posłużyły mi więc różne materiały, jak metal, drewno, szkło, opiłki żelazne, szmaty, tapety, skrawki papieru itp. Poszukiwania te zasadzały się między kubizmem a konstruktywizmem. Realizowałem wtedy cykle „Martwych natur" oraz „Maszyn". Dziś powracam w pewnym zakresie do swoich pierwotnych koncepcji malarskich w cyklu „Szklane domy" — do zasady swobody kompozycyjnej głównie — budując dowolne układy przestrzenne obrazu z różnych wątków tematycznych jako elementów składowych. Tak, jakbyśmy zobaczyli świat w potłuczonym na kawałki lustrze".**

Cała różnorodność doświadczeń technicznych staje się więc cechą charakterystyczną tego wszechstronnie objawiającego się temperamentu. Stąd owe nietypowe techniki mieszane, olej, collages oraz scenografia uprawiane mniej więcej równorzędnie — z tym samym zainteresowaniem i traktowaniem sztuki jako artystycznej weryfikacji rzeczywistości. W programie filozoficznym Konstantego Mackiewicza pojawia się więc bardzo wcześnie zasada integralności sztuki.

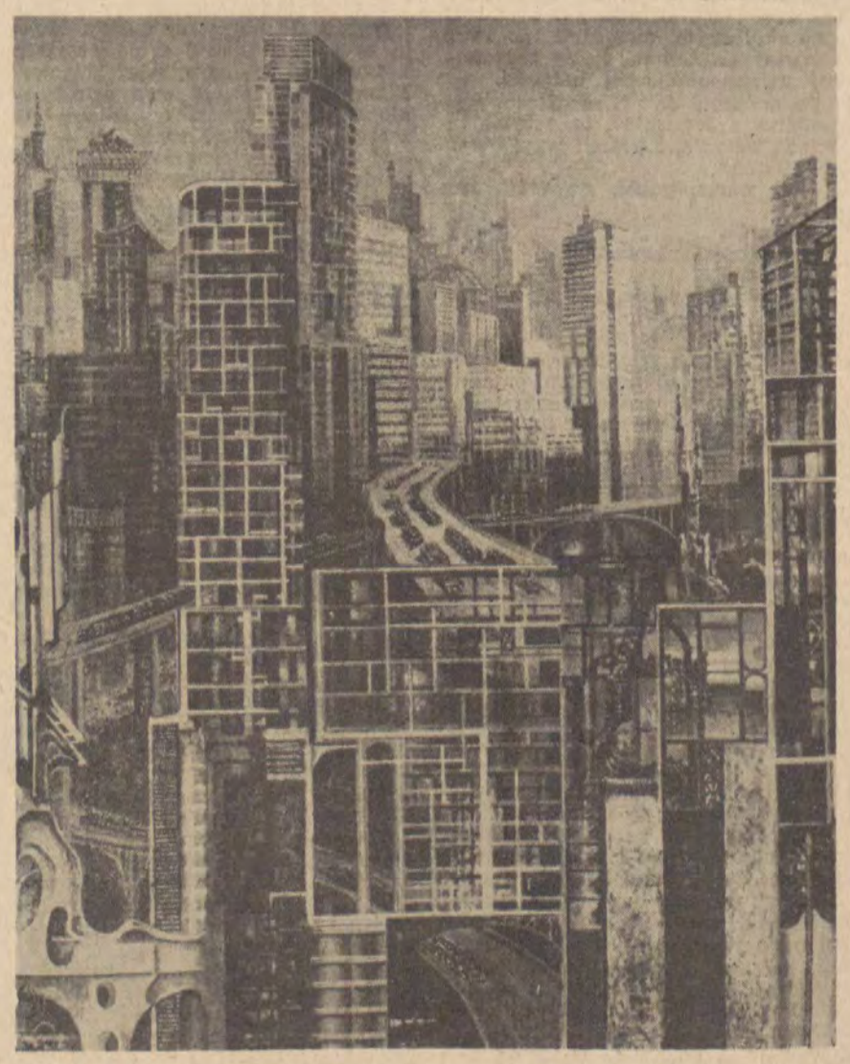

Foto: Aleksander Kurycki

PLASTYKA

„Chodziło mi — i nadal nad tym pracuję — o pogodzenie wszystkich sztuk, gdyż doszedłem do przekonania, że w sztuce nie ma antagonizmów. Antagonistami jesteśmy tylko my — artyści, depczący sobie po piętach przy każdej okazji".

Znamy dość dobrze programy i realizację twórczą burzliwego okresu eksperymentów futurystów i kubistów. Pojawił się na podobnej zasadzie programowy bełkot dadaistów, jako protest przeciwko obłędowi otaczającego ich świata. Bunt filozoficzny i artystyczny przedstawicieli tych kierunków był wówczas najostrzejszym negowaniem rezultatów historii i polityki. Straszenie mieszczuchów i konformistów widowiskowym poszukiwaniem „nowego języka" sztuki, burzyło zastany ład nie tyle artystyczny, co raczej światopoglądowy.

„Futuryzm był mi wtedy bliski; demonstrowałem to na pokaz. W burzliwym okresie rewolucyjnym nosiłem na policzku czarną gwiazdę z ekscentrycznymi dodatkami. Bardzo wiele szokujących i odkrywczych formalnie elementów „szczerości futurystycznej" wniosłem potem do optyki teatru, np. w scenografiach do oper „Demon" i „Pajace".

Analizując ten passus w wypowiedzi Konstantego Mackiewicza, nie chcielibyśmy, aby było to traktowane, jako wyłącznie próba przekonania wszystkich do tego artysty, który w czasach młodości był tak niezwykle uwrażliwiony na hasła nowoczesności. Mimo to, można zauważyć, że zakres zainteresowań Mackiewicza był zawsze bardzo szeroki: uprawiał kubizm analityczny i syntetyczny, interesował się dramatem i muzyką; można w jego sztuce znaleźć prawie wszystko, poczynając od collages, folkloru murzyńskiego i ready-mades — aż do zapowiedzi konstruktywizmu i czystej abstrakcji. A były to przecież dopiero lata 1919—1926.

Czy Konstanty Mackiewicz stworzył w tym okresie dzieła o walorach nieprzemijających? Nie stworzył, choć obrazy z tego okresu imponują wielką odkrywczością formalną. Nie stworzył — bo stworzyć ich nie chciał i nie mógł. Ale czy to nie wystarczy? Nie trzeba przecież tłumaczyć, jak wielką wagę posiada dla człowieka odnalezienie własnej wizji życia i świata — a ta ukształtowała się pod inspiracją futurystów.

„Pojąłem, że w sztuce — powie potem artysta — **można poczuć się wolnym od jakichkolwiek rygorów; że takie rygory sztucznie tworzone, tak naprawdę w ogóle nie istnieją".**

W rezultacie artysta uczestniczy w licznych dyskusjach, spotkaniach awangardowych artystów i działaczy młodej kultury radzieckiej. W 1921 roku na moskiewskim zjeździe artystów, polemizuje z rzuconym wtedy przez Brika hasłem „malarze do przemysłu". Uważając sztukę jako element rozwoju życia wewnętrznego człowieka, domaga się Konstanty Mackiewicz podkreślenia autorytetu czystych dyscyplin plastycznych — domaga się uznania hegemonii dzieła sztuki. I choć cechował go zawsze silny zmysł aktualności, nigdy nie był ciasnym, jednostronnie doktrynerskim działaczem artystycznym oraz malarzem.

Po powrocie do kraju w 1923 roku, pełne gwałtownych sprzeczności wydarzenia polityczne wciągnęły go w wir dyskusji nad odrodzeniem w nowym kształcie sztuki polskiej. Obok wszechstronnej kampanii odczytowej i propagandowej w obronie wolności twórczej jednostki w sztuce i w życiu, maluje kilka wartościowych płócien i organizuje nowe ekspozycje swoich obrazów. Wystawiony w roku 1928 obraz **„Maszyny"**, a właściwie jego ostatnia, szósta wersja, zostaje — mimo panowania oficjalnie konserwatywnych poglądów na sztukę — nagrodzony przez Prezesa Rady Ministrów.

Nic tak dobrze nie ilustruje i nie potwierdza zaangażowania się K. Mackiewicza w sprawy życia kulturalnego Łodzi — kiedy osiadł tu w 1926 roku — jak ilość i siła ataków ze strony ugrupowań prawicowych wymierzonych przeciwko działalności artystyczno-społecznej Mackiewicza. Po poznaniu dość bogatej literatury czasopiśmienniczej na ten temat, możemy bliżej określić genezę międzywojennej twórczości tego malarza i scenografa w świetle oceny przez współczesnych mu tak przyjaciół jak i wrogów. Jedni mieli mu za złe, drudzy posługiwali się chętnie złośliwościami, utrzymując, że po to, by zaspokoić osobiste urazy, wygłasza tanie hasła. I tak np. w **„Kurierze Łódzkim"** w 1934 r. po jednym z głośnych odczytów K. Mackiewicza, ukazała się charakterystyczna notatka urzędowego felietonisty — Ryngrafa:

„W sobotę 16 bm. w galerii w Parku Sienkiewicza p. K. Mackiewicz wygegał pełen ataków chaotycznych i pryskających pianą chorobliwej ambicji odczyt pt.: „Łódź i jej sztuka".

W tym samym lokalu, podczas kolejnej wystawy K. Mackiewicza doszło do incydentu, podobnego do brutalnej demonstracji prawicy podczas uroczystości nagradzania Władysława Strzemińskiego. Uczniowie prywatnej szkoły malarskiej Szczepana Andrzejewskiego, zwiedzając wystawę, obrzucili słynny dziś „Obraz z tarką i z dziurami" zgniłymi pomidorami i omal nie zdemolowali lokalu. Interweniował wtedy kierownik galerii Marian Dienstl—Dąbrowa, który przy pomocy rewolweru, rozpędził prawicowych młokosów skandujących nacjonalistyczne hasła. Ów incydent sfinalizował się zresztą procesem sądowym z Sz. Andrzejewskim, który wystąpił w... obronie swych uczniów. W procesie, powołany na biegłego sędziwy łódzki malarz Maurycy Trębacz, dał chyba najtrafniejszą charakterystykę K. Mackiewicza, która do dziś nie straciła nic na aktualności.

„Mackiewicz jest takim majstrem — oświadczył stary „monachijczyk" **że może w sztuce robić wszystko, co zechce. Reakcja publiczności, oddaje siłę oddziaływania jego obrazów".**

Ta niby drugorzędna scenka pogwałcenia wolności sztuki zwraca naszą uwagę na różne implikacje, modelujące rzeczywistość artystyczną w Łodzi jeszcze w wersji drobnomieszczańskiej. Nie były to, jak wiemy, sytuacje odosobnione.

Ale właśnie w tym okresie osiąga Konstanty Mackiewicz największe powodzenie jako scenograf i jako malarz. Dotrzymując kroku popularnym już dokonaniom kolorystycznym „kapistów", zaczyna malować w duchu postimpresjonizmu, zdobywając tym malarstwem znaczną popularność u tak zwanego „odbiorcy wykształconego".

Nie naszą rzeczą jest wywlekanie w tym miejscu błędów natury filozoficznej niektórych ugrupowań artystycznych. Faktem jest jednak, że do udziału w wystawach zbiorowych zapraszało K. Mackiewicza zarówno prawe skrzydło artystyczne niepodległej Polski, jak „Rytm" jak i awangardowy i lewicujący „Praesens". Jednocześnie brał udział, jako oficjalny przedstawiciel Polski w wystawach w Brukseli (1933), Paryżu (1937) i w Nowym Jorku (1939). Mamy więc wrażenie, że program artystyczny K. Mackiewicza nie pokrywał się już z modernizmem (który nie mógł być sztuką oficjalną), a w każdym razie pokrywał się już nie zawsze, ze scholastycznie wyobcowaną z konkretnej rzeczywistości społecznej — awangardą dwudziestolecia międzywojennego.

„Chodzenie luzem" Konstantego Mackiewicza miało w sobie coś z konieczności; był to protest przeciwko zbytniej specjalizacji polskiej sztuki stroniącej od własnego społeczeństwa na skutek braku jednolitej i powszechnej ideologii i „pogrążania się w egocentrycznej specjalizacji". I stąd właśnie otwarta ciekawość, nieustanne wątpliwości i pytania oraz stałe dyskusje i wygłaszane odczyty — te nazywane przez wrogów „odchyleniami" skłonności do mnożenia i łączenia doświadczeń, będących kontynuacjami różnych połączonych wątków tworzących tradycję sztuki polskiej.

Właśnie wtedy, w latach trzydziestych, zaczyna Konstanty Mackiewicz całkowicie świadomie mieszać style, swobodnie poruszając się w ich przeciwstawnych sobie odrębnościach. Purystyczne martwe natury, i postimpresjonistyczne pejzaże, finezyjna skrótowa elegancja i błyskotliwa, mieniąca się biegłą znajomością bonnardowskiego koloryzmu parada katedr. Najbardziej znane obrazy z tego okresu eksponuje K. Mackiewicz za granicą: **„Martwe natury"** — w Brukseli w 1933, **„Przeprowadzka"** — w Paryżu w 1937 („Art et Techniques", dwa złote medale za scenografię i malarstwo), **„Stare miasto"** — w Nowym Jorku w 1939 r. (wystawa światowa, nagroda).

Te mieszające się jakości stylistyczne tak odmiennego pochodzenia jak kubizm, konstruktywizm czy postimpresjonizm, zawierają jednak w swoim skrótowym wyrazie wiele cech wspólnych tak dla awangardy „Praesensu" jak i łódzkiej grupy „a.r.", której K. Mackiewicz nie był członkiem. W tym miejscu doświadczenia te dadzą się jeszcze porównać z oryginalnymi malarskimi studiami Karola Hillera — twórcy poszukującego własnego wyrazu samotnie, podobnie jak Mackiewicz.

W okres powojenny wszedł więc Konstanty Mackiewicz jako twórca dawno ukształtowany i — jak sądzono — którego największe osiągnięcia artystyczne zostały już dokonane. Pogląd taki zrodził się prawdopodobnie stąd, że kiedy inni artyści o rodowodach eksperymentatorów, już w 1945 roku rozpoczęli krucjatę na rzecz nowej awangardowej sztuki w innych warunkach społecznych i politycznych, K. Mackiewicz — ten doświadczony modernista — nawet nie

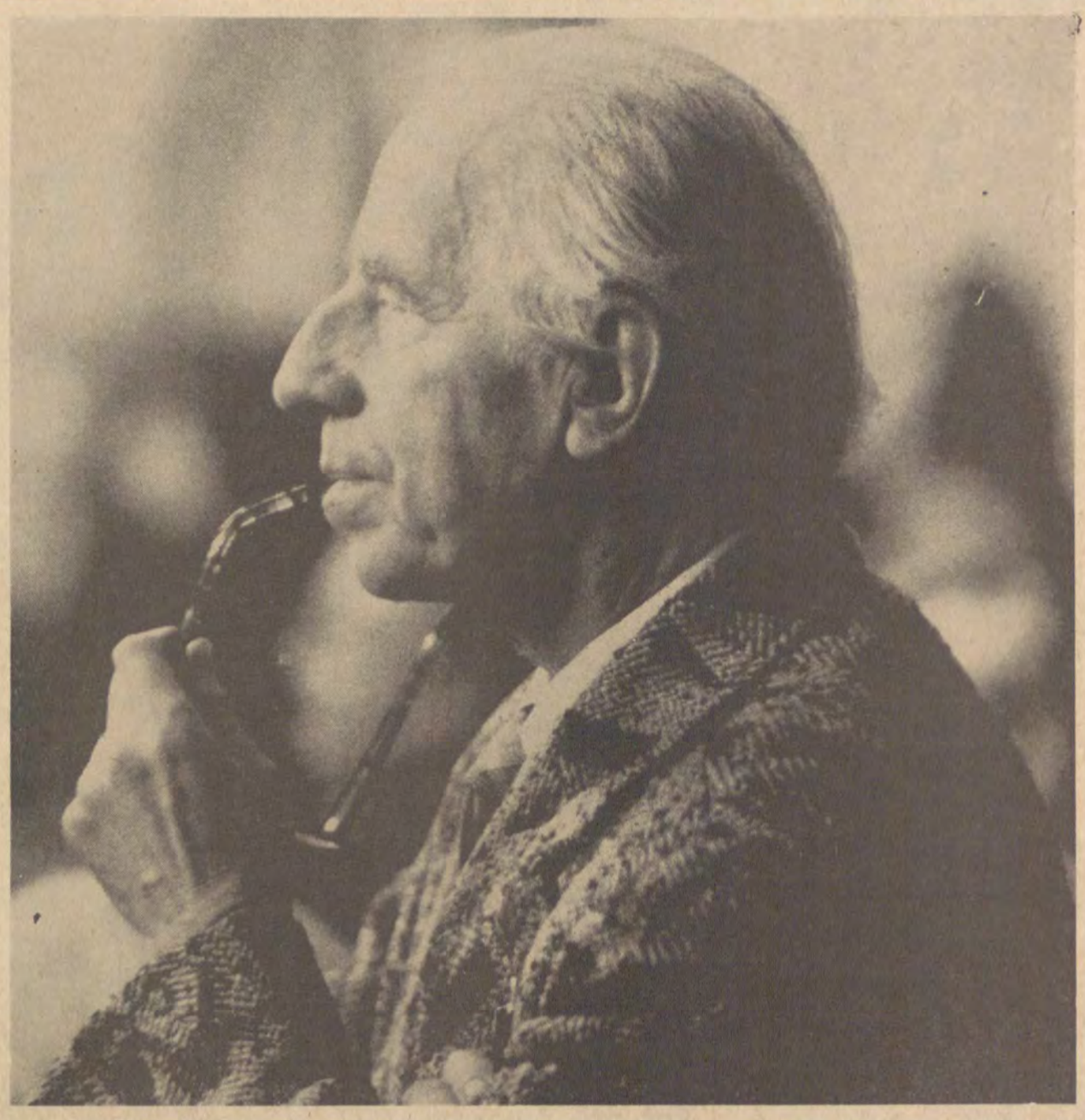

Foto: W. Parys.

drgnął, malując wtedy jakieś mało istotne obrazy.

Jego obraz **„Dymią kominy"** (1949) może być przykładem uczciwej sztuki propagandowej wyzbytej całego szablonu irytującego gadulstwa tak preferowanego przez innych malarzy. Z tego okresu — który dla wielu twórców okazał się impotencją artystyczną — pochodzą kapitalne panoramiczne obrazy przemysłowe z wizją nowej i czystej cywilizacji technicznej. Jakiejś nowej Arkadii społeczeństwa komunistycznego.

Okres socrealizmu nie był więc postojem tego twórcy, czy też jego jałowym dreptaniem po bezdrożach sztuki. Co ciekawsze — doktrynerskie dyskusje prowadzone w prasie na tematy sztuki, które nie szczędziły takich twórców jak Eugeniusz Eibisch, Zbigniew Pronaszko czy Wacław Taranczewski nigdy nie tknęły krytycznym tonem twórczości K. Mackiewicza. Nie ruszył go też zamęt światopoglądowy, i nadgorliwość innych twórców. Konstanty Mackiewicz nie był już wtedy radykałem. Całą mądrość swego doświadczenia wykazał dla mobilizacji opinii publicznej na rzecz sprawy pokoju. **„Będzie piękny dzień"** (I OWP Warszawa 1950), pozostał do dziś dobrym obrazem, gdyż treści deklaracyjne zostały w nim idealnie zrównoważone znakomitym warsztatem malarskim.

K. Mackiewicz wbrew powszechnej fali abstrakcjonizmu, zdobywa się na śmiałość nawiązania do form ekspresyjnych sławnych Hiszpanów i do polskiej tradycji sztuki walczącej i „misyjnej", rozwijanej przez Grottgera, Matejkę a także potem niektórych malarzy Młodej Polski jak St. Wyspiański, J. Malczewski, J. Mehoffer.

Kiedy więc czołowi polscy malarze włączyli się z zapartym tchem w zachodnioeuropejski mechanizm produkcji plastycznej, pogrążając się w taszyzmie, Konstanty Mackiewicz wypuszcza cykl symbolicznych obrazów **„Tu byli ludzie"** — będący patetyczną wizją katastrofy totalnej, w której miażdżone żelastwo osiąga nieraz przerażające malarskie piękno.

Artysta zaczyna więc przechodzić jakby rozwój nurtu ekspresyjnego. Wywołuje emocje poprzez treści, celnie wyraża wielkie metafory, uogólnia wizje przyszłości. Ten program dojrzałego i doświadczonego już bardzo twórcy zestraja się jakby mimowolnie z postępową grupą malarzy warszawskiego „Arsenalu" — tej największej zwrotnicy w polskiej sztuce powojennej, do której się nieustannie z perspektywy czasu powraca. I choć młodzi „arsenałowcy" zostają rychło odsunięci na boczny tor, K. Mackiewicz kontynuując ten nurt, zdaje swój kolejny wielki egzamin artysty samotnika. Przeciwstawia się fascynacjom sztuki zachodniej, zmierzając w kierunku pogodzenia krytyki społecznej po stronie treści narodowych. Epopeja malarska **„Tu byli ludzie"** (obraz z tego cyklu **„Ostatni happening"** wystawiony był na IV Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie w 1968 r.), wnosi nurt głębokiego dramatyzmu, odwołując się do pewnych treści literackich. Żarliwe — choć bez patosu — potępienie wojny, bezprawia, przemocy, przestrzega przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ludzkości era atomu. Nie jest to tylko sprawa czystej estetyki. Sugestywna forma obrazu — sugestywna malarsko — spełnia określone zadanie w edukacji odbiorcy przyzwyczajonego do poszukiwania w obrazie wyłącznie problemów formalnych. Stąd zawarty w tych obrazach bunt przeciwko koszmarowi przypadkowo rozniecanej wojny kontynentów, bliski jest tak bardzo ekspresyjnej szkole nowej sztuki hiszpańskiej a zwłaszcza twórczości Juana Genovesa. I tu i tam, zamiast spokojnej konstatacji, mamy do czynienia z namiętnym krzykiem mocno czującego swój czas artysty.

Wartość tego wyjątkowego zespołu obrazów należałoby oszacować oddzielnie, gdyż ich działanie jest ogromne poprzez olbrzymi kapitał malarskiej wiedzy i osobliwy dar wyobraźni, który zezwala na filozofowanie w malarstwie bez obciążania go banalną literacką formułą. Rozpoznanie wartości tych obrazów nastąpiło zresztą dość wcześnie. Za jeden z pierwszych obrazów tego cyklu zatytułowany **„Nie!"** otrzymał K. Mackiewicz nagrodę I stopnia ministra kultury i sztuki na wystawie XV-lecia PRL w Warszawie w 1961 r.

Twórczość artysty z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych układa się głównie cyklami. Po **„Tu byli ludzie" i „Termitierach"** przychodzą pełne witalnego humanizmu **„Szklane domy"**. Są to rozbudowane poliptycznie obrazy — collages zawierające wizję gigantycznej i wszechogarniającej superurbanistyki.

„Dominującego wrażenia świeżości — relacjonował krytyk Zbigniew Klaczyński swoje wrażenia z wystawy XX lat Polski Ludowej w twórczości plastycznej w 1964 r. — **doznałem oglądając „Wielką budowę" Konstantego Mackiewicza: obraz rehabilituje werystyczne widzenie miejskiego pejzażu, surową rzeczowość, ostentacyjnie podkreśloną iluzjonistycznymi efektami. ...Jest to malarstwo przekorne, ryzykanckie, choć świadome podejmowanego ryzyka — i w tych cechach bardzo młodzieńcze. Powiedziałbym — najmłodszy obraz na wystawie, gdyby nie ogólna znajomość twórczej drogi artysty i niedyskrecja katalogu wskazującego datę urodzenia: rok 1894. Jest coś znamiennego w tym buncie malarza „rocznik 94" i niepokojącego w powszechnej na ogół układności pokoleń z lat trzydziestych".**

Od czasu tamtej wystawy w sztuce polskiej i światowej zaszły znaczne zmiany, ale fala nowej figuracji, która nadeszła po 1965 roku, jeszcze wyraziściej uwypukliła malarskie dokonania K. Mackiewicza ostatnich lat. W kompozycji **„Miasto"** (1969—1970) wieloplanowe struktury urbanistyczne dochodzą do stanu, który można by nazwać ekstazą: potężne formy przemysłowe wyrastają z wiekowej tkanki miasta. W mieniącym się collage'u gotyckie wieże, barokowe i renesansowe budowle, detal rzeźbiarski, nowoczesne trajektorie i perfekcyjna komunikacja, tworzą fantastyczną wizję wiecznego chaosu kultury. Nic dziwnego, że obraz ten posiada drugą, symboliczną nazwę **— „Rzym".**

W **„Szklanych domach"** — tej sarkastycznej **„Pieśni nad pieśniami"** ery supercywilizacji nie widać tylko człowieka.

„Człowiek nie chce być aktorem w takich wielkich dekoracjach — powiada Konstanty Mackiewicz — **on chowa się w swoich małych azylach, gdzie jest trochę miejsca dla zwyczajnych intymności. Ten błyskotliwy geniuszem ludzkich możliwości świat, w którym tysiąclecia nakładały na siebie swoje pyszne piękno, jest pięknem absurdu. Mój obraz jest budowany w taki sam sposób: nakładającymi się na siebie warstwami, chaosem komponowania całości, nagromadzeniem setek różnych przedmiotów. Ale tak, jak świat ma swoją logikę".**

Wbrew pozorom te prace K. Mackiewicza — choć naszpikowane myślą historiozoficzną — sumują w sposób odkrywczy długoletnie doświadczenia artystyczne i czysto malarskie. Przebija się z nich trójwarstwowa synteza dotychczasowej drogi twórczej. Składa się na nią:

— futuryzm rosyjski ze swoją filozofią niezgody na to, co wydaje się skończenie piękne i doskonałe;

— kontrast czysto malarski pomiędzy formizmem a banndardyzmem na gruncie polskim czyli między kompozycją formy a funkcją przedstawiania;

— kompleks teatru — chciałoby się powiedzieć: „kompozycjonistyczne" kompleksy scenografa, sugerujące nigdy nie przebrzmiałe zainteresowania dekoracyjne. Dlatego w budowę obrazu, malarz ten wkłada zawsze największy i nieszablonowy wysiłek.

W ujęciu tych wszystkich tak różnych motywów, możemy lepiej wyrazić skomplikowaną indywidualność plastyczną Konstantego Mackiewicza.

Rozdział z książki „Ślady i tendencje" przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego.

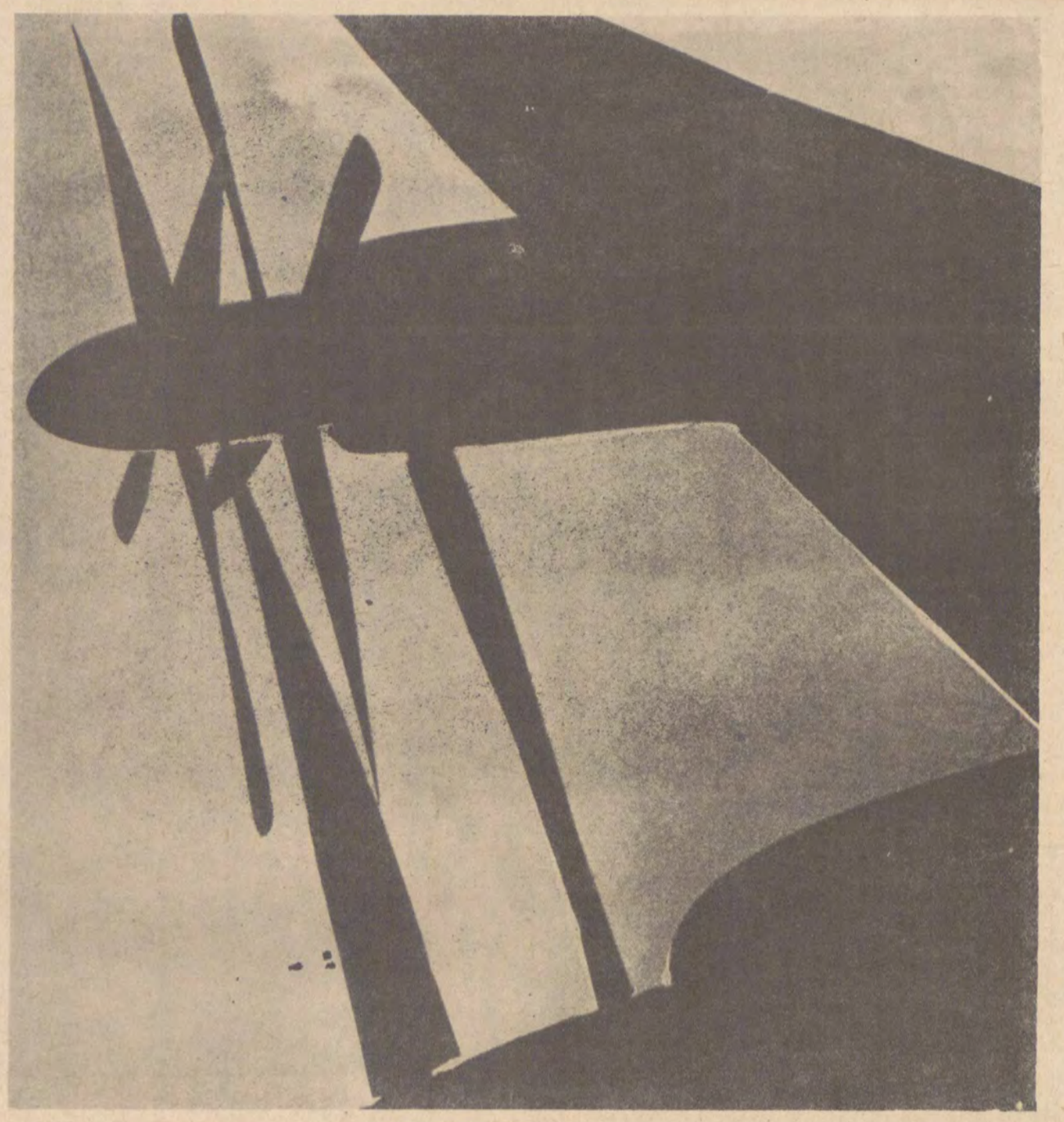

Foto: Archiwum

WIESŁAW MACHEJKO

NAVIGARE NECESSE EST...

Mój pilot wyraźnie nie był zachwycony.

— Latał pan kiedyś? Miał pan coś wspólnego z lotnictwem?

Pytania musiały pozostać bez odpowiedzi, bo „Wilga" kołowała już na start.

...Więc tak, 4 września 1939 na ścierniskach koło Koniecpola zetknąłem się z lotnictwem po raz pierwszy. Naszą furkę, toczącą się piaszczystą drogą, atakował do skutku szturmowy Ju-87, „Sztukas" wykonał zadanie. Zabił dwa konie, wszystkich ludzi. Ja ocalałem, bo leżałem w rowie. Rodzina ocalała, bo przezornie uciekaliśmy w rozbiciu, jedno tą, drugie inną furmanka. Skokami przez pole. Junkers odleciał, choć ludzie w lesie opowiadali potem, że zestrzelił go polski samolot. Ale tego nie widziałem.

* * *

Na jednym kolanie pilota trójkątny wycinek mapy, według której mamy szukać ukrytych celów, białych płacht wyłożonych na polach, pod lasami, ukrytych chytrze za domami, gniazdko na Obywatelskiej nr 3, usiadła na pustym parkiecie i płakała ze szczęścia. Obok stał kosz od bielizny pełen uniwersyteckich książek. Cały posag, majątek, dobytek. Ten dom stoi, o tam! Były dwa bloki: narożny z dzisiejszą aleją Politechniki i nasz. Jeden sklep. Do tramwaju skakało się przez Jasień. Jak nie było deszczów. Jak były, trzeba było iść przez Skrzywana, albo przez dziką Wenecję... Trudno dziś odnaleźć i te bloki wśród dziesiątków wieżowców, a Obywatelska dziś — to zielona, dwupasmowa aleja z wielkim mostem. I elektrociepłownia! Sekunda lotu i nowy już oddział ZPB im. Armii Ludowej, z najnowocześniejszymi przędzarkami WIR. A gdzież te żabie oczka stawików, które zalegały łąki poza szkołą na ul. Przyszkole? Tam, gdzie się kończył świat i Łódź?

nad którymi już przelecieliśmy. Patrzeć w przód, na boki, w tył, pod siebie. Myśleć o niewielkim wycinku, jaki na lotniczej mapie stanowi dzielnica Górna — przedmiot naszego dziennikarskiego zwiadu. Ćwiartka miasta: ćwiartka jego przemysłu, budownictwa mieszkaniowego, eksportu, inwestycji drogowych widocznych z samolotu jak na dłoni, a wiodących na południe, ku Śląskowi.

— Na razie oblecimy sobie w kółeczko — krzyczy pilot. **— Niech pan robi swoje obserwacje, a ja poszukam. Potem już szukamy razem!**

* * *

Więc obserwuję.

Kiedy w 1955 Baśka otworzyła kluczem za 16 złotych nasze pierwsze

* * *

Pilot szturcha mnie w bok. — **Jest!** Ale to już jest gdzieś dalej.

Koło wielkiej przepompowni wodociągu Sulejów — Łódź. Dwa białe kawałki płótna! I zauważ to, bracie, gdy patrzysz na gigantyczną budowę, sto lat oczekiwaną przez spragnione wody miasto!

Teraz pilot przemienia się w lisa! Horyzont staje dęba raz z jednej, raz z drugiej strony. Szuka!

Pokazuję mu kilka długich, białych płacht, wyłożonych na świeżo zaoranym polu. Kiwa przecząco głową! To nie! Aeroklub nie ma tyle płótna! To lniarze wybielają! No, to wio! Dalej! Poszukamy koło tych stawów!

* * *

Łódzkie stawy. Zbiorniki na 100 rzeczkach, które wypływając z łódzkiej, porastającej wzgórza puszczy, stały się początkiem foluszy, przędzalń, farbiarni i bielników, początkiem przemysłowej Łodzi. Ocalały, praktycznie biorąc, tylko te na Górnej. Wyschły w Helenowie. Walczą o życie w Arturówku. Ale tu, na Górnej, ludzie biją się o nie każdego dnia. One są już i będą miejscem ludzkiego wytchnienia: stawy Stefańskiego (tej nazwy chyba nikt im nie zabierze!). Stawy Jana. Młynek. Zagospodarowane, czyste, zapraszają do wody, słońca, łódek, kąpieli. Rośnie Rudzka Góra, po której kręcą się pracowite spychacze. Przyszłe centrum sportów zimowych, może miejsce obserwatorium astronomicznego?

Nagle uzmysławiam sobie, że rzeczywiście pilot miał rację! Dziennikarz to nie wysychające źródło refleksji, a nie REFLEKSU, o który tu chodzi! No, bo znów był znak! I to on go znalazł. „Niech tam — myślę — leci nie pierwszy raz!..."

A kiedy ja poleciałem po raz pierwszy? Chyba w 1948! Załiliśmy wtedy całą paką chłopaków i dziewczyn na lotnisko Kucelin w Częstochowie, gdzie kuzyn był działaczem aeroklubu. Wtedy przewiózł nas amerykańskim PRIPEREM-CUP. Cóż za wrażenia! Bo ten szkolny amerykaniec był oczywiście bez drzwi, które gdzieś zginęły. Potem siadywaliśmy, pozując do zdjęć w zdobycznych niemieckich szybowcach GRONAU i BEBI. Ale gdy zaczęły się katastrofy, wycofano je z użycia...

* * *

No tak! I znowu jest znak. Tym razem zauważamy to jednocześnie! Za szkołą ułożona z płótna litera T.

— Jest cel! Widzę cel! — krzyczy pilot.

Ja też krzyczę: — Jest cel...

Skąd ja to znam? Oczywiście Meissner! Fiedler! Arct! Literatura naszej młodości. Lotnicze dywizjony Legendy. Jest cel...

Jest cel, by o nich pamiętać. By zawsze składać kwiaty pod pomnikiem chwały polskich lotników, tak, jak to zrobiliśmy, zaczynając ten dzisiejszy zwiad na Lublinku.

* * *

...Na Lublinku? Na Lublinku pierwszy raz znalazłem się startując jako korespondent „Głosu" samolotem Dacota do Poznania na targi. Wtedy jeszcze Łódź miała połączenia lotnicze ze światem. No, przynajmniej z paroma miastami Polski. Ale kiedy parę tygodni temu zapytałem o naszą lotniczą przyszłość inż. Jana Smoleńskiego, naczelnego inżyniera Biura Studiów i Projektów Lotnictwa Cywilnego w Warszawie, odpowiedział, że perspektywy oczywiście są! Że Łódź powinna mieć lotnisko pasażerskie! Że nawet coś takiego jest już na deskach... Czy tylko nie r o z ł o ż o n e na deskach? I to na cztery łopatki? Na razie do Rzeszowa, czy Szczecina łodzianin wędruje pociągiem pół doby. Że jesteśmy pod tym względem chyba jedyni w kraju, bo i Zielona Góra ma już port lotniczy, to nikogo nie wprawia w zachwyt. Ale winy nie szukać nam ani przy ulicy Sieradzkiej, ani przy Piotrkowskiej, ani przy Kościuszki...

Podobnie rzecz ma się przecież z budową centrum lotnictwa sanitarnego właśnie na Lublinku. Wspominaliśmy sobie niedawno z pilotem Przybylskim, jak to dwadzieścia lat temu pisałem reportaż o jego przymusowym lądowaniu koło Skierniewic. Odwiózł wtedy do Warszawy dziewczynkę. Operacja uratowała jej życie. Wracając po omacku w śnieżycy, zmuszony do lądowania na polu, złamał podwozie. Znaleźliśmy go nocą w jakiejś chałupie.

— Czy od tego czasu w sanitarnym coś się zmieniło?

— Tak, zabrano nam wszystkie samoloty. Łódź jest tylko miejscem przelotowym. Tankujemy paliwo. Przyjmujemy niektórych chorych. Ale mało. Mając tyle klinik! Tyle unikalnych urządzeń, choćby tylko wyposażenia toksykologiczne Instytutu Medycyny Pracy, czy WAM. Nie mamy na Lublinku nawet budki dla sanitariuszy i chorych!

Naprawiamy to entuzjazmem ludzi. Głównie tych z aeroklubu, który mając tu swą siedzibę, użyczy jej wszystkim potrzebującym. A nadto przecież ma swoje zadania: szkoli pilotów szybowcowych, motorowych skoczków, modelarzy. Ba! Ryzykuje własne konstrukcje typu „Prześniczka", od których przybywa nam sławy nowych pionierów maleńkiego lotnictwa, tak w świecie popularnego, jak go-carty w samochodziarstwie. Ale przybywa też siwych włosów ludziom kierującym aeroklubem... Wrze w tym aeroklubie, jak w ulu! Wystarczy pierwsze wiosenne słońce.

Dzwonimy z redakcji:

— Słuchajcie, trzeba nam czegoś wiosennego.

A Alojzy Górny na to:

— Przyjeżdżajcie! Wszystkie szybowce już wyciągnięte z hangarów. Remontujemy! Czyścimy! Pucujemy! Malujemy! Robimy silniki przy Biesach! Startują do treningu motorowcy...

Jakoś ufniej spoglądam teraz na mojego pochmurnego pilota. Toć, do licha, jeden z nich! Tych fanatyków sportowego lotnictwa, które jest u nas i pracą społeczną, i szkoleniem obronnym...

* * *

— To będzie chyba ostatnie, co znajdziemy. Cholera! Gdybym chociaż wiedział, ile ich wyłożyli — krzyczy pilot poprzez ryk silnika.

Ja też nie wiem! Może rzeczywiście trzeba było coś wyniuchać?

Ale to nie było fair w stosunku do innych załóg z Warszawy, Torunia, Kielc, Częstochowy... Tej Częstochowy, gdzie pierwszy raz zobaczyłem szybowce na wapiennej górze Osona. Zniosła ją dziś na topniki huta im. Bieruta.

— No więc, tak jak byśmy kończyli. Będziemy podchodzić do lotniska — woła pilot.

* * *

...Do lotniska!

Jakie to lotnisko najbardziej zapadło mi w pamięć, zastanawiam się, kiedy Wilga przestała już szaleć i płynie równo w kierunku Lublinka. Chyba Bien-Hoa. Tak! Ten niezapomniany widok zrabanej przez wietnamskich partyzantów największej bazy lotniczej w Wietnamie Południowym, 40 kilometrów od Sajgonu. To pozostanie w pamięci jak memento. Setki spalonych i rozerwanych wybuchami granatów amerykańskich myśliwców, zwiadowców, bombowców, helikopterów. Tak chyba musiały wyglądać w 1945 lotniska hitlerowskie: Tempelhoff, Schoenefeld. Tak zakończyła się kariera pilotów z „mojego" Ju-87, z którym spotkałem się pod Koniecpolem.

To byłoby jedno. I drugie lotnisko. To, koło Mińska Mazowieckiego, Lotnisko Pierwszego Pułku Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa", gdzie byłem miesiąc temu, gdzie — z trudem, bo z trudem — wcisnąłem się do bojowego MIGA-21. Pomyślałem sobie wtedy, że tam, w Wietnamie i tu, w Polsce, szanse są równe, gdyby komuś, coś przyszło do głowy...

* * *

Podniesione kciuki przy pomalowanym w biało-żółte szachownice samochodzie. Łomot kółek podwozia o murawę Lublinka. Koniec lotu. Ale nie koniec rozmyślań. Ale i wniosek: możecie chyba wymagać od nas, dziennikarzy, i refleksu i refleksji... Navigare necesse est! Nie tylko po morzu. W powietrzu także!

REKONESANS

MIROSŁAW KUŹNIAK

NA ZIEMI I W POWIETRZU

Najpierw usłyszałem opowieść o tym, jak to Jacek Indelak po locie w ubiegłorocznym zwiadzie przez godzinę szorował samolot. Później poważny i godny, jak na satyryka przystało, Tadeusz Giegier zastanawiał się, czego mi życzyć: połamania skrzydeł? Skręcenia karku? A jeszcze dwuletnia Joasia, moja córka, obiecała, że w czasie lotu wyjdzie na balkon pomachać mi ręką. Tak opatrzony i podbudowany mogłem już wziąć udział w IV Zwiadzie Dziennikarsko-Lotniczym organizowanym przez KD PZPR Łódź-Górna, Aeroklub Łódzki i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

Wstyd przyznać się, że przed zwiadem nie miałem nigdy okazji do latania samolotem. Nie byłem także na lotnisku. Cóż, do diabła, pomyślałem, przecież w dniu lotu nie będę gapił się na samolot, jak sroka w kość. Trzeba wszystko dokładnie obejrzeć jeszcze przed lotem. W przeddzień zwiadu wsiadłem więc w „Syrenkę" i pojechałem na Lublinek. Pobłądziwszy najpierw na waskich uliczkach, znalazłem w końcu właściwą. Rozpedziłem więc moją dychawiczną „rakietę" i nagle z waskiej uliczki wyjechałem wprost na... pas startowy. Zapiszczały hamulce. Rozejrzawszy się dookoła z przerażeniem zauważyłem, że nade mną, na niewielkiej wysokości krąża dwa samoloty. Wokół pustka, tylko gdzieś z dala majaczą niewyraźne zarysy budynków. Pobiłem wtedy rekord szybkości jazdy do tyłu. Nie chciałem ryzykować, z samolotem jeszcze żaden samochód nie wygrał. Przynajmniej o tym nie słyszałem!

Zatrzymałem się dopiero w sąsiedztwie małych domków, niecierpliwie wypatrując życzliwej duszy, która by mnie poinformowała o sposobach dojechania do budynku aeroklubu. Po kilku minutach minął mnie na starym, rozklekotanym rowerze, listonosz.

— Jedź pan za mną — krzyknął.

Pojechaliśmy. Prosto przez pas, z którego w takim popłochu uciekałem przed kilkoma minutami. Nie wiem tylko, czemu uśmiechali się niektórzy ludzie na Lublinku, gdyśmy z fasonem, acz niewielkim tempem, zajechali pod główny budynek aeroklubu.

* * *

— Za piętnaście sekund startujemy — krzyczy pilot Zbigniew Paczesny. — **Niech się pan trzyma!**

Trzymam się, kurczowo, fotela, skórzanego paska i nadziei, że wszystko skończy się dobrze. Zbigniew Paczesny, choć najmłodszy ze startujących w zwiadzie pilotów, to jednak „wylatał" już w powietrzu 200 godzin. Na ubiegłorocznych mistrzostwach juniorów zajął w kategorii pilotażu dobre, dziewiąte miejsce. Zwykle lata z nawigatorem, panią Halinką. Dziś ja zajmuję miejsce nawigatora.

Nagle czuję, że moje bezwolne ciało wciska jakaś siła w fotel. Żołądek podjeżdża do gardła. Rośnie już piekielny warkot silnika.

— Niech się pan zatrzyma, ja wysiadam! — krzyczę do pilota, bo raptem ta oszklona kabina przestaje mi się wydawać miejscem bezpiecznym. Na szczęście pilot nie zwraca na mnie uwagi, choć przez chwilę mam ochotę przypomnieć mu o moim istnieniu i chwycić w swoje ręce drążek. Zwalczam pokusę.

— Niech pan spojrzy, jaki piękny widok — krzyczy pilot.

Za nami pozostaje lotnisko, maleją budynki aeroklubu, ludzie stają się podobni do maleńkich przecinków. Przed nami, to znaczy przed załogą „Wilgi SCG" zadanie: odnaleźć na trasie przelotu znaki rozłożone na ziemi. Czas przelotu: 65 minut. Punkt powietrznego startu: Aleksandrów. Z tych 65 minut kierownictwo zwiadu aż 34 minuty przeznaczyło na swobodne krążenie w powietrzu. To czas dla dziennikarza. Mam nie tylko podziwiać widoki. Warunek jest jeden: nie wolno pilotowi lecieć nad centrum Łodzi, może jedynie krążyć po obrzeżach. Jeszcze przed lotem pytałem nieśmiało pilota, czy jednak nie moglibyśmy polecieć nad Łódź?

— Zgoda — powiedział pilot — **polecimy nad Łódź, tylko z innej strony, tak, aby szef zwiadu nie zauważył. Przecież soli nam na ogon nie nasypią, żeby zatrzymać.**

No i lecimy. Marzyło mi się, że prosto polecimy nad moją dzielnicą, nad Górną, gdzie znam prawie każdą ulicę, przedeptałem je wzdłuż i wszerz. Mam więc okazję, aby teraz dokonać konfrontacji tego mojego codziennego widzenia z tym podniebnym, lotniczym. Ale samolot nie „Syrenka", zanim zrobił koło, już byliśmy w okolicach parku Poniatowskiego, ulic Żeromskiego i Mickiewicza. W dole długi, rozkopany lej. Trasa W-Z. Dopiero z tej wysokości widać, jak gigantyczne to przedsięwzięcie. Mimo późnej pory (sobota, godzina szesnasta) w wielu punktach trasy pracują jeszcze robotnicy. Wielka, ciężka koparka z okien „Wilgi" przypomina dziecinną zabawkę. Przy niej ruchliwe kropki: robotnicy.

— Często latam nad trasą — krzyczy Zbigniew Paczesny. — **Uwijają się tu jak diabli. Tempo, nie?**

To odnosi się także do naszej „Wilgi", która raptem zadarłszy dziób, pruje w górę. Mam przez chwilę przedsmak tego, co odczuwają piloci na szybkich, ponaddźwiękowych samolotach. Siła ciężkości wgniata mnie w fotel. Tylko dlaczego ta piekielna siła upodobała sobie mój żołądek, wciskając go gdzieś tam pod czwarte żebro?

Nadlatujemy nad Górną. Pierwsze wrażenie: chyba jest to dzielnica o najdziwniejszym układzie. Tu współczesność dokładnie przemieszała się z historią. Osią tej części miasta, jej sercem i nerwem był przez wiele dziesiątków lat trakt piotrkowski. Wzdłuż niego wyrastały nowe domki i kamienice. Powstała w ten sposób długa i waska kiszka drogi na Piotrków. Na dużym odcinku — na przykład na początku Rzgowskiej — układ trwa niezmieniony, stare zabudowania stoją w karnym szyku. Ale już od wiaduktu trakt piotrkowski rozrasta się w szeroką, wielopasmową arterię. Nie ma już „zakrętu śmierci", ostrego łuku w końcu Rzgowskiej, tu również, mimo sobotniego popołudnia, pracują koparki. W tej chwili modernizuje się na Górnej 5,5 km ulic. Ale potrzeby są większe. Ulice Górnej mają 326 km długości.

Przemieszało się stare z nowym w tej dzielnicy. Widać to wyraźnie nad Czerwonym Rynkiem. Zbigniew Paczesny długo krążył nad tym osiedlem, dając mi okazję do pomachania Joasi. Ile było sporów i protestów, gdy ważył się projekt budowania osiedla w samym centrum starej dzielnicy. Na szczęście zwyciężył rozsądek i tak zwane perspektywiczne widzenie. Stoi teraz 12-tysięczne osiedle, strzelają w górę 10-piętrowe bloki, a wokół ubywa małych plamek starych kamienic. To zderzenie jest mniej widoczne z dołu, gdy oglądamy to osiedle w czasie codziennej wędrówki. Z góry nabiera znaczenia symbolu.

Jeszcze wyraźniejsze staje się w okolicach Polanilu, Dywilanu i Bistony. Przed tymi zakładami Dąbrowa kończy się ostro, jak ucięta nożem. Dalej stoją już małe, stare domki. Ciasnym pierścieniem otaczają trzy nowe fabryki. Kiedyś pęknie i ten pierścień.

Zbigniew Paczesny z przerażeniem patrzy na zegarek: jest późno, a przecież musimy w określonym czasie znaleźć się nad rynkiem w Aleksandrowie. Tam jest kontrola czasu. A więc znów emocje wznoszenia i przyspieszania. W pędzie miga ogromny plac największej w kraju fabryki transformatorów i aparatury trakcyjnej — Elta. I już Aleksandrów.

— Niech pan szuka znaków — krzyczy Zbigniew Paczesny i wali samolot na prawe skrzydło, później na lewe. Szukać znaków, dobre sobie, kurczowo ściskam skórzaną rączkę i oparcie fotela. Gdzie niebo, gdzie ziemia, diabli wiedzą! W jakiejś spokojniejszej chwili wyszukuję ołówek i kartkę. Z mozołem piszę: „Niech pan choć trochę polata prosto, bo umrę!"

Pokazuję kartkę pilotowi. Macha niecierpliwie ręką i znów kładzie samolot w ostry zakręt. Jest znak!! Dwie białe krechy na ziemi pod jakimś laskiem. — **Ozorków** — krzyczy pilot. Ozorków? Może być Ozorków, Kutno, nawet Paryż. Mnie jest wszystko jedno. Ja chcę na ziemię!

Jak wylądowaliśmy, słowo daję, nie wiem. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że w niedalekiej odległości od nas ląduje samolot sanitarny, do którego podjeżdża w pędzie karetka pogotowia. Czyżby po mnie, przemyka mi myśl. Okazało się później, że sanitarka przywiozła dwoje chorych dzieci.

Gdy zaś umilkł warkot silnika, dowiedziałem się, że odnaleźliśmy, to znaczy pilot odnalazł tylko trzy znaki. Zbigniew Paczesny był zły. W każdym razie rekordu nie pobiliśmy. Choć niezupełnie, ja rekord pobiłem. Rekord Jacka Indelaka.

Samolot szorowałem przez półtorej godziny.

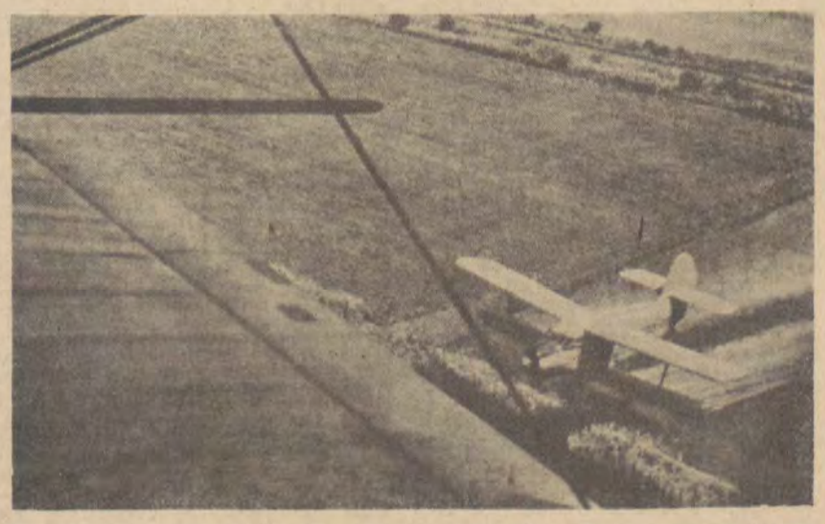

Foto: Archiwum

Z ZAGRANICZNEJ PRASY

6 maja 1977 roku ROBIN COOK opublikował na łamach „NEWS STATESMAN" artykuł omawiający metody działania brytyjskiego kontrwywiadu na przykładzie dwóch brytyjskich dziennikarzy: Duncana Campbella i Crispina Aubreya. Poniżej zamieszczamy tekst tego artykułu.

SPOSOBY BRYTYJSKIEGO KONTRWYWIADU

W lutym 1977 r. kontrwywiad brytyjski aresztował dwóch dziennikarzy, Duncana Campbella i Crispina Aubreya. Wraz z nimi zatrzymano Johna Berry, który przed siedmiu laty piastował szczególnie ważne stanowisko — kaprala. Dotąd prokurator nie powziął decyzji, czy dysponuje wystarczającymi dowodami, aby wytoczyć przeciwko nim oskarżenie w oparciu o znany ustęp tzw. ustawy o tajemnicy państwowej, która stwierdza, iż jest przestępstwem ujawnianie bądź rozpowszechnianie informacji rządowej, o ile nie jest ona autoryzowana przez najwyższe władze. Wspomniany przez nas przypadek dostarczył już opinii publicznej wystarczających powodów do wyrażania głębokiego zaniepokojenia metodami stosowanymi przez brytyjską służbę bezpieczeństwa.

Po aresztowaniu wspomnianych ludzi byli oni przetrzymywani przez 45 godzin zanim przedstawiono im powody ich zatrzymania. Jednakże przez ten czas żaden z nich nie był przesłuchiwany dłużej niż pół godziny. Powodem ich aresztowania nie było ułatwienie przebiegu śledztwa, ale po prostu odsunięcia ich na bok, aby kontrwywiad mógł dokładnie przeszukać ich domy. Rewizje te zostały przeprowadzone bardzo skrupulatnie i np. Duncanowi Campbellowi przedłożono listę zawierającą 70 pozycji skonfiskowanych dokumentów i książek. Między nimi znalazły się nawet takie książki, jak Hemingway'a „Komu bije dzwon" i Koestlera „Ciemność w południe", co jest ogromną ironią, gdyż obie książki znacznie pomogły w ukształtowaniu się zachodniej koncepcji stalinizmu. Na czele listy dokumentów skonfiskowanych znalazła się metalowa szafka „zawierająca różnorakiego rodzaju korespondencję i dokumenty". Dalsze pozycje na liście przedstawiono z tą samą enigmatyczną systematycznością:

„11 pudeł z różnego rodzaju dokumentami; brązowa kasetka z 12 teczkami dokumentów; kosz na śmieci z różnego rodzaju papierami; ...10 pustych skoroszytów".

Po wypuszczeniu z aresztu Duncan Campbell stwierdził, że z jego mieszkania zabrano wszystkie osobiste i zawodowe dokumenty.

11 tygodni później zwrócono mu zaledwie jedną teczkę, ale za to oddano mu kosz do śmieci w stanie nienaruszonym, z całą zawartością. W ubiegłym tygodniu prokuratura zwróciła się do sądu o odroczenie rozprawy o dalsze 6 tygodni, gdyż „trzeba obejrzeć tysiące skonfiskowanych dokumentów". Jednakże żaden z tych „tysięcy dokumentów" nie jest w najmniejszym stopniu związany z rzekomym wywiadem, jakiego miał udzielić John Berry Duncanowi Campbellowi, którego nigdy nie spotkał i z którym nie prowadził nawet korespondencji. Czemuż więc kontrwywiad jest tak zainteresowany tymi dokumentami?

Przede wszystkim należy wyjaśnić, że służba bezpieczeństwa po prostu wykorzystała okazję zaktualizowania swego rejestru, w którym figurują wszystkie „elementy radykalne". Oznacza to, że cała korespondencja skonfiskowana u D. Campbella zostanie wciągnięta do specjalnej kartoteki liczącej obecnie ponad trzy miliony pozycji. Adresaci i ci, którzy wysyłali korespondencję do Duncana Campbella, zostaną wciągnięci do rejestru, o ile nie figurowali już w niej wcześniej. Ma to na celu „wykrycie powiązań" między „elementami podejrzanymi". Korzystanie z rozpraw sądowych jako pretekstu do gromadzenia danych przez kontrwywiad jest od dawna stosowaną i wypróbowaną metodą służby bezpieczeństwa. Jednakże w przypadku D. Campbella jest ona tym bardziej pozbawiona podstaw, że dziennikarz ma obowiązek nieujawniania źródeł swych poufnych informacji. Wystarczy tu przytoczyć zaskakujący przypadek pewnego rzecznika jednego ze znacjonalizowanych zakładów, który został przesłuchany przez zakładową służbę ochrony, gdyż otrzymała ona sygnał z kontrwywiadu, że któryś z korespondentów Duncana Campbella wspominał o nim w liście do dziennikarza.

Drugim, brutalnie prostym powodem aresztowania D. Campbella, była próba nękania go tak, aby zniechęcić amatorów zaangażowanego dziennikarstwa, którzy na własną rękę prowadzą jakiekolwiek dochodzenia. Konfiskując jego dokumenty na przeszło 3 miesiące, władze bezpieczeństwa uniemożliwiły mu po prostu wykonywanie zawodu dziennikarza i spowodowały bankructwo jego firmy elektronicznej, która pracowała nad wynalezieniem specjalnego próbnika, wykrywającego zatykanie się miejskich kanałów ściekowych. Nawet jeśli Duncan Campbell zostanie uniewinniony — a przecież prokurator musi jeszcze zadecydować, czy można mu w ogóle wytoczyć proces, to człowiek ten i tak już poniósł znaczne straty finansowe.

Co więcej, wszyscy, którzy mieli jakikolwiek, nawet luźny związek z Duncanem Campbellem i korespondowali z nim, są odwiedzani przez pracowników służby bezpieczeństwa. W marcu br. dawnego przyjaciela D. Campbella, który nie widział go przeszło dwa lata, odwiedziło dwóch funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, którzy pokazali mu fotokopię karty noworocznej, którą wysłał do Duncana Campbella. Ludzie ci domagali się, aby zidentyfikował tę kartę. Takie postępowanie jest celowo nieracjonalne i ma na celu tylko nękanie i zastraszenie.

Istnieje wiele przesłanek — pisze Robin Cook — które świadczą, iż specjalny wydział policji jest tylko fasadą ukrywającą działalność wielu służb wywiadu brytyjskiego. W jednym z przypadków agenci służby bezpieczeństwa nie mogli nawet znaleźć jednej z lokalnych komend policji, gdzie mieli przetransportować swego aresztanta. Wydaje się, że sprawa aresztowań została niedawno przekazana tym agentom przez M-15 (wywiad brytyjski), który nie ma prawa samodzielnego aresztowania obywateli. Trzeba jednak zadać pytanie, jak M-15 mógł np. dowiedzieć się o pewnym spotkaniu, które zostało ustalone tego samego dnia, kiedy miało się odbyć i znane było tylko dwom innym osobom?

Odpowiedź na to pytanie kryje się być może w serii zaskakujących incydentów, które ostatnio przydarzyły się członkom Komitetu Obrony, Philipa Agee i Hosenballa, którzy byli w kontakcie ze wspomnianą na wstępie trójką aresztowanych. Wkrótce po aresztowaniu Duncana Campbella i Crispina Aubreya a i Johna Berry'ego, mieszkania przewodniczącego Komitetu i jego przyjaciółki zostały „odwiedzone" przez włamywacza, który miał co prawda dorobione klucze, ale nie zabrał żadnych wartościowych przedmiotów. Dwukrotnie dokonywano też włamania do samochodu należącego do skarbnika Komitetu, skąd zabrano tylko dokumenty, natomiast „złodziej" wykazał całkowity i zastanawiający brak zainteresowania zyskiem, a nawet pofatygował się i odniósł do banku książeczkę czekową znalezioną wśród dokumentów. Zaginęły natomiast notesy dwóch członków Komitetu oraz adwokata broniącego Philipa Agee. Wreszcie biura NCCL i TIME OUT, które były regularnie wykorzystywane przez Komitet Obrony, otrzymały sygnał od sympatyzującego z nimi technika z poczty, że ich telefony znalazły się na podsłuchu.

Trudno powiedzieć — pisze dalej Robin Cook — jak często służba bezpieczeństwa wykorzystuje podsłuch telefoniczny, bowiem rząd permanentnie odmawia udzielenia odpowiedzi na to pytanie każdemu posłowi, który ma na tyle czelności, aby się o to zapytać. Ostatnie dane pochodzą z aneksu tzw. raportu Birketta z 1957, który wskazywał, że w ciągu poprzedzających ten raport pięciu lat rząd wyraził zgodę na dokonywanie średnio około 200 podsłuchów rocznie. Z kolei Tony Bunyan, w swej nieocenionej książce „Policja polityczna w Wielkiej Brytanii" stwierdził, że od czasu utworzenia, tzw. Wydział Specjalny (Special Branch) zwiększył się pięciokrotnie, zaś M-15 dwukrotnie — i to pomimo wycofania się tych organizacji z byłych kolonii brytyjskich. Stąd też należy oczekiwać proporcjonalnego zwiększenia się ilości podsłuchów. I okazuje się, że ilość linii telefonicznych wiodących do głównego ośrodka podsłuchu w Chelsea Barracks zwiększyła się z 23 w początkach lat sześćdziesiątych do 72 w początku lat siedemdziesiątych.

Raport Birketta zapewniał opinię publiczną, że ministrowie bardzo starannie i osobiście rozpatrują wszelkie nakazy podsłuchu, co oznacza, że ministrowie spraw wewnętrznych są naprawdę bardzo zapracowanymi ludźmi. Powstaje też pytanie, czy obecny minister spraw wewnętrznych, który twierdzi, że sam podjął — i należałoby to do jego wyłącznej kompetencji — decyzję o wydaleniu z kraju Agee i Hosenballa — również osobiście zezwolił na podsłuch telefonu członków Komitetu Obrony i otwieranie ich korespondencji?

Oczywiście dzisiaj — pisze R. Cook na łamach „News Statesman" — każde państwo wykorzystuje te same metody dla ochronienia swych sekretów wojskowych przed innymi państwami. To, co nas szczególnie niepokoi, to sposób, w jaki władze bezpieczeństwa postąpiły wobec dziennikarza, który nie jest oskarżony ani o kontakty z Rosjanami, ani też o przygotowywanie jakiegoś spisku. Duncan Campbell tylko zbyt interesował się metodami śledzenia i nadzoru, jaki stosuje rząd brytyjski.

Faktem jest — pisze dalej R. Cook — że nasza służba bezpieczeństwa uważa, że ich największym wrogiem nie jest ani KGB, ani też IRA, ale po prostu brytyjska opinia publiczna, która zadaje niewygodne pytanie **„co się w tym kraju dzieje"**. Pytania te są tym niecierpliwsze i tym bardziej usprawiedliwione, że następuje nieustanna rozbudowa zarówno specjalnego wydziału policji jak i M-15, które zamiast zajmować się ochroną tajemnicy wojskowej przed zagrożeniem wewnętrznym, zaczynają koncentrować się na zagadnieniach czysto zewnętrznych. Jest też rzeczą znaczącą, iż władze bezpieczeństwa upomniały pewnego doktoranta — znajomego Duncana Campbella — który pisze rozprawę na temat społecznych skutków metod stosowanych przez policję i służbę bezpieczeństwa. Wydaje się, że Wydział Specjalny nie uważa tego tematu za właściwy dla naukowej dysertacji.

Trzeba jasno postawić pytanie, czy jest to zwykły zbieg okoliczności, że wspomniane incydenty, które zdarzyły się w ciągu ubiegłych 6 miesięcy, nastąpiły gdy urząd ministra spraw wewnętrznych objął funkcjonariusz, który przedtem był szefem resortu do spraw Północnej Irlandii, gdzie zapewne pozostawał w codziennym kontakcie ze służbami bezpieczeństwa. Podobnie jak w przypadku Watergate — afera ta stanowiła przeszczepienie metod stosowanych przez CIA wobec zagranicznych polityków na rodzimy grunt — tak i my prawdopodobnie jesteśmy świadkami przeniesienia do nas metod masowego nadzoru, które rząd stosuje w Ulsterze.

FILM

„ZDJĘCIA PRÓBNE"

Sądząc z efektywności działań Zespół Filmowy „X" kierowany przez Andrzeja Wajdę, otacza tzw. młodzież filmową szczególną opieką. W ciągu ostatnich dwóch lat pokazano kilkunowelową składankę „Obrazki z życia" i dwunowelowy film „e,d,n.", których realizatorami byli młodzi reżyserzy. Kolejny film młodych, noszący tytuł „Zdjęcia próbne" zręcznie już odchodzi od tradycyjnej konwencji filmu nowelowego. Jego autorami są: Agnieszka Holland, Paweł Kędzierski i Jerzy Domaradzki, a w pisaniu scenariusza dodatkowo partycypował Feliks Falk. Ta scenariuszowa spółka przyniosła interesujący projekt filmu, który w samej realizacji zyskał walory szczególnie w polskim kinie poszukiwane, czyli tzw. powiew prawdziwego życia.

Każdy z wymienionych tu reżyserów przygotował dla skończonego filmu jedną z jego części, którą trudno jednak nazwać samodzielną nowelą, jako że wątki dwóch pierwszych spotykają się w części ostatniej nie tylko w formalny sposób.

W części pierwszej, reżyserowanej przez Agnieszkę Holland (o jej telewizyjnym filmie „Niedzielne dzieci" sporo się ostatnio mówi) przedstawiono nam postać Anki jej szkolne środowisko, dom, marzenia i pierwsze niefortunne miłosne doświadczenia. W części drugiej Paweł Kędzierski rysuje postać chłopca, który po maturze opuszcza Dom Dziecka i zaczyna samodzielne, dorosłe życie. Anka i Paweł marzą o filmie, który jest dla obojga szansą na inne życie. Zgłaszają się na zdjęcia próbne i w czasie ich trwania poznają się. Przeżyją wspólnie jedną dobę, która stanie się nie tylko próbą ich potencjalnych „aktorskich" możliwości, ale także, a może przede wszystkim — próbą ich charakterów. Tyle fabuła. To, co w filmie tym najciekawsze, mieści się z jednej strony w sposobie jej organizacji, z drugiej zaś w sposobie jej wypełnienia obserwacją obyczajową i psychologiczną.

Najpierw słów kilka o owej organizacji. Leitmotivem i ramą filmu są sceny zdjęć próbnych do owego przygotowywanego filmu, w którym Anka i Paweł mogliby zagrać. Stanowią one swoisty komentarz do samej fabularnej opowieści o niej i o nim. Są jednak także sondażem postaw i motywacji tych, którzy przed kamerą do zdjęć tych stają. Pomysł ten sprawdził się tak, jak i próby nadania filmowi pewnej jedności stylistycznej, choć odpowiedzialność za wartość kolejnych jego części wzięli na siebie poszczególni reżyserzy.

To, co decyduje jednak o niewątpliwym walorze „Zdjęć próbnych", sprowadza się do umiejętności nasycenia opowieści o Ance i Pawle ciekawym materiałem obyczajowym i psychologicznym. Tu stwierdzić trzeba, że najpełniej umiejętność ta, dotycząca zwłaszcza sfery obyczajów, ujawniła się w części pierwszej, zrealizowanej przez Agnieszkę Holland. W obrazach poświęconych środowisku, w którym żyje Anka, odnaleźć można te cechy, którymi ongi fascynowały nas filmy szkoły czeskiej. Odnalezienie ich w filmie polskim było dla mnie dużą niespodzianką. Pewne niedostatki części drugiej leżą nie w jej realizacji, lecz w samym scenariuszu, w którym doszły z kolei do głosu nie najlepsze cechy właśnie kina polskiego. Zdołał je nieco Paweł Kędzierski zatuszować, zresztą przy pomocy aktora — amatora, Andrzeja Pieczyńskiego, samym ciekawym rysunkiem psychologicznym postaci. Potwierdziło się to i sprawdziło w części ostatniej, której patronem głównym jest Jerzy Domaradzki. Postawa Anki i decyzja Pawła nie są zaskoczeniem — przygotowano nas do tego. Świat wewnętrzny i motywacje działań Anki i Pawła różniły się na tyle, że można było takiego finału oczekiwać, a dowodzi to zarówno wnikliwości spojrzenia, jak i przekonywającej argumentacji.

Podobała mi się w „Zdjęciach próbnych" znajomość światów penetrowanych przez młodych autorów, godne to podkreślenia, gdyż najczęściej wizerunki i tzw. scenki z życia młodzieży są w naszych książkach i filmach wielce zalgane. Tu odnaleźć można wiele prawdy i to pokazanej w sposób dyskretny i nie przerysowany. A że jest to prawda niewesoła, to już inna sprawa.

Wspomniana tu dyskretność dotyczy także pewnych „autotematycznych" wątków tego filmu. Autorzy przy okazji, która jest zresztą zręcznie w całość akcji wkomponowana i stanowi jeden z jej wątków, ukazują samych siebie, styl swej pracy i swoje środowisko. Jest w tych obrazach i trochę prawdy i trochę autoironii, co bardzo cenię. Wdzięcznie został też w tym filmie zdyskontowany tzw. wątek znaleziony, czyli podobieństwo wykonawcy roli Pawła do Daniela Olbrychskiego. Sam Andrzej Pieczyński, amator przecież powtórzył, tym razem z sukcesem, filmową historię swego bohatera. Jego partnerka, Daria Trafankowska, studentka łódzkiej szkoły teatralnej, zdała swój aktorsko-filmowy egzamin z dużym powodzeniem. Cały zespół tego filmu ma już swe zdjęcia próbne za sobą.

EWA NURCZYŃSKA

SZTUKA

JERZY URBANKIEWICZ

DZIEŁO SZTUKI za ROLKĘ PAPY...

Foto: Archiwum

Rzeka Arno chlusnęła w ulice i place Florencji wodą, która najpierw obmyła zbocza Apenin, następnie wchłonęła w siebie zawartość miejskich kanałów i mazut z rozbitych zbiorników. Dziedzictwo Medyceuszów upodobniło się do Wenecji, ale brakło gondoli w krajobrazie. Zamiast nich w kwadracie placu Republiki widoczne były różnobarwne dachy zatopionych samochodów uszeregowane wzdłuż pierzei. Zalane brudną cieczą okna parteru zmalały do rozmiaru okienek piwnicznych. Kiedy później rzeka spokorniała i wróciła do koryta, zmieszany z mułem mazut znaczył ślady zniszczenia nie tylko na asfalcie, ale również na fasadach domów i tapetach parterowych mieszkań. Co gorsza, tłusta boazeria brudu pokryła też ściany **Galleria degli Uffizi** i te z bezcennych skarbów **trecenta,** które wisiały w zasięgu powodziowej fali. Przetrwały sześć stuleci, przetrwały walki dynastyczne, kataklizmy i wojny, by ulec nadmiarowi brudnej wody.

Obrazy ówczesne malowano nierzadko na deskach. Łatwo więc sobie wyobrazić, co się działo z dziełami Giotta, Cimabuego, di Banco kiedy drewno nasiąkło wodą. Zrozpaczeni Włosi stanęli wobec konieczności ratowania już nie własnych skarbów kultury, ale dorobku ludzkości. Poczęli więc po całym świecie szukać fachowców, którzy potrafiliby przywrócić zagrożonym zabytkom dawną świetność. Przywrócenie dawnej świetności udało im się w pewnej tylko mierze. Wniosek taki wypływa z dwóch choćby faktów. Po pierwsze — w którąś tam rocznicę powodzi zaplanowali urządzenie wystawy dzieł odrestaurowanych. Było ich jednak tak mało, że nie starczyło na pełną wystawę, wobec czego zmieniono nazwę na: **„40 lat konserwacji malarstwa we Florencji".** Obok nielicznych obrazów, które uratowano, pokazano dokumentację fotograficzną. Fakt drugi — to szczegóły związane z udziałem konserwatorów polskich. A to już sprawa obszerniejsza.

Władze PRL zareagowały na apel Włochów, wysyłając kolejno dwie czteroosobowe ekipy renomowanych konserwatorów. W pierwszej znalazła się doc. dr **Ewa Wolska** (później dołączył też do niej doc. **Jerzy Wolski**), i zainteresowała się obrazem przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem. Był w bardzo złym stanie, zanim rzeka Arno wtargnęła do galerii, więc go oddano do konserwacji skutkiem czego znalazł się w pozycji leżącej na stole czy podłodze magazynu i przyjął na siebie większą porcję wody i brudu niż jakikolwiek inny obraz. Konserwatorzy włoscy zajęli się nim w dwa tygodnie po powodzi, ale deska, na której b/ł malowany, okazała się tak kapryśna że opuścili ręce i czekali, co przyszłość przyniesie. Przyniosła konserwatorów z Polski, chętnie imających się przedsięwzięć trudnych. Gospodarze nie liczyli na wiele. Skoro sami nie potrafili, wyrazili życzenie, by uratować choćby tylko karnacje, tj. twarze Madonny i Dzieciątka.

Na obrazie widniała data **1485,** ale wszyscy byli zgodni co do tego, że to data przeróbki. Obraz właściwy, widoczny częściowo spod późniejszych przemalowań musiał być o dobre sto lat starszy. A jeśli tak, to mógł wyjść spod pędzla Lorenzo di Bicci albo Mariotto di Nardi. Ale jak to zbadać, skoro zniszczona przez grzyby i insekty deska to puchnie, to znów się kurczy, a każdy okruch farby jest bezcenny już to jako fragment obrazu, już to jako świadectwo prawdy. Co więcej — jak się okazało — posiadacze obrazu na przestrzeni stuleci obchodzili się z tym, z naszego punktu widzenia, dziełem sztuki dość bezceremonialnie. Ilekroć bowiem zmieniła się epoka, moda czy styl, oddawano go w ręce jakiegoś malarza i ten dokonywał zabiegu.. modernizacji. Na gotyk ładował ozdoby barokowe, na to znów coś innego, skutek zaś dla struktury obrazu był taki, że się te ponakładane na siebie warstwy farby wzajemnie mocno trzymały, natomiast od deski, w opisanych warunkach, odpadały bez trudu.

Nie można odmówić Włochom dobrej woli. Po powodzi wyrzucili z jakiejś oranżerii cytrynowe drzewka, na ich zaś miejscu umieścili uszkodzone obrazy i posługując się urządzeniami cieplarni regulowali wilgotność i temperaturę, aby jakoś ograniczyć niszczące działanie obu tych czynników.

Docent Ewa Wolska najpierw zastanowiła się głęboko, czy gra jest warta świeczki, ponieważ zaś Polacy podejmowali już nie takie nierealne przedsięwzięcia, postanowiła spróbować. Próba zaś polegała na wpadaniu na coraz nowe pomysły, by się uporać z tym kapryśnym tworem **trecenta,** jakim był obraz Madonny i Dzieciątka. A więc najpierw na stole umieściła płytę marmurową, która miała obniżać temperaturę obok ustawiła naczynia z wodą, by zahamować spadek wilgotności. Codziennie zaś po skończonej pracy na obraz nakładała skrzynkę z folii, której zadaniem było utrzymanie przez popołudnie i noc mikroklimatu. Pomysły te Włosi uznali za tak praktyczne, że je stosują do dziś.

Następnie zaczęła się benedyktyńska praca nad dziełem sztuki uznanym przez Włochów za **„inguaribile"** czyli nieuleczalne. Badania technologiczne (wśród nich rentgenologicznej) wykazały, ile warstw farby niefrasobliwi artyści florenccy nałożyli na siebie. Wtedy doc. Ewa Wolska nakreśliła sobie plan działania, który przewidywał: przymocowanie odpryskujących cząstek malowidła do podłoża, usunięcie bezwartościowych przemalowań z przełomu XIX i XX wieku, usunięcie podobnie bezwartościowych przemalowań z XVII wieku, następnie zdjęcie tych fragmentów obrazu, które wykonano w roku 1485 i umieszczenie ich na pleksiglasie, aby można to było dowolnie nakładać na ten najstarszy obraz i niejako przywracać do stanu z roku 1485. Odsłonięty w ten sposób ten najstarszy obraz, oryginalny z roku około 1380 należało następnie odrestaurować, określić, czyjego był pędzla i wreszcie — trzeba się było pozbyć kapryśnej i zżartej chorobami deski, a pod malowidło podłożyć materiał odporny na owady i grzyby, taki przy tym, który by w przypadku ewentualnego następnego kontaktu z kaprysami rzeki Arno, nie puchł i nie kurczył się.

Główne narzędzia pracy to mikroskop i lancet. Pracując osiem godzin z oczami przy szkle mikroskopu i lancetem w ręku doc. Ewa Wolska mogła według nakreślonego wyżej planu spreparować jeden centymetr kwadratowy powierzchni obrazu.

Kiedy po kilku tygodniach uratowała „karnację", Włosi byli szczęśliwi i nie chcieli niczego więcej. Ale prace w opisanym tempie posuwały się naprzód tak długo, aż cały obraz został uratowany. Był taki moment, kiedy po usunięciu warstw późniejszych pozostały te dwie najstarsze i wtedy Dzieciątko miało trzy ręce. Dwie z XIV wieku i jedną z XV Za jedno z najbardziej interesujących stadiów w tych żmudnych wysiłkach można uznać rozwarstwienie złoceń aureoli i szaty Madonny. Na szacie, tej z XIV wieku ukazały się po odsłonięciu ornamenty z orłów, dla historyka sztuki mają zaś one takie znaczenie jak podpis Lorenzo di Bicci.

Tak więc bezcenne dzieło sztuki zostało zidentyfikowane i uratowane dla ludzkości. Ale — czy na długo? Co się stanie, jeżeli rzeka Arno znów się sprzymierzy ze ściekami i zaatakuje galerię? Czy deska znów napęcznieje i porozrywa warstwę farby?

Aby do tego nie dopuścić, doc. Ewa Wolska zdecydowała się na usunięcie drewna i zastąpienie go innym materiałem. Ponieważ zabieg taki przechodzi wszelkie wyobrażenia laików o tym, czego można dokonać z dziełem sztuki, wykorzystałem fakt, że Ewa i Jerzy Wolscy pracują obecnie w Łodzi, odwiedziłem ich w pracowni przy pl. Wolności i poprosiłem o wyjaśnienie, jak można deskę usunąć spod obrazu i zastąpić czym innym.

— Zważywszy stan deski, czy też jak my to nazywamy: podobrazia, zdecydowałam się na jego wymianę. Obecnie obraz ma taki wygląd, jaki mu nadał Lorenzo di Bicci, pewne natomiast fragmenty dodane w roku 1485 zostały umieszczone na pleksiglasie i można je dodawać do tamtego lub odejmować. Oryginalny obraz di Bicci jest gotycki, monumentalny, suknia pokryta ornamentem z orłami, inaczej wykonana aureola. Natomiast artysta z XV wieku nie naruszył twarzy Madonny ni Dzieciątka...

— Tylko domalował tę trzecią rękę...

— Dodał też kolumny, niebo, aniołów, posadzkę itp.

— Ale sprawa tej deski. Przecież to brzmi jak sensacja.

— Po odrestaurowaniu obraz przylegał ściśle do bardzo powykrzywianej deski. Usunąć ją mogłam przy użyciu zupełnie prymitywnych narzędzi, ale musiałam obraz położyć tą deską ku górze. Przy nacisku warstwa farby mogłaby się znów pokruszyć. Aby tego uniknąć, zrobiłam na stole łóżeczko ze świeżego gipsu, zabezpieczona powierzchnia obrazu idealnie przylgnęła do gipsu i mogłam przystąpić do dalszej pracy. Dłutkami i skalpelem usunęłam resztki tego XIV-wiecznego drewna, zostawiając na stole jedynie warstwę farby.

— Aby ją przykleić do czego innego, musiała ją Pani unieść. Mogła się rozlecieć.

— Do tego nie mogłam dopuścić. Na szczęście korzystna była ta okoliczność, że dobre średniowieczne warsztaty pracowały w ten sposób, że najpierw na sęki, miejsca sklejeń, nierówności naklejano kawałki płótna lub pergaminu, następnie zaś całość oklejano płótnem. A ja do tego wszystkiego doszłam z przeciwnej strony, od tyłu. Następnie to stare płótno pamiętające wiek XIV podkleiłam jeszcze jedną warstwą już dzisiejszego płótna, traktując je jako warstwę izolacyjną i buforową, tzn. pozwalającą bez trudu zdjąć obraz z nowego podłoża, gdyby kiedykolwiek zaszła taka konieczność. Przyklejanie tej nowej warstwy odbywało się na stole próżniowym.

— Inaczej mówiąc, zabezpieczyła Pani Docent obraz di Bicci na następne pięć stuleci, a właściwie, biorąc pod uwagę nowoczesność środków, na znacznie dłużej. Czy usunięcie deski spod obrazu to jedyny zabieg, jaki się w takich wypadkach stosuje?

— Nie. Bywa, że deska nie jest tak bardzo zniszczona i powykrzywiana jak ta. Można wtedy po prostu nasycić ją żywicą dla wzmocnienia i uodpornienia przeciwko wpływom z zewnątrz. Robi się to w ten sposób, że w bardzo płytkiej, płaskiej wannie zanurza się tą deskę do połowy grubości w roztworze sztucznej żywicy. Ten roztwór nasyca drewno i otrzymujemy efekt, o który nam chodziło.

— Jaką ma Pani pewność, że istotnie żywica znalazła się tam, gdzie w innych, niekorzystnych warunkach mogła się znaleźć np. woda?

— Wystarczy położyć kawałek bibuły lub papieru na powierzchni obrazu. Żywica, po przejściu przez całą grubość drewna pojawi się na bibule. Wątpliwości nie ma.

— Domyślam się, że charakteryzuje Panią benedyktyńska cierpliwość. I domyślam się, że wykonanie takiej pracy, tzn. uratowanie skazanego na zagładę (inguaribile!) dzieła sztuki to ogromna satysfakcja. Chyba nie zawsze praca jest tak trudna jak we Florencji?

Okazuje się, że przysłowie **„habent sua fata libelli"** da się w nie mniejszej mierze stosować do dzieł sztuki. Państwo Wolscy konserwowali stary i cenny obraz, który nieco wcześniej służył chłopu do zabezpieczenia dachu. Znajomy archeolog odkupił go za... rolkę papy. W tej chwili zaś w pracowni na stalugach widnieje rozpięty XVIII-wieczny obraz Franciszka Smuglewicza. Czeka na zabiegi konserwatorskie. Najprawdopodobniej historia jego jest taka, że przestał się komuś podobać, być może proboszczowi kościoła, w którym wisiał. Więc płótno zdjęto z ramy, zwinięto w rulon i rzucono na strych. Potem rulon przywalono jakimś ciężarem. W miejscu załamań farba się wykruszyła i teraz smugi uszkodzeń są widoczne na całej powierzchni. Obraz podklejono nowym płótnem a miejsca ubytków uzupełniono jasnym kitem.

Doc. Jerzy Wolski mówi:

— W tej chwili zachowana część obrazu cieszy już oczy żywymi barwami. Stare obrazy, jakie dostajemy do konserwacji bywają tak ciemne, że trudno rozróżnić szczegóły, a cóż dopiero dokonać ekspertyzy, kto jest autorem. Przyczyna leży w brudzie pokrywającym płótno, a czasami — w złej jakości pociemniałego werniksu, którym kiedyś powleczono farbę. Jedno z naszych pierwszych zadań to usunąć jedno i drugie. Obraz Smuglewicza jest już czysty, ale ma sporo ubytków, które teraz trzeba pokryć farbą, by znów otrzymać całość.

— Ale, pomijając szacunek, jaki mam dla Państwa pracy, a nawet podziw, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że ktoś, kto będzie oglądał taki odrestaurowany obraz, zostanie w jakiejś mierze wprowadzony w błąd. W przypadku Smuglewicza tak na oko, mniej więcej jedna piąta płótna to już nie będzie oryginał...

— A nie, jesteśmy całkowicie uczciwi. Właśnie my nie dokonujemy owych przemalowań, o których tu była mowa. Staramy się wyodrębnić fragmenty oryginalne od uzupełnień. Brakujące partie zostają pokryte punktami lub kreseczkami. W ten sposób obraz z daleka wygląda jak całość, ale jeśli mu się przyjrzeć z bliska, to można gołym okiem odróżnić partie oryginalne od uzupełnień powstałych w procesie konserwacji.

— O ile wiem, Państwo dzielą między siebie zadania, w zależności od tego, co kto lepiej robi, na czym bardziej zna się. W ten sposób na Pana Docenta spada m.in. obowiązek robienia dokumentacji fotograficznej. Czy to takie ważne i dlaczego?

— Może przykład, jaki przytoczę, wyjaśni panu całą sprawę. Pewien konserwator otrzymał do odnowienia obraz przedstawiający jakiegoś świętego. Po oczyszczeniu i uzupełnieniu braków okazało się, że to... święta, Kościół, w którego posiadaniu był obraz, nie chciał go przyjąć z powrotem, sprawa oparła się o sąd. Dlatego fotografujemy obraz w każdym stadium pracy. Na serii zdjęć widać stopniowe zmiany, ujawnianie się tego, co początkowo kryło się pod brudem, ściemniałym werniksem lub przemalowaniami.

— Sądząc z przykładów, o których mówiliśmy oraz z wyglądu innych obrazów wypełniających pracownię, odnoszę wrażenie, że każdy lub prawie każdy przypadek konserwacji jest zupełnie odrębny. Czy można to sformułowanie traktować jako regułę w pracy konserwatorskiej?

— Rzeczywiście — dodaje Ewa Wolska — prawie każdy obraz nastręcza inne problemy. A oto jeden z najciekawszych przypadków, z jakim się zetknęłam przy okazji robienia pracy doktorskiej. Chodziło o pewien tzw. poliptyk, czyli ołtarz złożony z wielu skrzydeł, do którego brakowało części centralnej i dolnej. Największy znawca epoki (przełom wieku XV i XVI), prof. Walicki wiązał to dzieło z warsztatem tzw. Mistrza z Gościszowic. Wywiązała się ożywiona dyskusja uczonych, a każdy reprezentował własne, odrębne zdanie. Co do mnie, miałam już kiedyś w konserwacji jeden z ołtarzy tego warsztatu, podjęłam się więc udowodnienia, że najbliższy prawdy był prof. Walicki i to zrobiłam. Co więcej, ponieważ brakowało, jak powiedziałam, części centralnej a także dolnej, tzw. predelli, ja, analizując układ tematyczny ołtarza, wydedukowałam, że w części centralnej mogła być tylko scena „Zaśnięcia Matki Boskiej". I rzeczywiście, prowadząc poszukiwania, w pobliżu Kalisza znalazłam scenę „Zaśnięcia" wmontowaną w ołtarz z późniejszej epoki, ale pochodzącą z tamtego poliptyku. Predellę odszukałam także. Była w Zielonogórskiem. Wysunęłam więc koncepcję połączenia tych trzech elementów i po paru stuleciach znów odtworzenia całego poliptyku.

Konserwacja może więc być wspaniałą przygodą. A zdawać by się mogło, że chodzi tylko o ratowanie dla ludzkości bezcennych skarbów kultury.

Foto: Archiwum

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

TRZY INSCENIZACJE ROSYJSKIEJ PROZY

Czy fascynacja ludzi teatru Fiodorem Dostojewskim i Lwem Tołstojem, to właściwe określenie stanu zainteresowania dziełami obu pisarzy? Czy może te zainteresowania wypływają z problematyki utworów, a nie z jej potraktowania? Czego zatem twórcy współczesnego teatru szukają w „Zbrodni i karze", „Idiocie", w „Zmartwychwstaniu"?

Na wszystkie te pytania odpowiedź znaleźć można w inscenizacjach poszczególnych adaptacji prozy F. Dostojewskiego i L. Tołstoja. A zwłaszcza w inscenizacjach **„Zbrodni i kary"** Macieja Prusa (5.II. 1977), **„Nastazji Filipowny"** wg **„Idioty"** Andrzeja Wajdy (17.II. 1977) — Teatr Stary w Krakowie, w tołstojowskim **„Zmartwychwstaniu"** Lidii Zamkow (12.III. 1977) w łódzkim Teatrze Powszechnym. Tym bardziej że owe trzy inscenizacje reprezentują różne modele teatru. Maciej Prus bowiem preferuje substancję teatralną, Andrzej Wajda teatr kreacyjny, a Lidia Zamkow substancję tekstu. I tak oto wyłaniają się dwie odwieczne płaszczyzny problemowe: treść i forma.

„Powieść Dostojewskiego — pisał M. Bachtin — **to jakby polifoniczna fuga obejmująca nie zestrojone przy pomocy wszechwiedzącego narratora głosy różnych bohaterów".**

Na tym zresztą polega ów specyficzny psychologizm F. Dostojewskiego wyrosły z głębokiego przewartościowania światopoglądu utopijno-socjalistycznego w kierunku ideologii tradycjonalistycznej, konserwatywnej i prawosławnej. W cierpieniu F. Dostojewski dojrzał siłę oczyszczającą, zesłaną przez Boga dla **„uwolnienia człowieka od grzechu"** oraz powrót do „gleby". Czteroletnia katorga zmieniła światopogląd pisarza w sposób radykalny.

W utworach F. Dostojewskiego odnaleźć teraz można zupełnie nieoczekiwane przemyślenia, inspirowane studiami psychologii pospolitych przestępców oraz wyraźną intencję polemiczną, głównie z ideologią rewolucyjno-demokratyczną. Polemika ta zrodziła powieść **„Zbrodnię i karę"**, w której dominuje psychologia romantyczna podporządkowana ludowej i jak twierdził F. Dostojewski **„typowej rosyjskiej myśli o zbrodni wywodzącej się z chrześcijańskiej teodycei".** Będąc zatem teistą i romantykiem **„zagubionym w epoce realizmu"** F. Dostojewski przeciwstawia w **„Zbrodni i karze"**, teorii rozumnego egoizmu Czernyszewskiego, samowolę i kaprys jako dominanty działań ludzkich oraz skrajny nihilizm etyczny.

Autorzy adaptacji (Alena i Jarosław Vostry) oraz reżyser (Maciej Prus) spektaklu krakowskiego właśnie ten problem, wyrosły z polemiki ideologicznej, scentralizowali, podporządkowując mu obie motywacje psychologiczne zbrodni, które powołał F. Dostojewski. Jedną z tych motywacji jest teoria bohatera powieści, Raskolnikowa, który dzieli społeczeństwo na pospólstwo oraz na **„wielkich ludzi górujących nad nim jak skała nad zatoką".** Na Napoleonów i na „wszy". Oczywiście Raskolnikow będzie Napoleonem, ale Napoleonem dobrym, który sięga śmiało po władzę nad ludźmi, ale raczej po władzę w duchu romantycznym.

Drugą motywacją zbrodni jest chęć niesienia pomocy siostrze i uchronieniu jej od hańby. Miały tego dokonać pieniądze zamordowanej lichwiarki. Reżyser owe pozornie sprzeczne motywacje łączy z sobą w jedną nierozerwalną całość. Pokazuje w ten sposób romantyka i nihilistę uwikłanego motywacyjnie w obcym świecie realizmu.

W końcu jednak Raskolnikow ponosi klęskę. Klęska ta jest przeprowadzana przede wszystkim w sferze psychologicznej. Służą temu w spektaklu sceny halucynacyjne, które personifikują niejako pasmo samoudręczeń i mąk duchowych. Zbrodnia bowiem zawiera jednocześnie w sobie karę. Jednak to samoudręczenie nie wynika w spektaklu z chrześcijańskiej moralności, którą F. Dostojewski przeciwstawia ateizmowi i nihilizmowi moralnemu Raskolnikowa, lecz z uświadomienia sobie przez bohatera, że teorii napoleonizmu nie sprostał i należy zatem do pogardzanych „wszy". A więc nie teoria została skompromitowana, lecz człowiek, który aktem zabójstwa zabił siebie. Jest to epilog spektaklu Macieja Prusa. I chociaż ramą staje się sen Raskolnikowa z drugiej części powieści, przedstawienie nie podejmuje już dalszej problematyki: jak załamanie się samej teorii oraz zwycięstwo chrystianizmu. Macieja Prusa bowiem interesuje raczej ów zaskakujący psychologizm F. Dostojewskiego niż cała skomplikowana polemika teorii autora z teorią bohatera jako indeterminizmem racjonalistycznym.

Jerzy Trela jako Raskolnikow potrafił w sposób niezwykle precyzyjny zrealizować wszystkie założenia spektaklu. Jego również frapowały bardziej możliwości poszukiwań rozwiązań psychologicznych. Wybrał zatem drogę kontrastów dla pokazania złożonej psychiki bohatera. Wynikało to z przyjętych dwóch płaszczyzn motywacyjnych, choć złączonych z sobą oraz z dwóch światów snu i jawy, przemieszanych i spójnych efektem misteryjnym w postaci wnoszenia i zapalania świec. Natomiast każda z pozostałych postaci stała się czymś w rodzaju marionet z pogranicza jawy, snu i proroctw Apokalipsy. Były one podporządkowane myśli organizującej spektakl i przez nią animowane. Spełniają funkcję symboli, jak owe wnoszone i zapalane świece.

Inaczej podchodzi do tych spraw teatr kreacyjny. **„Aktorzy** — czytamy w programie „Nastasji Filipowny" **— dysponują tekstem powieści oraz wiedzą o postaciach, jakiej nabyli w trakcie prób i analiz. To, jak jej użyją — zależy w głównej mierze od nich i od ich wewnętrznej potrzeby, która odtąd będzie różniła od siebie poszczególne przedstawienia".** W tej sytuacji zatem pisanie o spektaklu w sposób generalizujący staje się niemożliwe. Można pisać o przedstawieniu, które się oglądało:

Był późny wieczór 13 marca 1977 roku. W sali im. Heleny Modrzejewskiej Teatru Starego w Krakowie czuwają nad ciałem Nastasji Filipowny książę Lew Nikołajewicz Myszkin (Jerzy Radziwiłowicz) i Parfien Siemionowicz Rogożyn (Jan Nowicki). Mrok, tylko nikłe światło lamp naftowych rozprasza ciemności oraz dochodzący zza okien blask petersburskich białych nocy. **„Zacierają się kontury stylowych ciężkich mebli, ledwie wyłania się portret ojca Rogożyna i kopia Holbeinowskiego „Chrystusa w grobie", głośno odmierza czas szafowy zegar ścienny. Sylwetki aktorów trudno wyłowić z tła ciemnych ścian, wyobraźnia musi widzom podpowiadać często ich mimikę".**

Podstawą dla aktorów jest jedenasty rozdział czwartej części **„Idioty"** F. Dostojewskiego, rzecz dzieje się w domu „honorowego obywatela Rogożyna". W scenie tej Andrzej Wajda i aktorzy „pokazują" studium psychologiczne dwóch antynomicznych postaw moralnych, „idealnego", „anielskiego" Myszkina i „żywiołowego", „zwierzęco-namiętnego" Rogożyna. Obaj, jak powiedzieliśmy, czuwają nad ciałem kobiety, której śmierci są winni. Myszkin, bo był niezdecydowany i zasugerował Rogożynowi zbrodnię. Rogożyn, bo zabił. Jest w tej scenie **„moc diabelska** — pisze St. Mackiewicz **— prawdziwa miłość dąży zawsze do unicestwienia osoby ukochanej, ta maksyma szatańska wyrywa się z tej sceny".**

Jerzy Radziwiłowicz i Jan Nowicki zamknęli w postaciach przez siebie kreowanych „kwintesencję dostojewszczyzny", pokazując poprzez Myszkina Chrystusa i Don Kichota, „pięknego człowieka", dla którego **„współczucie jest najważniejszym, a może nawet jedynym prawem istnienia całej ludzkości",** natomiast poprzez Rogożyna nihilistę moralnego, szalonego w swojej namiętności, aż po oczyszczenie w śmierci istoty, która jest obiektem owej namiętnej miłości. W finale bezsilne dobro przegrywa z szatańskim złem. I tak oto nihilizm moralny triumfuje raz jeszcze i jako teoria, i jako postawa.

Moralne odrodzenie człowieka i możliwość odkupienia win przez cnotliwe życie i cierpienie — to temat powieści Lwa Tołstoja **„Zmartwychwstanie".** Dostrzec można w tym utworze obok doktryny etycznej także cechy powieści politycznej. W spektaklu nośnikami tych idei są aktorzy. Pokazują oni jak Katia Masłowa zbliża się do więźniów politycznych, znajdując w nich oparcie moralne i ideowe. Odrzuca jednocześnie plany matrymonialne Niechludowa, kompromitując w ten sposób jego ideę moralną.

Lidia Zamkow budując teatr o przewadze substancji tekstowej podporządkowuje go teatrowi epickiemu. Aktorzy nie tylko kreują postaci, lecz także komentują ich stosunek do rzeczywistości teatralnej. W tej konwencji celują przede wszystkim Małgorzata Rogacka—Wiśniewska (Katarzyna Masłowa) i Jerzy Zelnik (Niechludow), którzy rezygnując z „wczuwania się" nie rezygnują ze wszystkiego, co emocjonalne. Nie przeszkadza to zatem ani widzowi **„w emocjonalnym odbiorze sztuki, ani aktorowi w emocjonalnym odtwarzaniu postaci".** Przy czym „wczuwanie się" jako **„jedno z wielu źródeł emocji, jeśli się już z niego korzysta, powinno być źródłem ubocznym".** I takim właśnie staje się w spektaklu Lidii Zamkow. Stąd też można podziwiać wielotonalną grę aktorów, od emocji do komentarza i od komentarza do emocji. Ileż tu dbałości o precyzję działania scenicznego: sceny zbliżenia Katii i młodego księcia Niechludowa oraz pełna wymowy mimiczna scena w teatrze między Mariette (Jadwiga Siennicka) i Niechludowem. Okazuje się, że zespół Teatru Powszechnego to zespół interesujący, o dużych możliwościach twórczych. Trzeba tylko dobrego tekstu i reżysera, który potrafi „zapalić" aktorów i podzielić się swoją fascynacją.

Wróćmy zatem do pytań postawionych na początku. Czy fascynacja ludzi teatru F. Dostojewskim i L. Tołstojem, to właściwe określenie stanu zainteresowań dziełami obu pisarzy? Czy może te zainteresowania wypływają z problematyki utworów, a nie z jej potraktowania? Czego zatem twórcy współczesnego teatru szukają w **„Zbrodni i karze", „Idiocie", w „Zmartwychwstaniu"?**

Autorzy inscenizacji podjęli realizację prozy F. Dostojewskiego i L. Tołstoja dla jej problemów etycznych i religijnych, stawiając aspekt polemiczny jako podstawowy wykładnik filozofii spektaklu.

„Istota uczuć religijnych nie ma nic wspólnego — pisał F. Dostojewski **— z żadnym rozumowaniem, z żadnymi przewinieniami czy przestępstwami, z żadnymi ateizmami; tu jest coś innego i wiecznie będzie coś innego; tu jest coś takiego, obok czego wiecznie będą prześlizgiwać się ateizmy i wiecznie będą mówić nie o tym. Ale najważniejsze, że najwyraźniej i najprędzej daje się to zauważyć w rosyjskim sercu — taka jest moja konkluzja!"**

Natomiast Lew Tołstoj pisał: **„Świat materialny podlega prawu walki o byt, podlegamy mu również i my jako istoty materialne. Ale oprócz naszego materialnego istnienia czujemy w sobie jeszcze inny pierwiastek, nie tylko niezależny od prawa walki, ale wręcz przeciwstawny mu — pierwiastek miłości. Przejaw w nas tego pierwiastka jest tym, co nazywamy wolną wolą".**

ANDRZEJ CZERNY

Tramwaj z umiarkowanym pożądaniem

Tennessee Williams w latach pięćdziesiątych przeszedł zwycięskim pochodem przez polskie sceny i nie było chyba w owym czasie teatru, który nie zawarłby w swoim repertuarze jednego ze „szlagierów" tego obscenicznego psychoanalityka amerykańskiego dramatu. W owym czasie, po okresie wyjałowienia polskiej „szkoły psychologicznej" i zastoju w kontaktach z innymi krajami wejście Williamsa na arenę naszego życia teatralnego przyprawiało reżyserów o rozwibrowanie twórcze aktorów napełniało radością wszechstronnego „ukazania się" a widzom przydawało gorączkowych wypieków.

Mając to wszystko w pamięci, z pewnym — jak się okazało uzasadnionym — niepokojem udałem się na przedstawienie jednej z głośniejszych sztuk mistrza amerykańskiego realizmu w Teatrze im. S. Jaracza, a mianowicie „Tramwaj zwany pożądaniem". Przedstawienie przygotował znany z relacji telewizyjnych reżyser — Jan Bratkowski. W programie wyraźnie zaznaczono przy jego nazwisku opracowanie tekstu i reżyseria.

Zacznę od pierwszego członu i wychodząc ze znanej prawdy, że „nie ma skutku bez przyczyny", odniosłem wrażenie, iż wszelkie niedomagania i „mielizny" reżyserskie tego spektaklu wzięły swój początek od tego właśnie opracowania tekstu. Skutkiem jest przedstawienie nijakie, chłodne i chociaż z wieloma skrótami w tekście, ciągnące się w sennym rytmie jednostajnie powracającego bluesa, wykonywanego zresztą na żywo i „na oczach widzów" przez stylizowany na nowoorleański zespół uliczny. Nigdy nie byłem w Nowym Orleanie, gdzie dzieje się akcja sztuki, z tego jednak co czytałem i słyszałem o tym mieście — kolebce jazzu, nie przypuszczam, aby życie tam płynęło wyłącznie w rytm muzyki pogrzebowej. Szkoda, że doskonały i sprawdzony już wielokrotnie pomysł wprowadzania muzyków na scenę, w przedstawieniu tym nie został wykorzystany tak, jak można było się tego spodziewać po pierwszej scenie. Myślę, iż każdy reżyser teatralny zdaje sobie sprawę z tego, że zawsze wprowadzenie ludzi na scenę, ktokolwiek by to był pociąga za sobą określone konsekwencje. Ci ludzie z instrumentami w ręku, wykonujący żywą muzykę, od momentu, gdy znajdą się choćby w odrobinie światła przestają być już tylko muzykami, a stają się integralną częścią spektaklu, po prostu aktorami, wykonującymi bardzo konkretne zadania, precyzyjnie przez reżysera określone, a wnoszona przez nich muzyka musi spełniać istotne funkcje dramaturgiczne. Jednostajny, nie ulegający rozwojowi i metamorfozom motyw muzyczny przygotowany przez Andrzeja Rokickiego, po kilku powtórzeniach zaczyna działać usypiająco i nie pełni żadnej przejrzystej funkcji dramaturgicznej, a nawet nie buduje atmosfery.

Początkowo myślałem, że ma to być groźna przepowiednia, coś w rodzaju złowieszczego requiem zmierzającego w stronę tragicznego końca bohaterki sztuki — Blanche, granej przez Ewę Mirowską, której adaptator i reżyser w pierwszej części przedstawienia odebrał wszelkie szanse na zbudowanie przekonywającej sylwetki psychologicznej. Dopiero w drugiej części przedstawienia aktorka zdołała wyjść obronną ręką z tego niezbyt fortunnego spotkania z T. Williamsem i J. Bratkowskim, dając niezawodny popis w swym zrównoważonym, a pełnym wewnętrznych napięć dochodzeniu do prawdy postaci Blanche. Ona to właśnie w głównej mierze broni tego spektaklu i w drugiej jego części, począwszy od wspaniałej sceny z Inkasentem (Krzysztof Stroiński), która daje już początek doskonale skondensowanej kreacji, rysuje konsekwentnie obraz kobiety nieszczęśliwej, psychicznie rozbitej i zakompleksionej, której obsesje w połączeniu z chorobliwą ambiwalencją uczuciową prowadzą do nieuchronnego obłędu. Tutaj jest to już aktorstwo mistrzowskie, a scena finałowa, zagrana środkami prostymi i oszczędnymi, robi wrażenie, z jakim nie często już można spotkać się w naszych teatrach. Jej ostatnie zdanie, wypowiedziane do lekarza — psychiatry (Maciej Małek): „Nie wiem kim pan jest, ale zawsze wierzyłam w życzliwość nieznajomych", wypowiedziane jest z tak wielkim, prawdziwym spokojem i wiarą, że nie sposób go zapomnieć i to jedno może pozostać na długo w pamięci widzów. To wielka zasługa Ewy Mirowskiej i jej silnej aktorskiej osobowości.

Pozostała część dobrego przecież zespołu „utonęła" jak gdyby w atmosferze jakiejś dziwnej niemocy, niemożności porozumienia się między sobą i z widownią. Wszyscy mówią, a odnosi się wrażenie jakby mówili tylko dla siebie z zatkanymi watą uszami. Zupełny brak porozumienia. Usiłują niekiedy wyrwać się z tego „spętania" Wanda Grzeczkowska (Stella) i Jan Tesarz (Stanley), lecz nie na długo i na powrót grzęzną w smętnej jednostajności. W drugiej części ma jedną bardzo dobrą scenę Stanisław Kwaśniak w roli Mitcha, wtedy, gdy przez chwilę jest naprawdę szczęśliwy uczuciem do Blanche. Jednak po chwili wszystkie te niewątpliwej wartości „etiudy aktorskie" roztapiają się w morzu niekonsekwencji. W tym wszystkim scena (jedna z najmocniejszych) nieokiełznanego, zwierzęcego wybuchu namiętności Stanleya w stosunku do Blanche jest wręcz niczym głębiej i wcześniej nie umotywowanym zaskoczeniem.

Stanisław Bąkowski w swej oprawie scenograficznej poszedł po linii najmniejszego oporu, nie wychodząc poza didaskalia.

Na koniec chciałbym zasygnalizować problem, który od dawna niepokoi mnie w naszych teatrach i wymaga niewątpliwie szerszego omówienia, mianowicie — światło. Odnoszę wrażenie, że ostatnimi czasy sprawa ta schodzi na coraz dalszy plan i coraz mniej przywiązuje się wagi do oświetlenia, szczególnie na scenach dramatycznych, jako integralnego komponentu spektaklu, czego przykładem może być również omawiane wyżej przedstawienie. Brak konsekwencji i precyzji w oświetlaniu sceny można w wielu wypadkach określić jednym słowem: niechlujstwo. Miałem ostatnio okazję obejrzeć kilka przedstawień w teatrach Związku Radzieckiego i jestem oszołomiony ich umiejętnościami w operowaniu światłem. Wiele tamtejszych teatrów posiada swoich specjalistów do spraw oświetlenia — reżyserów światła. I widać efekty ich pracy. Nasi reżyserzy i scenografowie zazwyczaj „ustawiają" światła w pośpiechu i nerwowej atmosferze prób generalnych. Jakie są tego efekty? — można to zobaczyć każdego wieczoru.

Teatr im. S. Jaracza w Łodzi
„Tramwaj zwany pożądaniem" T. Williamsa
Przekład: Eugeniusz Cękalski
Oprac. tekstu i reż.: Jan Bratkowski
Scenografia: Stanisław Bąkowski
Oprac. muz.: Andrzej Rokicki
Premiera: marzec 1977 r.

T. Williams: Tramwaj zwany pożądaniem.
Na zdjęciu: Stanisław Kwaśniak i Ewa Mirowska

KSIĄŻKA

PRZYJACIELE I ZNAJOMI

Trzydzieści parę felietonów **Jana Koprowskiego** o ludziach, których znał — czyta się właśnie jak felieton: lekko i z zaciekawieniem. Po prostu „czyta się", jak pisze nieoceniony „Przekrój".

Ale są to felietony, do których warto wracać. Zawierają bowiem — niejako przy okazji prezentowanych sylwetek — masę informacji, ciekawostek, nieznanych szczegółów, których nie znajdziemy w żadnym z dotychczasowych zapisów literackich.

Niezwykle ważny na przykład dla historyków literatury jest tekst rozmowy z **Tadeuszem Peiperem**, rozmowy przeprowadzonej krótko przed śmiercią „papieża awangardy", wtedy, gdy Peiper od dawna już nie publikował, nie udzielał wywiadów, w ogóle odsunął się od czynnego życia literackiego.

Z książki **Jana Koprowskiego** dowiedziałem się, że za życia wybitnego aktora, **Stanisława Łapińskiego**, podjęto próbę spisania jego wspomnień. Słynny „Łapa" zmarł w siedemdziesiątym siódmym roku życia, należał do nie istniejącego już dziś pokolenia artystów i jego wspomnienia mogą być kopalnią wiedzy o historii naszego teatru. Co się stało z próbą owych wspomnień, kto ma owe teksty, czy można je opracować i wydać? Oto pytania, które nasunęły mi się po lekturze felietonu Koprowskiego.

Jan Koprowski poznał wielu ludzi pióra, artystów, malarzy... Szkice — czy raczej felietony — na ich temat wzbogacają naszą wiedzę o tych interesujących postaciach. Nawet w wypadku ludzi — tych znanych i wielokrotnie portretowanych jak **Melchior Wańkowicz** czy **Stanisław Cat-Mackiewicz**, ma Koprowski do powiedzenia rzeczy oryginalne, nieznane szerszemu ogółowi, notuje rysy charakteru jak gdyby dotąd nie dostrzeżone przez biografów.

Szczególnie ciekawe pod tym względem są — wspomniane już — felietony o **Wańkowiczu** i **Mackiewiczu**. Autor pisze o słabostkach swoich rozmówców, ale przecież nie dla jałowego epatowania czytelnika. Jakże bardzo owe nieznane cechy charakteru czy sposób bycia zbliżają nam postać, która już dziś przynależy do historii. Pisarze o nazwiskach brzmiących jak rozdziały z podręcznika literatury, stają się dzięki Koprowskiemu jeszcze bliżsi, bardziej zwyczajni i ludzcy.

Któż wie na przykład, że **Stanisław Piętak**... nie posiadał własnej biblioteki, nie odczuwał potrzeby takiego warsztatu, a gdy konieczność skłaniała go do szukania informacji źródłowej, wystarczała mu biblioteka publiczna.

Któż wie, że wybitny pisarz austriacki, **Franz Teodor Csokor**, jest autorem listów dotyczących prawie w całości polskich spraw, listów wydanych w 1964 roku w Wiedniu... Nie wiedzą przecież o nich polscy wydawcy, skoro przez kilkanaście lat nie przyswojono polskiemu czytelnikowi owych tekstów.

Któż wie, że to **Ivo Andric**, laureat Nagrody Nobla z 1961 roku (jego opowiadania wydało ostatnio Wydawnictwo Łódzkie), zapoczątkował w 1940 roku akcję dyplomatyczną w sprawie uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego z obozu koncentracyjnego w Oranienburgu...

I tak właściwie można by pytać i zastanawiać się przy każdym z trzydziestu paru felietonów z książki **Jana Koprowskiego „Przyjaciele i znajomi"**. Te szkice przynoszą nam wiedzę o ludziach, o sztuce, literaturze Przybliżają nam postacie znane, odkrywają zapomniane; pomagają zrozumieć proces tworzenia... Dzięki bardzo osobistemu tonowi książki (Koprowski pisze tylko o ludziach których znał osobiście) jej stronice owiane są wzruszającą aurą, są pełne ciepła i refleksji nad mijającym czasem.

JERZY WILMAŃSKI

Jan Koprowski, „Przyjaciele i znajomi". Wydawnictwo Łódzkie, 1977 cena 18 zł.

DAWNE PROCESY (III)

SPRAWA PAPLIŃSKIEGO

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Smieszyła mnie melodramatyczna prezentacja przez Woyzbuna domniemanych przeżyć jego klienta, a zarazem nie mogłem oprzeć się uczuciom podziwu z powodu wysiłków i starań, jakie wkładał mecenas w obronę kolegi. Starałem się znaleźć okoliczności łagodzące (dla Woyzbuna) i rozmyślałem, że gdyby nawet przypisywane Paplińskiemu przeżycia były zmyślone, a nawet wyssane z palca, to jednak powinienem docenić ofiarność i pasję, z jaką mecenas występował w obronie swojego kolegi. Przypomniał mi się wczorajszy persyflaż Paplińskiego przeciwko współdziałaniu adwokata z sądami Zastanawiałem się, czy walka o życie czyli wydarcie człowieka śmierci lub więzieniu nie usprawiedliwiała użycia wszelkich dostępnych obrońcy środków, nie patrząc — lojalnych czy nielojalnych, i zachwiałem się w moich dotychczasowych sądach. Bo i cóż wspanialszego może ofiarować nam świat ponad wolność i życie człowieka?

Tymczasem mecenas mnożył argumenty, powoływał się na głos wewnętrzny, który jakoby odzywał się w oskarżonym: „Będziesz badał świadka, który cię znieważył. Czy wytrzymasz to nerwowe napięcie i nie sięgniesz po broń? A jeżeli sięgniesz i wypalisz?" Rozsądek mówił: „Nie wolno ci strzelać!" Zaś honor i nienawiść podburzały: „Zabij!"

Widziałem w tym śmieszne poetyzowanie, nieudolna próbe inscenizacji dramatycznej walki sprzecznych uczuć i starałem się rozszyfrować wrażenie, jakie ten popis krasomówczy wywarł na sędziach.

Przewodniczący o twardej zamkniętej twarzy chłopa nie zdradził się najlżejszym grymasem. Sędzia z prawej strony o anemicznej i steranej twarzy zdawał się czekać niecierpliwie na finał mowy obrończej; świadczyły o tym złe spojrzenia, rzucane z ukosa na obrońcę. Natomiast trzeci sędzia, pyknik o rumianej i pulchnej twarzy, źle ukrywał rozbawienie i przypatrywał się Woyzbunowi z figlarnym uśmieszkiem. Argumentacja obrony wydawała mu się prawdopodobnie naciągnięta i demagogiczna Domyślałem się z miny sędziów, że Woyzbunowi nie udało się nawiązać więzi z kompletem sądzącym, nie udało mu się nakłonić sędziów do uważnego wysłuchania jego mowy obrończej i narzucić przekonania o słuszności i prawdzie jego wywodów. Stało się tak dlatego, że mecenas sam nie wierzył w to, co mówił Wreszcie nawet zdradzający rozbawienie sędzia-pyknik przyłożył dłoń do ust i ziewnął dyskretnie.

Nie, bynajmniej, nie chciałem nagrywać się w duchu z mecenasa, który pomimo zapału i wysiłków, jakie wkładał w obronę Paplińskiego, miał swój zły dzień. Zdarza się to każdemu. Ale jak poskromić złośliwca, który w nas się zagnieździł i czyha, żeby wydrwić niefortunnego mówcę, gdy powinęła mu się noga?

I oto sytuacja, kiedy świadek znajdował się o parę kroków od kratek, kontynuował obrońca, a oskarżony u kresu wytrzymałości nerwowej wyciągnął rewolwer, nacisnął spust i oddał osiem absurdalnych strzałów w odstępach czterech do sześciu sekund. Strzały poszły nisko, w pustą przestrzeń nie mogąc nikomu wyrządzić szkody.

W rzeczywistości wszystko rozgrywało się w umyśle Paplińskiego całkowicie inaczej i zupełnie prozaicznie. Podzielałem pod tym względem domniemany pogląd sędziego-pyknika. Papliński nie przeżywał bynajmniej dramatycznego starcia sprzecznych uczuć, jakby pragnął obrońca Po zainkasowaniu ciosu pięścią w głowę wrócił trochę podenerwowany do domu, zjadł smaczny domowy obiad, przeczytał gazetę, wyjął z szuflady w biurku browning marki „Walter", schował do kieszeni i poszedł do sądu, żeby z rozmysłem, na zimno, bez żadnego tam silnego wzruszenia wziąć odwet na sprawcy zniewagi. W ostatniej chwili uświadomił sobie jednak konsekwencje zamierzonego czynu. Piętnaście lat więzienia za zabójstwo z premedytacja to nie przelewki. Ostatecznie, dla ratowania honoru strzelił osiem razy w podłogę.

Cała ta sprawa nie była mi obojętna. Chciałem dociec, dlaczego Woyzbun gra va banque ryzykując swoim dobrym imieniem i reputacja poważanego obrońcy, i nie znajdowałem odpowiedzi na to pytanie.

Słowa zaczęły huczeć niezrozumiale. Jakieś uszkodzenie w aparaturze wzmacniającej. Nic nie rozumiałem Oparłem łokcie na kolanach, objąłem palcami skronie i czekałem rozmyślając, że gdybym się miał uwikłać w przyszłości w takie tarapaty, z których nie mógłbym się wyplątać inaczej niż mecenas, to lepiej, żebym trzymał się jak najdalej od tego zawodu.

Wyłączyli megafon. Czułem brzemię ciszy niby jakiś ogromny ciężar na plecach. Różne nieskoordynowane myśli tłukły mi się po głowie. Byłem przeświadczony, że Papliński kazał gosposi wyjechać na wieś względnie dał jej urlop, żeby pozbyć się niepewnego świadka, który w prostocie ducha raczej zaszkodziłby mu swoimi zeznaniami niż pomógł, a w krzyżowym ogniu pytań mógłby zaplątać się i zgubić pogarszając sytuację Paplińskiego jako podsądnego Czy mecenas wiedział o tym posunięciu kolegi, którego bronił? Czy mógł nie wiedzieć? Zadawałem sobie pytanie domniemywając, że raczej musiał wiedzieć, bo jako obrońca powinien być wtajemniczony we wszystkie gry taktyczne swojego klienta. Papliński był zbyt doświadczonym prawnikiem, żeby zataiać przed swoim pełnomocnym obrońcą jakiś szczegół czy fakt objęty planem strategicznym obrony. Wiedział i rozumiał (Papliński), że z ukrywania przed pełnomocnikiem prawdziwego stanu rzeczy mogą wyniknąć nieporozumienia i komplikacje, groźne w skutkach. Na przykład, nieświadomy machinacji Paplińskiego obrońca widząc, że sprawa przybiera zły obrót, mógłby wystąpić z wnioskiem o odroczenie sprawy i domagać się wezwania gosposi jako świadka zobowiązując się do odnalezienia jej adresu i miejsca pobytu, co by mogło tylko wpłynąć na pogorszenie sytuacji oskarżonego w procesie.

To, co powiedziałem w obronie podsądnego, usłyszałem znów głos mojego tenora operowego, to nie jest jakaś wymyślona fikcja. To rzeczywistość, zapewniał Woyzbun przykładając rękę do piersi w okolicy serca dla podkreślenia tym wystudiowanym gestem, że mówi prawdę.

Wstrząśnięty doznaną zniewagą, przemawiał dalej Woyzbun, klient mój udał się do domu, lecz w tym stanie nerwów nie był w możności skorzystania z czekającego nań posiłku, i wziąwszy rewolwer wrócił do sądu.

Oddychając słabo słuchałem wznoszącego się i opadającego głosu mówcy. I po co ta blaga, mecenasie? kłóciłem się bezgłośnie z Woyzbunem Czy pan nie widzi, że sąd panu nie wierzy? Że sędzia z lewej strony uśmiecha się ironicznie?

Wykret z gosposią, która zginęła bez śladu gdzieś na dalekiej wsi, dokuczał mi jak ość uwięzła w podniebieniu. Widziałem siebie w przyszłości. Wielkie nieba, co za degrengolada! Czy tak samo, ulegając wyższym koniecznościom i względom na nie dające się uniknąć potrzeby chwili, będę naginał się do okoliczności i zakłamywał mówiąc to, w co nie wierzę?

Kim jestem? Kim jesteśmy? zadawałem sobie pytania szukając na próżno odpowiedzi.

Przegapiłem fragment przemówienia i ani się spostrzegłem, jak mecenas przeszedł do analizy stanu prawnego krytykując przy okazji pogląd prokuratora, ujmującego generalnie emocje sprawcy przestępstwa, czego robić nie wolno. Prawda bowiem jest taka, że przeżycia emocjonalne, znajdujące się u podstaw ludzkiego działania, mogą wyostrzać aż do bólu problem, przed którym stoi człowiek winny zabójstwa. Aż do bólu, podkreślił to Woyzbun. I dlatego czyn podjęty w takim stanie napięcia uczuciowego podlega kwalifikacji prawnej jako działanie w stanie silnego wzruszenia. Tutaj mecenas powołał się na odpowiednie orzeczenia Sądu Najwyższego i jurysprudencję.

Przed sprawą poświęciłem trochę czasu na zapoznanie się z doktryną i orzecznictwem i znalazłem tyle sprzecznych i wykluczających się wzajemnie opinii w sprawach przestępstw dokonywanych w afekcie, że musiałem zrezygnować z wyrobienia sobie prawidłowego poglądu. Podobnie było w nauce i teorii prawa karnego. Odróżniano afekt od namiętności, wyodrębniano postanowienia powzięte w momencie podjęcia zamiaru zabójstwa od postanowień w chwili dokonania czynu. Stan faktyczny zabójstwa w afekcie był efektownym tematem, na który porywał się każdy powołany i niepowołany autor. Zwalczano cudze poglądy, ale też w ferworze polemiki z racji tego skomplikowanego zagadnienia przeczono samym sobie. Był to uderzający przykład gąszczu argumentów, w którym można się zgubić i od których może tak zamieszać się czytającemu w głowie, że w ogóle przestanie rozumieć, gdzie jest prawda, gdzie nieporozumienie. Przykład interpretacji przepisów prawa, w której z białego można zrobić czarne i na odwrót. Same ustawy, często rozwlekłe lub na zmianę — nadmiernie zwięzłe (ustawodawca wpadający z jednej ostateczności w drugą), dające pole do fantastycznych nadużyć interpretacyjnych, były w rękach nieodpowiedzialnych przedstawicieli palestry groźną bronią.

Dobrze. Ale czy przez takie relatywne widzenie rzeczywistości nie stawałem się więźniem moich poglądów na zło jako na szczególny element współczesnego świata? I czy nie zbliżałem się nieuchronnie do założeń bliskich mecenasowi Paplińskiemu?

Tymczasem mecenas zmierzał do finału. Reasumując stwierdził z mocą, że jego klient nie nosił się z zamiarem zabójstwa, a strzelając w podłogę ustrzegł się od przelotnego odruchu, który przecież nie można nazwać intencją popełnienia zbrodni.

W konkluzji obrońca wnosił o zwolnienie podsądnego od kary.

Sąd udzielił głosu oskarżonemu.

Papliński wstał i wyraził ubolewanie z powodu czynu, jakiego się dopuścił. Pokornym głosem, bez zwykłej brawury i wyniosłości zapewnił, że w uniesieniu nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, i w ostatniej chwili uświadomił sobie groźne skutki, jakie mógł spowodować, gdyby nie rozładował magazynku z nabojów, i dlatego zanim świadek podszedł do kratek...

W tym momencie umilkł, zwiesił głowę i stał chwilę jak skruszony kryminalista. Jeżeli nawet było to obliczone na efekt, zrobiło dobre wrażenie. Skrucha przestępcy wzbudza w nas przekonanie, że przez naszą akcję wychowawcza, jaką powinna być działalność penitencjarna, doprowadziliśmy winnego do zrozumienia szkodliwości przestępstwa, jakie popełnił, a to daje nam satysfakcję, uważamy się za naprawiaczy zła i będąc zadowoleni z siebie skłonni jesteśmy do pobłażliwości, jakiej byśmy nie doznawali, gdybyśmy musieli podpisać wyrok na nieugiętego uparciucha, przeświadczonego, że jesteśmy idiotami, ponieważ skazujemy niewinnego.

Nie chciałem zabić, proszę Wysokiego Sądu! zawołał. Chciałem tylko pozbyć się śmiercionośnych pocisków i dlatego, zanim świadek zdążył podejść do kratek, wystrzeliłem wszystkie kule. W podłogę.

Znów umilkł, zwiesił głowę i cichym głosem prosił o uwolnienie go od kary.

Zostanie uwolniony! szepnął mi do ucha Lawiński. W szepcie starego sekretarza usłyszałem akcenty wzruszenia, cichą radość, że Papliński wyjdzie obronną ręką z galimatiasu, którego narobił.

Sąd zarządził półgodzinną przerwę dla zredagowania wyroku na piśmie.

Woźny wezwał publiczność, żeby wstała.

Sędziowie nałożyli birety na głowy i wyszli do pokoju narad.

Świetnie. Bardzo dobrze. Brawo! Muszę dziś pochwalić pańskiego szefa. To była mowa obrończa pierwsza klasa. Mówię serio! zaperzył się sekretarz widząc moje zdumienie.

Nawet mając na względzie ten trick z zaginioną gosposią? zapytałem ironicznie patrząc mu w małe załzawione oczy.

A od czego jest adwokatem? Za co bierze pieniądze, jak nie za to, żeby bronić klienta? natarł na mnie kłótliwie.

Wyszliśmy na dziedziniec. Lawiński zapalił papierosa. Panie, zło dobro to jak dwie połówki jabłka, które do siebie pasują, tłumaczył mi jowialnie. Nie ma dobra bez zła, ani zła bez dobra. A w takiej sprawie, gdzie grozi dziesięć lat więzienia, nie można się bawić w dzielenie włosa na czworo. Rzetelny adwokat poruszy niebo i ziemię, żeby ratować człowieka. Czy pan rozumiesz, co to jest dziesięć lat więzienia? To jest mogiła, panie!

Spacerowaliśmy po wyżwirowanym podwórzu sądowym pałacu Paca jak po dziedzińcu więziennym.

Więc pan uważa, że każdy sposób, który prowadzi do wygrania sprawy, jest dobry? zagiąłem Lawińskiego.

Ja nic nie uważam, panie! oburzył się. Ja tylko wiem, że sąd nie da się nabrać. Ale obowiązkiem adwokata jest tak przedstawić sprawę, żeby sądowi podsunąć wyjście. Sędziowie nie lubią być katami, panie. Czy pan myślisz, że przyjemnie jest skazywać ludzi na długoletnie więzienie?

Rozumiem, odparłem cierpko. Pan by chciał, żeby sąd obchodził się z nieboszczykami, hultajami po ojcowsku.

Złapał mnie za guzik od marynarki. Jeżeli pan kochasz literę prawa, a gardzisz pan człowiekiem, to nie powinieneś pan pchać się do adwokatury. Zostań pan lepiej prokuratorem. Ja dobrze panu radzę.

Puścił mój guzik, zrobił krok do tyłu i przypatrywał mi się krytycznie. Ja też mu się przyglądałem krytycznie. Wydał mi się śmieszny w kusej marynarce, w wygniecionych spodniach i ze śliną w kącikach ust.

Panie, pouczał mnie. Paragraf nie jest ważny. Ważny jest człowiek z jego siłą i słabością. Dlatego nie masz się pan o co złościć na adwokatów. Ważne jest, żebyś nie miał pan serca z kamienia i widział w drugim człowieka.

Dobrze. Zgoda, przyznałem mu rację. Ale musi przecież być jakaś granica.

Jaka granica?

Między dobrem a złem.

Roześmiał się, włożył papierosa do ust, zapalił, zaciągnął się, wydmuchał dym i nie patrząc na mnie, patrząc na żwir pod nogami powiedział: Nie ma żadnej granicy, panie. Dobro i zło są połączone w człowieku jak dwie połówki jabłka albo jak zakochana para w łóżku. Tak samo u adwokata, spryt i rzetelność to siostry syjamskie. Jak pan będziesz chciał je zoperować, chciałem powiedzieć: rozłączyć, zabijesz pan obie czyli zabijesz pan adwokaturę.

Tylko że tego sprytu jest u adwokata więcej niż rzetelności, drażniłem się ze starym, bo już się zachwiałem i zacząłem słabnąć, jak gdybym gubił moją surową miarę w sporze ze starym sądownikiem.

Co tam pan wiesz? wywarł się na mnie. Tacy jak pan, młodzi, potrafią być okrutni, ho, ho! Znam ja takich moralistów! stary zirytował się. Szara jak pergamin i pomarszczona twarz pobladła, głos się zmienił, rozdrażnienie objawiało się piskliwymi dyszkantami, jak gdyby poszarpane struny głosowe rozstroiły się i brzęczały nieprzyjemnie.

Świat będzie szedł swoją koleją nie patrząc na wasze nauki, zreasumował swoje zapatrywania.

Nagle zamilkł, jak gdyby żałując że powiedział za dużo.

Rzucił niedopałek papierosa na żwir, przydeptał, popatrzył na mnie z wyrzutem małymi oczkami, w których było coś rozdzierającego i zdesperowanego, i uszedłszy jeszcze parę kroków zaczął gderać: Ja tu sobie z panem uciąłem rozmówkę, a tam panie, robota na mnie czeka.

I odszedł kulejąc.

* * *

Po odwołaniu się od wyroku skazującego adw. Papliński został ostatecznie uniewinniony od zarzutu usiłowanego zabójstwa, a skazany za zakłócenie posiedzenia sądu na siedem dni aresztu.

U PRZYJACIÓŁ

☆ ★ ☆

Co roku na półkach księgarskich Kraju Rad ukazuje się przeszło 85 tys. tytułów książek i broszur o nakładzie 1,7 mld egzemplarzy różnych wydawnictw.

Czołowe miejsce wśród wydawanych w Związku Radzieckim książek zajmuje literatura społeczno-polityczna, a następnie naukowa, popularnonaukowa, beletrystyka, książki dla dzieci i młodzieży. W ostatnim okresie dał się zauważyć poważny wzrost liczby tytułów wydawnictw poświęconych sztuce. Obecnie w ciągu roku ukazuje się tu ponad dwa tysiące tego rodzaju publikacji.

Cechą charakterystyczną radzieckiego ruchu wydawniczego jest duży udział wśród przygotowywanych do druku publikacji autorów obcych. Co roku ukazuje się tu 8 tys. tytułów literatury przekładowej w nakładzie ok. 250 mln egz. W tym samym okresie wydanych zostaje ok. 3,5 tys. tytułów książek wydrukowanych w różnych językach świata w nakładzie ok. 75 mln egzemplarzy.

Dzieła Włodzimierza Lenina drukowano tu w 63 językach narodów ZSRR oraz w 39 językach innych narodowości. Wielokrotnie wznawiano dzieła Karola Marksa i Fryderyka Engelsa w przekładach na 83 języki w tym na 49 języków narodów Związku Radzieckiego.

Kolportażem książki zajmuje się tu 735 tys. osób pracujących w ponad 16 tysiącach księgarń i 40 tys. kiosków. W ostatnim okresie sieć księgarska powiększyła się o wiele punktów sprzedaży działających na terenie zakładów pracy w domach kultury i świetlicach. Mimo że obecnie przypada tu średnio 7 książek na statystycznego mieszkańca. Liczba ta nie zaspokaja stale rosnącego popytu. Z pomocą przychodzą biblioteki publiczne, powszechnie dostępne, a przecież działają tu obok nich biblioteki specjalistyczne instytucji naukowych i szkół wyższych, organizacji społecznych i kulturalnych. Warto jeszcze dodać, że tylko w 1976 r. zasoby bibliotek publicznych powiększyły się o 34 mln tomów.

Mówiąc o ruchu wydawniczym Kraju Rad warto wspomnieć również o gazetach i czasopismach. Dziewięciokrotnie wzrosła w czasie trwania władzy radzieckiej liczba wydawanych gazet i czasopism. Obecnie drukuje się tu ponad 8 tys. gazet o ogólnym jednorazowym nakładzie 168 mln egzemplarzy.

☆ ★ ☆

Z ogromnym zainteresowaniem przyjęła krytyka NRD wydany nakładem Henschelverlag zbiór publikacji o teatrze muzycznym pióra Waltera Felsensteina (Walter Felsenstein Schriften-Zum Musik-theater").

Przedwcześnie zmarły autor był wybitnym teoretykiem teatru muzycznego, reżyserem i dyrektorem berlińskiej Opery Komicznej.

Z książki wyłania się wielka indywidualność Felsensteina, człowieka, który żył teatrem. Pisał np.: do Ingardy Arnold, która grała Violettę w „Traviacie": „Zapewne uważa pani za niedorzeczne, że leżąc chory w łóżku często zastanawiałem się nad realizacją przedstawienia i myśli te często przelewam na papier".

Program artystyczny, który sobie Felsenstein założył, realizował konsekwentnie od otrzymania licencji na działalność Opery Komicznej w 1947 roku do swej ostatniej premiery, baletu „Czarne ptaki" w 1975 r.

Postać i dzieło znakomitego artysty przybliża również książka „Rozmowy z Felsensteinem" tego samego wydawnictwa, pióra Dietera Kranza. Ten znawca powojennego teatru w Berlinie opublikował autoryzowane przez Felsensteina audycje radiowe o inscenizacji Opery Komicznej, od „Otella" w 1959 r. poczynając.

Książka zawiera wiele informacji, ale o jej wartości stanowi przede wszystkim wiernie zachowany język spontaniczny rozmowy nie przełożony na sztuczną formę oficjalnego wywiadu.

NATO

„TRANSAKCJA STULECIA..."

Szerokie kręgi społeczeństw Danii, Norwegii, Holandii i Belgii są bardzo zaniepokojone porozumieniem w sprawie zakupienia w USA 348 amerykańskich samolotów pościgowo-bombardujących F-16. Wykorzystując prawo silniejszego wobec swych lilipucich partnerów z Paktu Atlantyckiego i stosując podczas rozmów przeróżne naciski, wojskowo-przemysłowy kompleks USA jeszcze raz pokazał, że gotów jest wyciągnąć ze swoich sojuszników ostatni grosz, żeby tylko napełnić safesy amerykańskich fabrykantów broni i rozkręcić wyścig zbrojeń.

Tę przesławną „transakcję stulecia" nazywa się otwarcie w kołach zachodnich producentów samolotów „nie transakcją, a oszustwem". Amerykanów oskarża się, że nie wywiązali się z przyjętych na siebie zobowiązań. I akurat w momencie, kiedy nadszedł termin podpisania końcowych kontraktów. Pierwsza sposód niezadowolonych wystąpiła Dania, proponując swoim partnerom: Norwegii, Belgii i Holandii odłożenie na miesiąc procedury podpisania kontraktu, wyznaczonego na 1 kwietnia br. (26 kwietnia, znów na prośbę Danii, tę całą procedurę odłożono po raz drugi, tym razem do 1 czerwca). Powód tej decyzji: po pierwsze, przemysłowe przedsiębiorstwa konsorcjum, stworzonego przez te cztery kraje, otrzymają tylko część zamówień, obiecanych wcześniej przez Amerykanów w ramach realizacji programu wspólnej produkcji, i po drugie, cena jednego samolotu wzrosła już o 10 procent w porównaniu z ceną początkową.

Dwa lata temu, po kilku miesiącach wahań, przekomarzań, wszelkich możliwych nacisków i mini-skandali czwórka: Dania, Belgia, Norwegia i Holandia wypowiedziały się za wymianą przestarzałych samolotów „F-104 Starfiner" na amerykańskie samoloty F-16 produkcji General Dinamics. Polityczna waga Stanów Zjednoczonych, ich rola w NATO wywarły decydujący wpływ na podjęcie tej decyzji. Ponadto wybór na korzyść F-16 (odrzucono konkurencyjną ofertę francuskich Mirage'ów) był podyktowany obietnicą Amerykanów, że zrekompensują czterem krajom-nabywcom wydatki na kupno samolotów, umożliwiając im produkowanie pewnych podzespołów i części wymiennych. Zgodnie ze wstępnym porozumieniem, niektóre zachodnioeuropejskie przedsiębiorstwa miały uczestniczyć w produkcji szeregu najważniejszych części i elementów: kabin, silników, urządzeń elektronicznych i innych. „Kiedy zbuduje się już tysiąc samolotów, czwórka, jako podwykonawca, zwróci sobie 50 procent wartości transakcji" — głosiły dokumenty. Poza tym przewidywano w umowie, że im więcej samolotów sprzedadzą Amerykanie w różnych krajach świata, tym więcej pieniędzy otrzyma czwórka. Ale pod jednym warunkiem: produkcja belgijskiego, holenderskiego, duńskiego i norweskiego przemysłu powinna być „rozumnie konkurencyjna, jak to uściślono w memorandum o osiągniętym porozumieniu".

15 marca br. powołując się na to memorandum, amerykańska kompania Westinghous zażądała zwrotu zamówienia, które złożyła uprzednio firmie „Atelier de Construction Electrique de Charleroi" (Belgia), na wykonanie urządzenia radarowego do samolotów F-16. Wywarło to głębokie zaniepokojenie w Danii i Norwegii, krajach, które, nie posiadając własnego przemysłu budowy samolotów, wszystkie swoje nadzieje wiążą z produkcją urządzeń elektronicznych. Dania, rozczarowana tym, że dostaje tylko okruchy z „kontraktu rekompensacyjnego", z którego lwią część otrzymuje Belgia, zagroziła, że w ogóle nie zawrze transakcji ze Stanami Zjednoczonymi. Groźba ta jest oczywiście nierealna, bowiem wystawioną do wiatru „czwórkę" Amerykanie mocno przycisnęli do muru: w ten wspólny projekt „czwórka" włożyła już ponad 100 milionów dolarów i o wycofaniu się z tej kabały nie może być mowy. W ten sposób założone przez nią konsorcjum musi się podporządkować żądaniom zza Oceanu. Ale to jeszcze nie wszystko, bowiem belgijskie i holenderskie przedsiębiorstwa muszą przystosować swoje urządzenia techniczne do amerykańskiej technologii. Wydatki te idą w miliony dolarów, a za to oczywiście amerykańskie koncerny nie zapłacą.

Podobne kłopoty miała już Szwajcaria. Dwa lata temu złożyła ona zamówienie w USA na 72 samoloty typu Tiger. I tym razem kontrakt podpisano tuż po zawarciu porozumienia o 30-procentowej rekompensacie na rzecz przemysłu szwajcarskiego. Dziś ta rekompensata wynosi zaledwie 2 procent, a w najlepszym wypadku wyniesie 6 procent.

Organ KC Komunistycznej Partii Danii, „Land og Folk", informuje, iż reakcja Danii i niezadowolenie trzech pozostałych krajów z racji tej wymuszonej transakcji przez amerykański kompleks wojskowo-przemysłowy rozjuszyło dowództwo NATO. Istotnie ministrowie obrony Danii, Norwegii, Belgii i Holandii zostali niedawno wezwani do Brukseli na rozmowy z dowództwem NATO i przedstawicielami amerykańskiego koncernu General Dinamics w sprawie trudności, które powstały przy finalizacji tej umowy. Rząd i uległe wobec NATO parlamentarne partie Danii zapewniały swego czasu, iż duńskie przedsiębiorstwa otrzymają od amerykańskiego koncernu takie zamówienia na wykonanie elementów i części wymiennych do samolotów F-16, że zapewnią one pracę tysiącom ludzi na okres 10 lat. Dopiero teraz wyjaśnia się, że mowa tu o zamówieniach, które mogą zapewnić pracę zaledwie 400 ludziom na okres 5—6 lat, a w dodatku duńskie przedsiębiorstwa będą musiały importować z USA za waluty ważne detale do produkowanych przez nie części.

Minister obrony Danii, Orla Moeller, powiedział w Brukseli korespondentom gazet, że amerykański koncern, po pierwsze, nie dotrzymał swojej obietnicy odnośnie wielkości zamówień kompensacyjnych i po drugie — podniósł ceny za samoloty. Ale tych protestów, przypominających zresztą głos wołającego na puszczy, dowództwo NATO w ogóle nie przyjęło do wiadomości. Moellerowi po prostu powiedziano, że udział Danii w umowach kompensacyjnych nie może być zwiększony i że wzrost cen na samoloty nie podlega dyskusji. Poza tym, generalny sekretarz NATO, Luns, w piśmie skierowanym do rządu duńskiego w przeddzień wspomnianego już spotkania ministrów obrony w Brukseli podkreślił, iż zdaniem dowództwa NATO wkład Danii w dzieło budowy sił zbrojnych Paktu Północnoatlantyckiego jest bardzo mały. Ponadto generalny sekretarz NATO zażądał, żeby suma obecnych wydatków wojskowych Danii w wysokości 6,5 miliarda koron została zwiększona o 3 procent i „odpowiadała celom sojuszu atlantyckiego".

Duński minister został załatwiony krótko i treściwie, w trybie wojskowym. Amerykańskie koncerny mogą więc sobie powinszować tak świetnego rzecznika swoich interesów, jakim jest dowództwo NATO. Ale to jeszcze nie wszystko, zaledwie duński minister obrony zdążył wrócić do domu ze sztabu NATO w Brukseli, a już w prasie ukazało się oświadczenie komisji amerykańskiego Kongresu do spraw uzbrojenia o stwierdzeniu poważnych braków konstrukcyjnych w pościgowcu bombardującym F-16. Jego projekt wykonano zbyt pośpiesznie, „a techniczne problemy — mówi się w sprawozdaniu komisji Kongresu do ministra obrony USA — polegają na tym, że samoloty te będą wystawione na ciosy w warunkach bojowych".

No cóż, ten przykład przykrych doświadczeń czwórki wskazuje wyraźnie, że militarny blok NATO jest nie tylko posłusznym narzędziem agresywnych dążeń amerykańskiego imperializmu, lecz także ważnym instrumentem ekonomicznym wojskowo-przemysłowego kompleksu USA. Za pośrednictwem NATO kieruje on rządami partnerów USA z Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego, steruje ich polityką wewnętrzną i międzynarodową i zmusza je do finansowych wkładów na cele militarne, zwiększając w ten sposób wyścig zbrojeń i napięcie międzynarodowe.

JERZY CZECH

SPUŚCIZNA po PICASSIE

Już cały rok Paloma Picasso jest zajęta spisywaniem dzieł swego ojca, Pabla Picasso, który pozostawił po sobie ogromną spuściznę artystyczną. Oceniana na 1 miliard 154 miliony franków składa się z 1.885 płócien, 7.089 rysunków, 1.228 rzeźb, 3.222 dzieła z ceramiki, ponad 30.000 szkiców, sztychów, niezliczonych ilości notatek. Mistrz nie pozostawił testamentu na korzyść któregokolwiek z członków swojej rodziny. Dlatego też spadkobiercy Picassa: Paloma, jej brat Claude, siostrzeniec Bernard i troje innych bliskich krewnych postanowili podzielić między siebie troski o zabezpieczenie tego ogromu artystycznej spuścizny i założyć instytucję pn. Towarzystwo Picassa. Pewien amerykański handlarz obrazami obliczył, że jeśliby tę całą twórczość artystyczną Picassa wystawić pewnego dnia na sprzedaż, to nabycie tych prac pochłonęłoby wszystkie wolne kapitały będące na rynku zbytu dzieł sztuki.

Towarzystwo Picassa, założone zaraz po śmierci artysty, nie ogranicza się do zarządzania sprawami związanymi bezpośrednio ze spadkiem (część, którą otrzymują sukcesorzy, wynosi zaledwie 25 procent wszystkich dzieł Picassa), lecz przez pewien czas będzie odgrywać rolę ośrodka informacji oraz opiekuna spuścizny artystycznej Picassa, biorąc na siebie również obowiązek demaskowania falsyfikatów, ustalania autentyczności dzieł, organizowania wystaw itd.

Przez 77 lat Picasso pracował każdego dnia, nie folgując sobie ani trochę. Nieraz malował po kilka obrazów dziennie, zawsze wykonywał do nich mnóstwo rysunków i szkiców. Sporo niespodzianek spotkało sukcesorów podczas układania spisu dzieł artysty. Do znanej rzeźby, uważanej za jedyny egzemplarz, dochodził oryginał drewna, trzy oryginały z gipsu i mnóstwo projektów. Picasso niczego nie wyrzucał, ani tego, co sam robił, ani tego, co kupił, ani tego co mu podarowano.

Jednym z celów działalności Towarzystwa Picassa jest także pomoc przy tworzeniu państwowego muzeum artysty. Zrodził się projekt, żeby to muzeum ulokować w pałacyku z XVII wieku. Ale jak przekształcić zabytkowe pomieszczenie w muzeum XX wieku, o powierzchni 3.800 m kw. Wydatki na ten cel wyniosłyby około 30 milionów franków, podczas, gdy roczny budżet wszystkich muzeów we Francji nie przekracza 40 milionów. W tej sytuacji, albo Paryż weźmie na siebie trzecią część tych wydatków, albo trzeba będzie otworzyć muzeum na prowincji...

(C)

■ JESZCZE BLIŻSZA WSPÓŁPRACA
■ POŻYTECZNA KONWENCJA
■ NIEPOKOJĄCE WYBORY

W czasie lutowej wizyty w Polsce E. Honeckera — sekretarza generalnego KC SED — obie strony uzgodniły, że **w br. podpisany zostanie nowy Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej**, który by odpowiadał obecnemu, wyższemu etapowi naszych bliskich, przyjacielskich stosunków. Każdy rok bowiem od proklamowania NRD i podpisania wkrótce po tym historycznym fakcie Układu Zgorzeleckiego do wielostronnej współpracy sąsiedzkiej wnosi nowe treści. Zwłaszcza szeroko rozwinęły się nasze stosunki po berlińskiej deklaracji z 1973 roku.

Deklaracja ta, traktująca o umocnieniu przyjaźni i pogłębieniu współpracy, stała się wyrazem właśnie wyższego etapu stosunków między obu krajami.

W najbliższych dniach złoży wizytę w NRD delegacja polska z Edwardem Gierkiem. Będzie to nowy, milowy krok na drodze rozwijającej się wciąż, wszechstronnej współpracy. Cenimy sobie bardzo, że za zachodnią granicą Polski mamy sąsiada — członka socjalistycznej wspólnoty, z którym łączą nas wspólne cele i wspólne zainteresowania.

* * *

Z ogromnego problemu rozbrojeniowego odnotujmy w ub. tygodniu korzystny fakt. **33 państwa w genewskim Pałacu Narodów złożyły podpisy pod konwencją, zakazującą oddziaływania na środowisko naturalne w celach militarnych.** W preambule konwencji podkreśla się, że jej intencją jest umocnienie pokoju, powstrzymanie wyścigu zbrojeń i dążenie do całkowitego i powszechnego rozbrojenia.

Czego zabrania konwencja?

Wojny meteorologicznej, a więc wykorzystania techniki do modyfikowania środowiska naturalnego w celach militarnych. Chodzi o to, aby nie zmieniać dynamiki, składu i struktury Ziemi, łącznie z przyrodą żywą, litosferą, hydrosferą, atmosferą oraz przestrzenią kosmiczną. Konwencja — co więcej — zawiera zobowiązanie państw do rozwijania współpracy w zakresie utrzymywania, ulepszania i pokojowego wykorzystania środowiska naturalnego. Wybiega więc naprzód, zapobiega niebezpiecznym przekształceniom w naszym otoczeniu. Jak stwierdził w swym oświadczeniu min. E. Wojtaszek — ma ona **„humanistyczny walor"** i dlatego uważamy, że jest **„jedną z najważniejszych w ogólnej strukturze konwencji rozbrojeniowych".**

Konwencja — dodajmy — przyjęta została przez XXXI sesję Zgromadzenia Ogólnego NZ, a teraz — po ratyfikacji — stanie się obowiązującą dla 33 państw. Mamy nadzieję, że przystąpią do niej i inne państwa, o co apelował w czasie ceremonii podpisania w Genewie Kurt Waldheim — sekretarz generalny NZ.

* * *

Znaczące wydarzenie miało miejsce ostatnio w Izraelu. Mamy na myśli **wybory parlamentarne, które przyniosły porażkę rządzącej dotąd — od 29 lat — Partii Pracy.** Do władzy doszedł prawicowy blok Likud, kierowany przez M. Begina, zróżnicowany zresztą wewnętrznie, ale mający opinię jeszcze bardziej usztywnionego na pokojowe rozwiązanie problemu bliskowschodniego, a w tym przede wszystkim palestyńskiego.

Sam Begin (studiujący przed II wojną światową w Warszawie) uważany jest za zwolennika koncepcji „wielkiego Izraela", co może zrodzić kłopoty nawet bliskim sojusznikom tego państwa.

Prasa syryjska, komentując wyniki wyborów, podkreśla, że **nie będą one sprzyjać pokojowi na Bliskim Wschodzie.** Nowy rząd nie będzie mógł wprawdzie nie zgodzić się na genewską konferencję — może jednak znacznie ją utrudnić. Nad próbami politycznego dialogu może brać górę próba odwlekania rozstrzygnięć w myśl strategicznej koncepcji Tel Awiwu „zyskania na czasie" i stwarzania na zagarniętych ziemiach arabskich faktów dokonanych.

Jakie niebezpieczeństwo niesie takie stanowisko, jak skomplikować może i tak złożoną sytuację bliskowschodnią — zbyteczne byłoby wyjaśniać.

Nie jest więc przypadkiem, że **znowu Kurt Waldheim opowiedział się za pilnym zwołaniem konferencji w Genewie.** Dla zapobieżenia konfrontacji zbrojnej musi w najbliższych miesiącach nastąpić przełom. Wynik wyborów w Izraelu może stać się istotnym hamulcem w światowych wysiłkach — podkreślił sekretarz generalny — na rzecz pokojowych rozstrzygnięć. Gdyby tak się stało — sytuacja na Bliskim Wschodzie może ulec dalszemu zaostrzeniu.

Problematyka bliskowschodnia była również tematem rozmów min. Gromyki i sekrearza stanu Vance w Genewie. Po tym spotkaniu radziecki minister oświadczył, że oba państwa uważają, że **sytuacja**, jaka istnieje obecnie na Bliskim Wschodzie **jest nienormalna i potencjalnie niebezpieczna** i że dla rozpatrzenia problemu najwłaściwszym forum byłaby konferencja genewska.

W. SŁAWSKI

SPORT

CZARNA DZIURA

Zakończył się XXX, jubileuszowy Wyścig Pokoju. Zakończył się triumfem kolarzy radzieckich, którym wytrwale sekundowali kolarze NRD i CSRS. Nasza piątka — po kraksie Adama Jagły — spadła na czwartą pozycję, co zostało trafnie skomentowane przez nową gwiazdę telewizji, niezwykle sympatycznego komentatora kolarskiego — Stanisława Szozdę. Pokazał on pewną prawidłowość naszego sportu — nie tylko kolarstwa — mówiąc, że po latach sukcesów i dominacji Polaków, nadeszły lata chude, kiedy kolarska młodzież nie potrafi jeszcze dorównywać mistrzom. A na to, aby potrafiła, trzeba jeszcze poczekać.

Podobną opinię wygłosił kiedyś, w prywatnej rozmowie zresztą, Mieczysław Nowicki. I, jak praktyka jubileuszowego Wyścigu Pokoju pokazała, miał rację. Wprawdzie z naszym kolarstwem nie jest jeszcze tak źle, bo Ryszard Szurkowski zwyciężył w Austrii, bo Tadeusz Mytnik był trzeci w Wyścigu Pokoju, bo jest jeszcze sam Stanisław Szozda i wspomniany już Mieczysław Nowicki, ale na sukcesy kolarskiej młodzieży przyjdzie trochę poczekać. Czyli — jak to u nas bywa — powstała dziura, przerwa, która kibiców przyprawia o czarną rozpacz. I stąd czarna dziura, choć spece od Kosmosu będą się krzywili, twierdząc, że czarna dziura wcale pustki nie oznacza. Ale ja tam swoje wiem. Taką czarną dziurę, niestety, przeżywa nie tylko kolarstwo, jest ona charakterystyczna dla wielu dyscyplin. Nie będę ich wymieniała, każdy kibic może tu sobie spokojnie podstawić tę dyscyplinę, którą się interesuje i sprawdzić, czy występuje w niej czarna dziura.

Kibice ŁKS nie będą mieli większej trudności ze znalezieniem czarnej dziury w działaniu piłkarskiej jedenastki. Lider rundy jesiennej, tak pochopnie kreowany na mistrza Polski i eksportową drużynę piłkarską Łodzi, spisywał się w rundzie wiosennej fatalnie. Okazało się, że z tą drużyną najwybitniejszy ostatnio trener — Leszek Jezierski, potrafił poradzić sobie tylko przez połowę sezonu. Gdyby nie sukcesy, jakie ŁKS odniósł w rundzie jesiennej, to obecnie znajdowałby się między kandydatami do przejścia do drugiej ligi.

Pozwoliłam sobie sporządzić bilans sukcesów i klęsk jedenastki ŁKS za 14 wiosennych spotkań. I tak w pierwszym meczu ŁKS pokonał jedną z najsłabszych drużyn I ligi w bardzo złym stylu 1 do 0. Był to pierwszy wygrany mecz z rybnickim ROW. Później przyszły trzy remisy, z poznańskim Lechem, gdańską Arką i mielecką Stalą, okrzyczane przez komentatorów jako „mądra taktycznie gra ŁKS", a co w rzeczywistości było oznaką kryzysu formy tej drużyny. W rezultacie ŁKS na 14 spotkań wiosennej rundy zdobył 9 punktów za zwycięstwa i remisy, a stracił 19 punktów, ponosząc 8 porażek. Ostatni mecz sezonu 1976 — 1977 nie zmieni już pozycji ŁKS i drużyna ta powinna być szczęśliwa, że nie zagraża jej „miękkie lądowanie" w drugiej lidze. Jest to i tak wielki sukces, i tak trzeba go realnie oceniać.

Pozwoliłam sobie zrobić też inne zestawienie. Otóż w 14 wiosennych spotkaniach kandydat do spadku z I ligi — poznański Lech wyszedł właściwie na remis. Wszyscy już byli skłonni uważać, że drużyna poznańskich kolejarzy nieuchronnie znajdzie się w drugiej lidze, ale ta jedenastka w 14 spotkaniach zdobyła 14 punktów, tracąc tyle samo. W rezultacie kandydat do drugiej ligi grał lepiej od niedawnego lidera. Wprawdzie Lech spotka się w ostatnim spotkaniu wiosennej rundy z aktualnym liderem, z wrocławskim Śląskiem, ale drugi kandydat do drugiej ligi — GKS Tychy, bo spadek rybnickiego ROW jest już przesądzony, spotka się z ŁKS i nic nie wskazuje, że ŁKS odniesie tym razem zwycięstwo.

Kiedy tak wszyscy patrzyli na ŁKS i spekulowali, kto ostatecznie spadnie do drugiej ligi, jedenastka RTS Widzew spokojnie gromadziła punkty, wychodząc na drugie miejsce w ligowej tabeli i bezapelacyjnie na pierwsze miejsce w Łodzi. Ta drużyna, o której Jan Ciszewski mówił, że jest drużyną z łódzkiego przedmieścia i zafascynowany rewelacyjnością zabrzańskiego Górnika, nie potrafił dostrzec awansu jedenastki z Widzewa, stała się faktycznie rewelacją nie tylko Łodzi, ale i pierwszej ligi. Wprawdzie nic jeszcze nie jest przesądzone, ale nawet trzecie miejsce niedocenianego Widzewa będzie autentycznym sukcesem, o którym różni ludzie wolą milczeć i którego wolą nie dostrzegać. Ich sprawa, chociaż faktom trudno zaprzeczyć.

Kibic mógł sobie w sobotę, 21 maja 1977 roku i następnego dnia, w niedzielę, porównać grę mistrza Polski — bo Śląskowi nikt już tego tytułu nie odbierze — z grą mistrzów Anglii. Piękny mecz rozgrywany na Wembley ani porównywać z meczem Śląska, który był wprawdzie „grą o pietruszkę", ale też rozgrywano go na stojąco. Dziwią więc komentarze sprawozdawców, którzy potrafili w tym meczu dostrzec „wysoki poziom" i „wspaniałą grę". Być może komentatorzy sportowi nie oglądają meczów transmitowanych przez telewizję z innych stadionów, ale skoro nie mają na to czasu, to niech przynajmniej szanują kibica, który widzi to i owo, i umie porównywać.

BOGDA MADEJ

KSIĄŻKI W DRUKU

Wiesław Jażdżyński

przygody źle urodzonego studenta

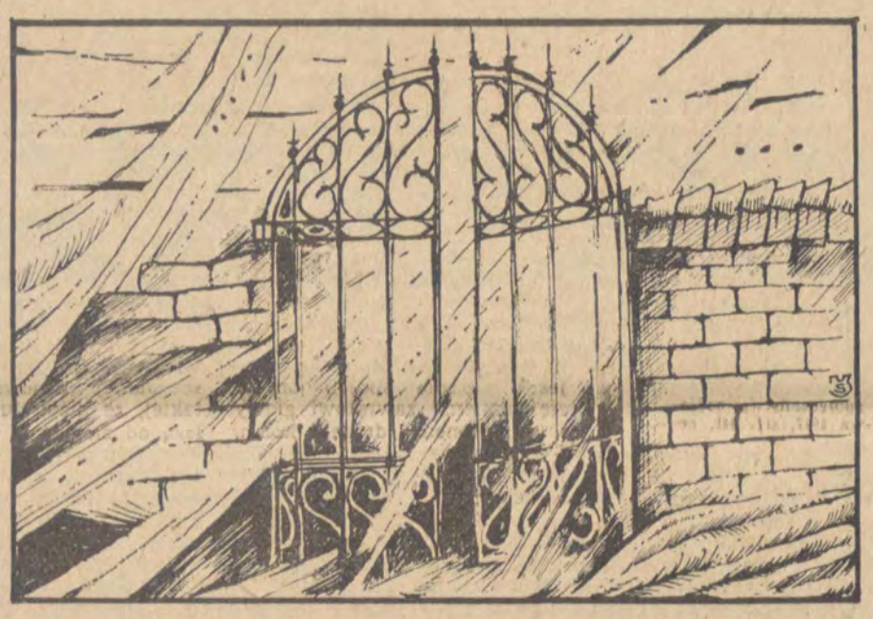

Rys. Janusz Szymański-Glanc

VI.

— Masz silne serce, wujciu, mocno ci bije.

— Jakie tam silne, bije mocno, bo widzi ciebie. Serce ma pamięć i oczy, wiesz?

— Tak ładnie mówisz, a wyjeżdżasz.

— Muszę, ale wrócę do ciebie.

— O czym mi będziesz opowiadał jak wrócisz?

— O dziwnym świecie, w którym nikt nie skłamał.

— Ani razu?

— Ani razu.

— Wiesz wujciu, a ja raz skłamałam.

— Ale już nie skłamiesz, prawda?

— No... może.

Mała jest szczera — myśli Karol — a ja łżę, bo tak mi przypadki mego życia nakazują.

— A co mi przywieziesz z gór?

— Zaczarowany kwiat, który błyszczy w nocy i każdemu kto błądzi pokazuje drogę. Rośnie na samym szczycie i nikt go zerwać nie może prócz człowieka, który najbardziej kocha ze wszystkich.

— Zerwiesz ten kwiat dla mnie?

— Oczywiście, to jasne jak słońce, tylko ja potrafię.

— A dlaczego akurat ty?

— Bo cię kocham najbardziej.

Karol wie, że tym razem mówi prawdę. Będzie tęsknił za małą, zna już uczucie tęsknoty, ale to jest inne, mocniejsze, a przede wszystkim niezastąpione, nie da się wymienić na inne. Tęskni — na przykład — za Elżbietą Zagórzańską. Każdego dnia, pod wieczór, prowadzą długie rozmowy na balkonie. Elżbieta leży na hamaku i patrzy w niebo, Karol siada na niskim foteliku. Najpierw zbliżają się ich słowa, pomagają sobie wzajemnie, uzupełniają się, budują wspólne zdania, potem ręce szukają się nieśmiało, ale cierpliwie, póki się nie złączą. Ciała nie odnalazły się jeszcze, ale to tylko kwestia czasu. Cóż, nie jeden raz prawa natury okazały się silniejsze od boskich i ludzkich. Elżbieta nie jest chyba zwariowana, raczej ekscentryczna, przede wszystkim jednak romantyczna, czeka na coś niezwykłego. I nic dziwnego, jej mąż Krzysztof Zagórzański, już prawie ramol w złotych ramkach, niczego więcej prócz pieniędzy dać jej nie może. W Alpach nigdy nie był, nie wdrapał się pewnie na żadną górkę, z trudem wdrapuje się na piętro po schodach. Ciocia pomyliła go, to już pewne, z Dominikiem Zagórzańskim, który jak bene natus et pozesjonatus istotnie miał zaszczyt odpaść od górskiej granicy alpejskiej, osierocić i zostawić w nieutulonym żalu, a także rozsławić w ten sposób swoje dobre imię.

— O czym tak myślisz, wujciu?

— O podróży, wiesz mała, że nie lubię podróżować?

— Szkoda, że musisz. Przyniosłam ci kwiatów do twojego pokoju. Pa, wujciu.

Wilgotne wargi dziecka na obu policzkach, jeszcze jeden ciepły uścisk i mała biegnie do koleżanek. Milczący dotąd Budzisz, który przysłuchiwał się rozmowie, zapala papierosa i wzdycha.

— Stefek chce z tobą pogadać, studencie.

— Stefek wrócił?

— Sam ci wszystko opowie. Musisz chyba uważać na siebie, studencie.

Co znaczą słowa Budzisza? Ostrzega przed jakimś niebezpieczeństwem? Karol chce zapalić, ale nie wie, jak to zrobić. Budzisz go nie częstuje swoim machorkowym, a camele byłyby chyba nie na miejscu. Sytuację wyjaśnia Stefan, schodzi z pięterka z otwartym pudełkiem papierosów w ręce. Karol przyjmuje poczęstunek, nie palił jeszcze rosyjskich czajek. Trwa milczenie, nikt na nikogo nie patrzy, coś jest wyraźnie nie w porządku.

— Pracujesz, Stefek, normalnie?

— Normalnie. A ty?

— Też normalnie, przygotowuję się właśnie do egzaminów.

— Zdolny jesteś, nałapiesz chyba piątek, co?

— Muszę.

— Dlaczego musisz?

— Tacy jak ja albo są najlepsi, albo wylatują z uczelni. Nie mamy innego wyjścia. Karol próbuje uśmiechnąć się porozumiewawczo.

Budzisz milczy w dalszym ciągu, Stefan przyjmuje słowa Karola z kamienną twarzą — nie odwzajemnia uśmiechu.

— Jak ci było w Bieszczadach?

— Średnio, grochem nie strzelali.

— Wziąłeś przeniesienie?

— U nas nie bierze się przeniesień samemu.

Rozmowa rwie się, nie klei, padają jakieś poboczne zdania, główne jeszcze nie.

— Mieliśmy duży kłopot ze sztandarem — zaczyna znowu Karol, może ten wątek jakoś ich zbliży.

— Skradziono sztandar. Nie słyszałeś?

Karol martwieje, ale tylko na moment.

— Nie słyszałem. Dlaczego akurat ja miałem słyszeć?

Pewnie się zdradziłem — myśli — jakimś gestem, albo słowem, teraz bardzo trudno o niewinne słowa, wszystkie są za, albo przeciw. Stefan patrzy mu teraz w oczy, twardo, ale nie wrogo, nie mówi ani głośniej, ani ciszej, może trochę ostrzej.

— Zaniosłeś sztandar do fabryki, to może już wiesz, gdzie się podział, albo będziesz wiedział?

— Pan Budzisz mnie prosił, żebym zaniósł, to zaniosłem. Inna rzecz, że pomyliłem sekretarzy. Ja nie należę do bliskich znajomych Głuszcza, nie zwierza mi się.

— Racja — przyznaje Stefan — ale może kto inny zwierzył się.

Stefan pyta spokojnie, ale jakoś tak pewnie, jakby wiedział z góry jaka powinna paść odpowiedź, ma wprawę w zadawaniu pytań. Karol rozkłada bezradnie ręce, chce tym asekuracyjnym gestem powiedzieć, że trudno mu w ten sposób prowadzić dalej rozmowę, przecież to jasne, że niczego nie wie i nie słyszał, co go może obchodzić nikomu w końcu niepotrzebny sztandar? Równocześnie jednak walczy z niepokojem, ponieważ nie wie, czego może się domyślać Stefan. A nuż poinformowano go w niewiadomy sposób o rozmowie Karola z prezesem Falansteru pod Zieloną Koniczyną? Prezes chciał mieć koniecznie ten szandar, właśnie ten a nie inny, no i sztandar zniknął. Przypadek, nieprzyjemny zbieg okoliczności?

— Nikt mi się z niczego nie zwierzał. Nie możesz powiedzieć po ludzku, jasno i konkretnie o co ci właściwie chodzi?

— Mogę. Ten sztandar ma dobrą legendę. Głuszcz tego początkowo nie rozumiał, fakt. Teraz już chyba rozumie, ale sztandar zniknął cholera wie w jaki sposób. Cóż, kontrola w fabryce nie za szczelna, żółni ludzie się kręcą i różni pracują. A my nie możemy dopuścić do tego, żeby ten bojowy, proletariacki sztandar niesiono przeciw nam. Nie możemy. Jasne teraz?

— Bardzo jasne. Chcesz mnie użyć do poszukiwań?

— Zgadłeś, jeżeli nie jest już za późno.

— Nie zajmuję się polityką, tylko nauką.

— To ci się tak zdaje.

Do rozmowy wtrąca się Budzisz.

— Daj spokój studentowi, Stefek, niech idzie swoją drogą, byle uczciwą. Jak pójdzie źle to do nas zawróci. Błądzi prawie każdy, ale uczciwy zawraca.

— Masz rację, tato.

Karol pnie się po skrzypiących schodach, po raz ostatni ogląda pokój, w którym znalazł gościnę, nie zawsze spokojne sny, spędził wiele godzin nad książkami. Co rano budził go wesoły szczebiot małej, gramoliła się po starą kołdrę, wkładała rączki pod główkę i słuchała opowieści Karola o dziwnych zdarzeniach, może wierzyła w zmyślone kraje, baśniowe, dobre dzieci, które ożywiały zamarłe serca, odczarowywały ptaki zaklęte w kamienie, uwalniały więźniów, słońce, dobre deszcze, przechodziły głębokie morza i najwyższe góry, by obudzić śpiącego grajka i usłyszeć skrzypki rozweselające cały świat.

Otwiera stare walizki, niewiele ma do zapakowania, wstyd się będzie pokazać u Zagórzańskich z takim dobytkiem. Odrzuca tę myśl z niesmakiem, podsunął mu ją pewnie ten z lewej strony ucha, gówniarz, a cóż to w końcu złego mieć tylko trzy koszule i stare, zapasowe buty. Przeszedł w nich kilkaset kilometrów wzdłuż Czarnej i Wiernej, przekraczał bariery strachu, głodu i sytości, grzązł w piachu, skradał się po elastycznym mchu, wrzosy trzeszczały jesienią pod tymi butami, skrzypiał zimą śnieg, z tych butów wylewał brudną wodę, uwalniał od nich zmęczone stopy. Czegóż się wstydzić?

— To dla pana na drogę. Nim się człowiek gdzie urządzi najpierw musi zjeść.

Budziszowa kładzie na stole zawiniątko, pachnie świeży chleb i kaszanka. Karol całuje jej ręce bez słowa, nie może znaleźć słów, pogubił te najpotrzebniejsze. Odejść stąd ciężko i nowa przygoda ciągnie.

— Niech pan pamięta o małej.

— Pobeczę się chyba, pani Budziszowa.

Ale nie płacze, ponieważ rzeczywiście obudził się leniwy ostatnio podszeptywacz i wykłada mu prosto w ucho swoje racje — wszystko popękało, każdy jest teraz samotny i musi myśleć o sobie, musi szukać, rozumiesz? Musi szukać nowych kontaktów, ty też musisz szukać, to twoje prawo, należy ci się lepsze życie i nie dlatego, że jesteś hrabią z ciocinej łaski, bo nie jesteś, po prostu zasługujesz, ty nie zapomnisz o dobrych ludziach, ty nie, boś porządny, odchodzisz od przyzwoitych, dobrych ludzi i będziesz o tym pamiętał, ale czymże jest życie jeśli stoi w miejscu, życie bez zmian, nowych i ciekawych przeżyć?

— Pan Karol da sobie radę, wiemy o tym, ale z małą różnie może być.

— Pomogę w czym tylko będę mógł.

Siada na krześle spokojniejszy. W końcu cóż? Wszystko na tym świecie kończy się i równocześnie zaczyna, dialektyka ma się rozumieć, coś umiera i coś się rodzi. Karol nie wynalazł obozów dla dzieci, przyjął jednak uczciwie konsekwencje tego strasznego faktu, dał małej co mógł, ale przecież już nie może, musi ją zostawić, aby mógł narodzić się nowy wielki problem, który może rozwiąże do końca, a może nie. Zżył się z Kielcami, tam wyrósł kwiat zroszony jego pierwszymi łzami, a jednak musiał odejść. Umarł w jednym mieście, musi się narodzić w drugim. Także dialektyka. Żył skromnie i spokojnie u Budziszów, nigdy im gościny i serdeczności nie zapomni, czas jednak siadać znowu na konia. Bolesna właściwość dialektyki.

— Z małą może być różnie, panie Karolu, takie mam przeczucie.

— Dlaczego? Rozwija się normalnie, uważa was za rodziców.

— Panu tego nie okazuje, ale ona często jeszcze wraca do obozu, boi się ludzi, zwłaszcza dorosłych, trzeba na nią uważać. A rodzice mogą się odnaleźć.

— Już by się odnaleźli. Ja myślę, że nie żyją. A Anię powinno się pokazać odpowiednim lekarzom.

Karol czuje, że mu dialektyka nie nazbyt dobrze pomaga. Mała powraca do obozu, ucieka przed światem dorosłych ludzi, boi się dużych psów, zwłaszcza wilczurów — przecież wie o tym nie od dziś.

— Przykro to powiedzieć, ja tam nikomu śmierci nie życzę, ale gdyby nam Anię odebrali, nie wiem co byśmy zrobili. Pan ją dobrze wychowywał, a teraz odchodzi. O co poszło, o ten sztandar?

— Ach, nie, naprawdę nie. Zginął gdzieś, ale Stefan go odnajdzie.

— Jakżeśmy go haftowały nie myślałyśmy, że tyle będzie z nim kłopotów. Pechowy jest, panie Karolu. Podczas wojny miał służyć naszym, poginęli, nie wzięli go do rąk. Teraz znów go chcą używać jedni i drudzy, a zginął.

— Nie będzie żadnych kłopotów, zobaczy pani. Głuszcz go cisnął w jakiś kąt, zapomniał gdzie i teraz krzyczy, że mu ukradli wrogowie. Głuszcz musi mieć wrogów, inaczej rozchoruje się ciężko.

— Może. Znalazł pan dobre mieszkanie?

— Tak.

— Lepsze niż u robotników, co? Z łazienką pewnie i ubikacją. Pan powinien mieć lepsze warunki, a nie za drogie to mieszkanie?

— Nie wiem jeszcze.

— Jakby za drogie, to proszę do nas, miejsca dużo, dorobimy się pomału, a Ania będzie szczęśliwa.

Karol przeklina w duchu dialektykę, zimną logikę życia, swoje słabości także, uległ im przecież, wybrał luksusową przygodę.

— Dziękuję za wszystko, wiem, że przygarnęliście mnie jak syna, ale nikt nie chce być ciężarem, nie zarabiam jeszcze.

— Pan pomaga, a to więcej warte od pieniądza. Co pan dzisiaj kupi za te grosze?

Karol zamyka drugą walizkę niepewny swoich decyzji, znowu niepewny, no ale ten spod lewego ucha tym razem nie śpi, tyle tylko, że wygląda na spokojnego i obiektywnego doradcę — porzucasz Karolu Żesławski prosty, gościnny dom Budziszów i dziewczynkę, która cię kocha, a ty ją, prawda? Szczera prawda. Rozważmy jednak całą sprawę raz jeszcze — jeżeli zaistniała konieczność tej trudnej dla ciebie przeprowadzki, powtarzam: jeżeli istniała, to już nie istnieje. Wystarczy ci, Karolu, powiedzieć Stefanowi prawdę, nic więcej tylko prawdę, to znaczy podsunąć mu konkretny trop, przecież wiesz, że prezes Falansteru pod Zieloną Koniczyną chciał mieć ten właśnie sztandar. Po co mu ten sztandar? Domyślasz się bez trudu, walka polityczna trwa, każda ze stron chce działać pod dobrym sztandarem, ale to nie twoja sprawa. Tak możesz uczynić, ale czy to będzie w porządku? Postawmy odpowiedniejsze pytanie — czy to cię zadowoli? Skończą się przecież te niezapomniane, intymne sceny balkonowe, przerywane najwymowniejszą ciszą. Nie chcesz tego. Mniejsza o miękki tapczan, łazienkę i zgoła nie studencki wikt, umiesz już żyć i w ciężkich warunkach, odłóżmy na bok i przyszłe sukcesy w miłości. Jeżeli zostaniesz tu, Karolu, przestaną działać mocno tajemnicze, to prawda, ale silne wpływy prezesa Falansteru, no a wtedy pojawią się znowu Lapasjonaria i Król Fideistów, pojawią się jak amen w pacierzu i ponowią swoje propozycje, których ty przyjąć nie chcesz. Cóż zrobisz wtedy? A zdania to ty, Karolku, tak łatwo nie zmieniasz, przynajmniej w sprawach zasadniczych. Więc będziesz musiał rzeczywiście pomyśleć o hodowli norek, bo starostą to cię nie zrobią, a ty badylarzem być nie chcesz w gruncie rzeczy ani człowiekiem, którego świat mieści się w uchu. Wiem co mi na to odpowiesz. Odpowiesz, że opieka Stefana w zupełności ci wystarczy. Zgoda, wystarczy, ale czy to będzie opieka tak całkiem bezinteresowna. Jeżeli — jak sam powiadasz — człowiek jest dzieckiem okoliczności, niechże mu będzie wolno wybierać najkorzystniejsze. Nikt ci tego prawa zabrać nie może. Wybieraj.

(cdn.)

ZIEMIA

Między zwolennikami jak najdokładniejszego poznania Ziemi i tymi, którzy uważają, że najpilniejszą potrzebą jest zbadanie Układu Słonecznego, trwa nieustanny spór. I choć, za pierwszymi przemawia fakt, że przecież nasz glob nie jest jeszcze zbadany do końca i kryje w sobie wciąż nierozwiązane zagadki, za drugimi zaś fakt, że Ziemia to zaledwie nikły pyłek zagubiony we Wszechświecie, który jest znacznie ciekawszy niż wszystkie nasze ziemskie problemy, to jednak warto poznać i nauczyć się dokładniej tego, co jest nam bliższe. Tego, co nas bezpośrednio otacza. Można tu zastosować również bardzo uproszczoną analogię: nie znając własnego kraju, chcemy poznawać coraz inne, nowe. Czy nasze doświadczenie, wyobraźnia, wreszcie to, co najważniejsze — wiedza będzie po temu wystarczająca?

Nie chcemy jednoznacznie odpowiadać na postawione tu pytania. Natomiast gorąco polecamy uwadze Czytelników interesujący tom pt. „Ziemia", który ukazał się nakładem „Wiedzy Powszechnej". Książka ta ma charakter popularnego kompendium wiedzy o Ziemi. Autorami poszczególnych rozdziałów są wybitni specjaliści, a wiele ilustracji i obszerne skorowidze nadają tej publikacji charakter podręcznej encyklopedii.

„Ziemia" ukazała się w serii, z której dotychczas otrzymaliśmy następujące tytuły: „Astronomia popularna", „Biologia XX wieku", „Człowiek", „Człowiek wśród ludzi", „Księga pierwiastków" i „Matematyka popularna".

Zachęcamy do lektury przede wszystkim dlatego, że nigdy dość wiedzy o planecie, na której żyjemy, na której zbudowano nasz dom.

„Ziemia" — praca zbiorowa pod redakcją K. Maślankiewicza, W-wa 1977, str. 774, cena zł 180.—

PROBLEMY IDEOLOGICZNE

W serii „Ideologia a współczesność", której patronuje wydawnictwo Książka i Wiedza, ukazała się książka pod redakcją Henryka Białyszewskiego „Teoretyczne problemy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego".

We wstępie do książki czytamy m. in.: „Wkroczenie większości państw socjalistycznych, w tym także Polski, w nowy etap rozwoju, etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, implikuje szereg problemów natury teoretycznej i praktycznej. (...) Myśl teoretyczna, odwołująca się do dzieł klasyków marksizmu i szukająca w nich inspiracji a równocześnie twórczo uogólniająca bogate i różnorodne doświadczenia partii komunistycznych, odgrywa w procesie budowy tego społeczeństwa szczególną rolę. Stąd też sformułowana ostatnio przez partie komunistyczne europejskich krajów socjalistycznych koncepcja budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego w tych krajach stawia marksistowskich teoretyków w obliczu nowych, poważnych zadań. Chodzi tutaj o takie rozwinięcie i sprecyzowanie niektórych tez i kategorii analitycznych marksistowskich teorii, żeby nie tylko prawidłowo odzwierciedlały coraz bardziej złożone procesy społeczno-ekonomiczne, kulturalne i polityczno-ideologiczne towarzyszące budowie nowoczesnych, socjalistycznych społeczeństw, ale żeby równocześnie precyzowały w miarę dokładnie i konkretnie wizję nowej fazy w rozwoju formacji komunistycznej, jaką jest rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne".

W omawianej książce wykorzystano referaty wygłoszone na konferencji zorganizowanej przez Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR i Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC PZPR w grudniu 1975.

Referaty te mają charakter teoretyczny. Mogą służyć pomocą wszystkim praktykom i działaczom społecznym. Powinny zainteresować wszakże i tych czytelników, którym nieobca jest problematyka społeczna i ideologiczna. Wszystkich, których interesują perspektywy rozwoju naszego społeczeństwa.

„Teoretyczne problemy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego" — „Książka i Wiedza", W-wa 1977, str. 341, cena zł 50.—

MITOLOGIA JAPONII

„Laicyzacja w Japonii czyni duże postępy, ale przecież nie nadąża za gwałtownym rozwojem techniki. Supernowoczesność koegzystuje z mitologią i przesądem. Dzieci, które coraz częściej rozwiązują zadania arytmetyczne za pomocą kieszonkowych kalkulatorów, ciągle wierzą w duchy i boją się tengu. Ich ojcowie pracujący przy reaktorach atomowych malują darumie oko, kiedy chcą uzyskać awans. Ich matki kupują talizmany w chramie Tenjina, żeby pociechom dobrze się wiodło w szkole. Od domu do domu krążą apostołowie nowych sekt i jeżeli uda im się wedrzeć do środka, opowiadają o drogach zbawienia w oparciu o starych i nowych bogów w Japonii. Dysponują zazwyczaj bogatą ilustrowaną literaturą przedmiotu. Jedni namawiają do wstawania przed brzaskiem, rozpoczynania dnia od złożenia hołdu słońcu — Amaterasu. Wyznawcy tej metody zbawienia zgrupowani są w sekcie Asaokirukyokai (Kościół Porannego Wstawania). Inni proponują uzyskanie szczęścia wiekuistego za pomocą terapii śmiechu. Zgodnie z ich wskazaniami rano należy stanąć przed kamidaną (półką bogów) i klasnąwszy w ręce wydobyć z siebie wybuch śmiechu. Potem w ciągu dnia trzeba od czasu do czasu przerywać pracę i dla relaksu trochę się pośmiać. Nazywa się to sekta Warai-shukyo (Religia Śmiechu), jej członkowie w czasie zebrań oddają się wyłącznie orgii śmiechu, co podobno oczyszcza umysł i zapewnia zdrowie oraz zbawienie".

Tak pisze w swojej książce „Mitologia Japonii" Jolanta Tubielewicz. Lekarze dawno już wypowiedzieli się na temat bardzo pozytywnego wpływu śmiechu na naszą psychikę, o wczesnym wstawaniu mamy również nasze polskie przysłowie. Trudno więc odmówić Japończykom racjonalnego podejścia, jakie w wielu wypadkach przyświeca ich religijnym praktykom. I tym bardziej warto zapoznać się z ich mitologią, tak jak każdą, kształtowaną przez wieki, niezupełnie wolną wprawdzie od wpływów kultur innych narodów, ale w większości oryginalną, nasyconą wyobraźnią i tradycyjną odrębnością.

Książka ukazała się w serii WAIF „Mitologie świata".

Jolanta Tubielewicz — „Mitologia Japonii", Wyd. Artystyczne i Filmowe, W-wa 1977, str. 281, cena zł 45.—

OD ATEN DO MONTREALU

Faktu, że XXI Igrzyska Olimpijskie w Montrealu zamknęły osiemdziesięcioletnią historię współczesnego sportu olimpijskiego, znającemu się na rzeczy kibicowi nie potrzeba chyba przypominać. Wytrawny kibic wyliczy bez większych trudności, gdzie i kiedy odbyły się kolejne igrzyska nowożytne, wyliczy udział Polski, będzie znał nazwiska najbardziej sławnych triumfatorów poszczególnych dyscyplin. I do tych właśnie kibiców, choć nie tylko, bo nie można zapominać o ludziach stykających się ze sportem w swojej codziennej pracy, adresowana jest książka „Od Aten do Montrealu", której autorami są — Wiesław Osterloff i Włodzimierz Żróbik. Książka ukazała się w serii „Biblioteczki Olimpijskiej" wydawnictwa „Sport i Turystyka". „Wyniki Letnich Igrzysk Olimpijskich 1896—1976" — podtytuł publikacji wiele wyjaśnia. Wiadomo już że znajdziemy tu tabelki, statystyczne zestawienia, wyniki osiągane przez kolejnych mistrzów olimpijskich. A także krociutką historię pozszczególnych dyscyplin sportowych, które w różnym czasie włączane były do programu Igrzysk Olimpijskich. Oczywiście można się na tę książkę skrzywić, bo cóż to za lektura — studiowanie wyników. Są jednak ludzie, dla których jedną z najciekawszych lektur stanowi rocznik statystyczny. Z całą pewnością wśród kibiców są i tacy, którzy będą się pasjonować statystyką sportową. W końcu przecież tego typu zestawienia chyba najlepiej mówią o rozwoju sportu, o coraz większych możliwościach człowieka walczącego nie tylko z odległością, czasem i z punktami, ale przede wszystkim z możliwościami własnego organizmu. Pytanie, gdzie jest kres sportowych rekordów człowieka osiąganych w różnych dyscyplinach to już zupełnie inny problem.

W. Osterloff, W. Żróbik — „Od Aten do Montrealu", Wydawnictwo „Sport i Turystyka" W-wa 1977, str. 291, cena zł 56.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

TAJEMNICA DWORKU W ZEGRZYNKU

Kim jest **Jerzy Szaniawski** dla polskiej kultury — nie trzeba nikomu przypominać. Piszę „jest", choć od śmierci wybitnego pisarza minęło siedem lat. Otóż niedawno Telewizja nadała reportaż pt. „Jerzy Milczący", reportaż z dramatycznym zakończeniem.

Oto zobaczyliśmy na śmietniku obok dworku w Zegrzynku pogniłe i popalone strzępy rękopisów **Jerzego Szaniawskiego**. Oto niszczony (świadomie czy nieświadomie) cenny dorobek twórczej myśli wybitnego pisarza.

Niedawno przeczytałem w **„Kulturze"** w reportażu **Ewy Berberyusz** zdanie, że **„szalona żona niszczy dorobek swego wielkiego męża"**. Tam również padła nazwa — Zegrzynek.

Zegrzynek, gdzie mieszka szalona lub niepoczytalna wdowa po pisarzu, leży blisko Warszawy. Blisko **Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich**, blisko **Ministerstwa Kultury i Sztuki**. I mimo tej bliskości, spokojnie, na oczach wszystkich, butwieje i przepada dorobek twórczy jednego z największych dramatopisarzy współczesnych. Co się kryje za tym, że nikt dotąd nie zaprotestował głośno przeciwko temu skandalowi? Że tylko przebąkuje się półgębkiem o niszczeniu spuścizny po Szaniawskim? Nie wiem.

Jeszcze za życia pisarza **Juliusz Kydryński** zanotował wyznanie Szaniawskiego, że **„razem ze wszystkimi pracami już ogłoszonymi jest utworów siedemdziesiąt siedem"**. Jeśli przypomnimy, że ogłoszonych drukiem utworów Szaniawskiego możemy się doliczyć około trzydziestu, pozostało w rękopisach ponad czterdzieści utworów.

Czy pozostało? Ile z nich zbutwiało, spłonęło, ile wyrzucono na śmietnik?

Krystyna Nastulanka, autorka książki o Jerzym Szaniawskim, wydanej cztery lata temu, napisała: **„Wiele spraw dotyczących zarówno spuścizny literackiej, jak i całej pozostałej po nim schedy domaga się lub czeka wyjaśnienia. Rozstrzygnięcie przyniesie skomplikowany proces spadkowy. Po śmierci pisarza pozostał niszczejący dworek i niezabezpieczone rękopisy. W okresie długotrwałej choroby Szaniawskiego splądrowano dom. Wiele przedmiotów poginęło, przestała istnieć biblioteka. Jeden z krewnych pisarza, który pojechał do Zegrzynka bezpośrednio po pogrzebie, opowiadał, że podłogi zaścielała gruba warstwa papierów — gazet, listów, strzępów książek (...) Najważniejsza jest sprawa rękopisów. Ich uporządkowania i wydania"**.

Słowa te napisano przed paroma laty. Dziś już są zapewnie nieaktualne.

Dziś można by raczej zapytać, kto ponosi odpowiedzialność za ten skandal. Ministerstwo, Związek Literatów, władze sądowe, które nie zabezpieczyły spuścizny po pisarzu przed zakończeniem postępowania spadkowego? Nie wiem

Wiadomo tylko, że już w chwili śmierci Szaniawskiego istniała obawa, że nie opublikowany dorobek pisarski może ulec zniszczeniu. Obawy te formułuje także Nastulanka w swojej książce o Szaniawskim. To, co zobaczyliśmy niedawno na ekranie telewizorów, świadczy, że były to słuszne obawy.

Nie wiadomo, co dziś jest jeszcze do uratowania — może niewiele, a może zgoła nic. Od śmierci Jerzego Szaniawskiego minęło wszak siedem lat.

Ale wciąż jest dla mnie zagadką, dlaczego tak się stało, dlaczego wszyscy powołani do ochrony dóbr kultury patrzyli spokojnie, jak butwieje wyrzucany na śmietnik dorobek twórczy wybitnego pisarza? Dlaczego dworek w Zegrzynku otacza wciąż tajemnica strzeżona przez sforę psów?

Odpowiedź na te pytania powinna paść jak najszybciej. Z Zegrzynka do Warszawy naprawdę jest przecież bardzo blisko.

WIDOK

LEWYM OKIEM

ALTERNATYWA

W artykule Pawła Kwiatkowskiego, o Szwecji, zamieszczonym niedawno w „Literaturze", znalazłem zdanie, warte chyba pewnego zastanowienia. Jeżeli to zdanie jest w całej rozciągłości słuszne, bo całkiem niesłuszne na pewno nie jest — to nie sposób oprzeć się lekkiemu zawrotowi głowy i przerażonemu drżeniu kolan. Słowa, użyte przecież nie w pryncypialnych rozważaniach nad naturą ludzką, tylko raczej na marginesie sprawozdania z kraju największej w tej chwili prosperity — Szwecji, brzmią tak:

„Samowystarczalność „ekonomiczna" okazała się synonimem samotności. Brak bezpośrednich spontanicznych kontaktów między ludźmi stał się jedną z podstawowych skaz na wspaniałym ciele przyszłościowego społeczeństwa".

Ujęcie słowa „ekonomiczna" w cudzysłowy powtarzam lojalnie za autorem, chociaż cudzysłowów tych nie rozumiem i w kontekście zdań poprzednich nie domyślam się ich znaczenia. Rozumiem zwyczajnie: „samowystarczalność ekonomiczna stała się synonimem samotności".

To lapidarne stwierdzenie aż się ugina od nader ciężkiej treści. Jakiej mianowicie? Ano — takiej, że kiedy ludzie nie zależą od siebie, od bardzo konkretnych osób, jeżeli nie muszą bardzo liczyć się z każdym słowem i uczynkiem ze strachu, że stracą chleb, mieszkanie, zarobki, majątek — to wreszcie przestają się w ogóle liczyć z ludźmi, stają się swoim własnym niezależnym światem, swoim „egocentrum" — a stąd już kroczek do samotności. Dumnej, niezależnej, dysponującej sobą — bo taka jest zawsze samotność. Można być w samotności cesarzem czterech metrów kwadratowych szopy po węglu, można zdechnąć niezauważonym przez nikogo na złocistym łożu, w zaczarowanym pałacu.

„Rozbudowany system opieki społecznej, zarówno materialnej, jak i organizacyjnej, skutecznie przecina niechciane więzy międzyludzkie, względna łatwość życia prowadzi do daleko posuniętej samowystarczalności większej części społeczeństwa".

Przez opiekę społeczną do samowystarczalności, która jest synonimem samotności. Żona nie pracująca, zależna całkowicie od męża, pozostawała z nim w niechcianym związku, często zresztą niechcianym już przez obie strony. Niekiedy obie strony, nie zrywając niechcianej, ale koniecznej z ekonomicznych powodów więzi, nawiązywały związki chciane gdzieś na boku, konspiracyjnie. Tak toczył się światek przez kilkanaście stuleci; każdy śmiertelnik uwikłany był w tysiące związków, jawnych i niejawnych, chcianych i nieuniknionych; jedne dawały mu obronę, miejsce przy ognisku, dach nad głową, inne satysfakcję, uznanie, przyjemność lub szczęście. Teraz można pozrywać wszystko bez ryzyka finansowego, bytowego — w najgorszym razie załatwi sprawę... system opieki społecznej. Ze wszystkich rodzajów przymusu najsilniejszy jest przymus ekonomiczny. Gdy go nie ma — lada pokusa staje się realna i aż korci, żeby się jej poddać. Zerwać więzy jedne, potem drugie, reszta zwiędnie i opadnie sama.

„Wspólnotę określała niezwykle ciężka, wręcz heroiczna praca, potrzeba pełnego podporządkowania się interesom ogółu jako niezbędny warunek przetrwania".

A więc jeszcze dobitniej: chcecie wspólnoty — pracujcie niezwykle ciężko, wręcz heroicznie; chcecie, osobistej, prawdziwej niezależności ekonomicznej — proszę bardzo, ale będziecie samotni. Kapitalna alternatywa. Jeszcze jedna, jaką przyniósł nam nieoczekiwanie czas wielkich przemian. I teraz co? Stawiać na heroizm? Czy uwierzyć, że moje malutkie ale własne szczęście jest jednak ważniejsze, chociaż z jego rewersu spogląda na nas groźne oblicze Wielkiej Alienacji?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

SAMOCHÓD W MIEŚCIE

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że pogoda nie zawsze zgadza się z tym, co wskazuje kalendarz, marzniemy więc z godnością i z nadzieją, że już może jutro, może pojutrze, albo za cztery dni znów powróci ciepło i jakiś wyż czy niż nagna nad nasz zziębnięty lud gorące powietrze znad afrykańskich pustyń czy azjatyckich stepów. Jeszcze parę tygodni i nadejdzie kalendarzowe lato.

Wiosna, nawet ta chłodna, nie powstrzymała inwazji zmotoryzowanej części społeczeństwa. Pozdejmowano samochody z kołków, uruchomiono motocykle. Niech tylko słońce przygrzeje i napłynie fala ciepłego powietrza, a ruszą w Polskę sznury samochodów i pojazdów jednośladowych, zwanych popularnie motocyklami. Rozryczą się silniki niedzielnymi rankami, wyrywając ze snu tych wszystkich, którzy w niedzielę postanowili odespać wszelkie zaległości. Popłynie nad miasto fala spalin.

Specjaliści twierdzą, że jeśli w samochodach, motocyklach, ciągnikach spali się tonę benzyny, to połowa z tego dostaje się do atmosfery. W dużych miastach spala się rocznie więcej niż 300 tysięcy ton benzyny, a połowa z tego pozostaje w atmosferze. Nie jest to mało. W Warszawie na przykład samochody i motocykle mają 75 procent udziału w zanieczyszczaniu atmosfery. W Łodzi można sądzić, że jest podobnie. Na pocieszenie mogę dodać, że jesteśmy na szczęście daleko w tyle za Londynem, Tokio, Los Angeles i innymi wielkimi miastami. Pocieszenie to wprawdzie małe, jako że u nas motoryzacja rozwija się szybko i mamy wszelkie szanse, aby dogonić „przodujących".

Nie mam zamiaru wszelako lamentować, ani nawoływać do zamiany samochodu na rower czy konia. Z końmi też sprawa nie byłaby taka łatwa, bo trzeba byłoby je wykarmić, a wiadomo, że z paszami również mamy kłopot. Wspominam o tym z zupełnie innego powodu. Popatrzyłem kiedyś na parkingi i osiedlowe ulice. Czego tam nie ma. Udało mi się spotkać parkujące przed blokami autokary, wielkie samochody ciężarowe międzynarodowej komunikacji, kontenery, a nawet koparki i dźwigi na samochodach. Pamiętam, jak mnie kiedyś przekonywali projektanci, że w nowych osiedlach parkingi będą lokalizowane na obrzeżach, tak aby samochody i motocykle nie zakłócały spokoju mieszkańcom, aby spaliny nie wpadały do mieszkań zamiast świeżego powietrza. Tylko, że z tego zamiaru w praktyce mało pozostało.

Nic nie wskazuje na to, abyśmy mieli budować w Łodzi wielopoziomowe parkingi i garaże. Chwalimy często budowlanych i słusznie to robimy, jeśli na to zasługują, ale praktyka pokazuje, że nastawieni oni są na najprostsze prace, głównie montaż wielkiej płyty, a wszelkie bardziej skomplikowane, nietypowe budowy nie bardzo im wychodzą i trwają dłużej niż to przewidywano w najśmielszych marzeniach. A budowa wielopoziomowych parkingów i garaży nie należy do najłatwiejszych.

Wiadomo również, że nie można budować multum garaży typu pakamera czy budka z drewna, gdyż nie ma dla nich miejsca. Potrzebne ono jest pod pawilony handlowe, pod nowe bloki, pod szkoły i żłobki. I to jest rozsądne. Pozostaje zatem dla zwiększającej się liczby zmotoryzowanych parkowanie pod chmurką, co sprowadza się w konsekwencji do parkowania pod własnym oknem, aby można było wyjrzeć o każdej porze dnia i nocy i sprawdzić, czy amatorzy łatwych zarobków nie wymontowują reflektorów albo czego innego. Racjonalnym rozwiązaniem byłaby więc konsekwentna realizacja idei budowania parkingów na obrzeżach osiedli, w przyzwoitej odległości od bloków. I gdyby jeszcze takie parkingi miały dach na palikach i gdyby były strzeżone, aby właściciele pojazdów mogli spać spokojnie. Ale to są być może dalekie marzenia, choć wydają mi się zupełnie realne.

Na ulicy Piotrkowskiej od czasu do czasu milicja czy ORMO poucza pieszych, aby nie chodzili pojezdni i ma rację. W zderzeniu pieszego z samochodem zawsze ofiarą będzie pieszy. W osiedlach natomiast panuje niczym nie zmącona koegzystencja pieszych i zmotoryzowanych. Osiedlowe ulice nie mają podziału na miejsca do parkowania, do jazdy i dla ruchu pieszego. Tutaj dzieci bawią się na osiedlowej ulicy, jeżdżą na rowerach, na wrotkach, tutaj parkuje się samochody, wyjeżdża i przyjeżdża. Galimatiast jest zupełny. Kierowcy wprawdzie są bardzo uważni, jadą powoli, ale w każdej chwili jakiś rozpędzony bobas może wpaść pod samochód.

Na Chojnach, w osiedlu za ulicą W. Broniewskiego widziałem nawet ulice, przy których kiedyś był chodnik, a które całkowicie zostały zalane asfaltem, tak że piesi muszą teraz lawirować między pojazdami, a pojazdy między pieszymi. Nie wiem, jaki jest powód zamieniania wszelkich szlaków komunikacyjnych dla pieszych na szlaki komunikacyjne dla zmotoryzowanych. Bywając na różnych osiedlach, widzę jednak jak samochód wypiera pieszego, zajmuje miejsce, w którym mogłyby bawić się dzieci. A samochodów będzie coraz więcej.

Być może jeszcze w tym roku wejdzie w życie regulamin Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ, który ustali normy zanieczyszczania powietrza przez samochody i motocykle. Ocenia się, że obecnie tylko 30 procent pojazdów ma silniki działające zgodnie z tymi normami. Resztę trzeba będzie podregulować odpowiednio. Nie rozwiąże to jednak spraw hałasu w osiedlach, nie rozwiąże niebezpieczeństwa, jakie wynika z zupełną dowolnością parkowania samochodów, wedle zasady gdzie komu wygodniej. Czy na uporządkowanie tej sprawy też musimy czekać na pomoc ONZ?

MARCIN RODAK

magazyn

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

GENEZIS

Po wielu życiowych perypetiach, postanowiłem zostać młodym poetą. Co prawda, metryka wykluczała raczej użycie przymiotnika „młody" ale kto by się w końcu tym przejmował: mam znajomych, wyłysiałych ramoli, od 25 lat nazywających siebie „młodymi poetami". Dlaczego ja miałem być gorszy? Sprawa nomenklatury była już więc załatwiona. A w innych zawodach szans raczej nie miałem: czy słyszał ktoś np. o młodych zootechnikach, młodych hydraulikach, młodych prokuratorach?

Chyba nie. Wszyscy są po prostu zootechnikami, hydraulikami, prokuratorami. Faustowski patent na młodość mają jedynie poeci, dlaczego więc nie sięgnąć po tajemniczy eliksir nieśmiertelności?

Następny punkt to sztafaż, oprawa klejnotu za jaki postanowiłem uchodzić. A więc oczywiście włosy do ramion, broda, wąsy. Na tej operacji zaoszczędziłem już pewną sumę (fryzjer!), początek wydał się zupełnie zachęcający.

Na tzw. tandecie nabyłem wyleniałe wranglery, włłoczyłem grzbiet w złupieżały sweter i zacząłem pilnie czytać prasę. Perspektywy były oszałamiające: „Dni poezji w Legnicy", „Białostocki Festiwal Muzyki i Poezji", „Kłodzka wiosna poetycka", „Łódzkie święto poezji", „Świdwińskie wieczory przy świecach", „Gdański turniej o czerwoną różę", „Dni poezji w Rybniku', „Nagroda złotej peleryny", „Konfrontacje sochaczewskie", „Suwalski sympozjon srebrnej liry" — wybór wręcz królewski. Zacząłem odtąd używać życia: wystartowałem w Legnicy (jarzębiak), zwiedziłem Białystok (soplica), zaliczyłem Kłodzko (czysta wyborowa), odetchnąłem gęstym powietrzem pracowitej Łodzi (winiak), zachwyciłem się starym zamczyskiem w Świdwinie (żubrówka), pozdrowiłem morze w Gdańsku (żytniak), przyjrzałem się ciężkiej pracy naszych górników (przepalanka), poznałem surowe piękno polskiej prowincji w Sochaczewie (jabcok), wreszcie zachłysnąłem się aromatem suwalskich borów (woda brzozowa).

To już było coś. Zaproszenia sypały się jak z rękawa, ściskałem ciągle dłonie różnych dostojników, zaczęła mnie interesować zagranica. Arsenał wypowiedzi wzbogaciłem o szereg terminów, bez których trudno sobie wyobrazić egzystencję młodego poety: znalazł się więc w nim Levi-Strauss, strukturalizm, Huizinga, Kierkegaard, Joyce, szum informacyjny, behawioryzm, sensualizm i swobodny potok świadomości.

Godziwą egzystencję zapewniały mi liczne wieczory autorskie, nagrody i subwencje rad narodowych. Ścianę mego skromnego pokoiku pokryły kolorowe dyplomy, pierścienie, lampki górnicze, peleryny i wawrzyny. Pełnia życia!

Nastąpił jednak moment nie przewidziany: wydawnictwo „Przełom" zwróciło się do mnie z propozycją wydania zbioru wierszy.

Jako żywo, tego się nie spodziewałem, ponieważ program mój pisania wierszy w ogóle nie przewidywał: teczka z napisem „Dzieła zebrane" była niepokojąco pusta, a nosiłem ją li tylko w celach reprezentacyjnych. Należało jednak wybrnąć jakoś z tej opresji, wydawca nalegał o przedstawienie choćby kilku utworów na próbę.

Siedziałem zasępiony w restauracji „Złoty Jeleń", dopijając pienistego fulla, kiedy wzrok mój padł na jadłospis, oprawiony w safianową skórkę. Skojarzenie z „Dziełami zebranymi" było już odruchem automatycznym. Na ozdobnej serwetce zacząłem pisać pierwszy wiersz w swym życiu:

zupa grochowa
dwa pięćdziesiąt
rosół z makaronem
cztery złote
bulion
z
paluszkiem
dwa
kotlet panierowany
osiemnaście
stek
dwadzieścia
flaki
osiem trzydzieści
na żądanie konsumenta
podajemy dodatki
książka życzeń
i zażaleń
w bufecie
szef kuchni
Rypała Franciszek
życzymy smacznego

Utwór zatytułowałem „Genezis" i wysłałem na „Turniej Jednego Wiersza" w Wadowicach, przedstawiwszy go uprzednio wydawcy.

Otrzymałem oczywiście pierwszą nagrodę, za uzyskane honorarium założyłem w domu bufet z książką zażaleń. Komu to się wszystko nie podoba, może się do niej wpisać.

JESTEM SATYRYKIEM

„Satyra, utwór literacki, zjadliwie ośmieszający i piętnujący wady ludzkie, zjawiska życia społeczno-politycznego i obyczajowego..." (Leksykon PWN).

Z leksykonu zatem niewiele się dowiemy, nie ma w nim nawet hasła „satyryk", choć logicznie wynika, że jest to facet zajmujący się właśnie satyrą. Jestem więc satyrykiem i chcąc nie chcąc idę z tym balastem przez życie. A życie to nie zawsze różami jest usłane. Wielu ludzi utożsamia, niestety, satyryka z kawalarzem, z duszą towarzystwa FWP „Stokrotka", panem Kaziem. Pan Kazio, jak wiadomo, sypie kawałami, jak z rękawa. Tego samego oczekują więc czasem ode mnie.

— Powiedz pan coś do śmiechu — namawiają mnie niekiedy w czasie przyjęcia. I niewiele brakuje, żeby zaczęli mnie zachęcać do gryzienia kieliszków.

Oświadczam więc autorytatywnie, że żadnych kawałów nie znam, nie zapisuję ich do specjalnego zeszyciku, a jeśli ich już słucham, to tylko z wrodzonej uprzejmości.

Grozę i panikę wzbudza we mnie typ, którego nie znam ani z imienia, ani z nazwiska. Typ zna jednak mnie, wali mnie więc pięścią w plecy na rogu ulicy, rechocze jak goryl i zadaje zawsze to samo pytanie:

— I co, Włodziu, jaką fraszkę ostatnio napisałeś?

Typ pamięta dobrze, że kiedyś rzeczywiście pisywałem sporo fraszek, to mu utkwiło w mózgownicy, więc obsesyjnie powraca do tego pytania. Typ oczywiście nie wie, że prócz fraszek pisywałem i pisuję wiersze, humoreski, felietony, artykuły, a nawet rozprawę naukową na temat chemicznej technologii drewna.

Przestępuję z nogi na nogę i nie wiem jak wybrnąć z sytuacji.

— No, wiesz — tykam go też bezceremonialnie — ja nie pamiętam tego, co napisałem, nawet ostatnio.

Typ nie daje jednak za wygraną.

— Z ciebie to był zawsze kawalarz — powiada — ty tylko tak udajesz, ale ja się nie dam na to nabrać. — Zerkam rozpaczliwie na zegarek, minął już kwadrans, idiotyczna rozmowa trwa.

A co słychać u Karola? — zagaduje mnie znienacka typ. Czuję jak oblewa mnie pot.

— Wszystko w porządku! — kłamię bezczelnie, choć Karol może już od dawna leży na cmentarzu.

— A Joasia? — kontynuuje niewzruszenie mój prześladowca.

— Tak sobie pomaleńku! — brnę już zupełnie beznadziejnie.

— Muszę do ciebie wpaść i odpisać twoje fraszki — powiada nagle typ i prosi mnie o numer telefonu. Recytuję go jak automat.

— To zadzwoń do mnie przy okazji — mówię i czuję, że dam mu za chwilę w mordę.

— Ty do mnie zadzwoń najpierw! — uprzedza mój zamiar i dodaje numer ten sam, co przedtem, zmienił się tylko wewnętrzny: nie jest już 28, lecz 31.

Obiecuję, że zadzwonię, ściskam mu konwulsyjnie rękę i uciekam na drugą stronę ulicy. Typ odchodzi rozpromieniony.

Wracam do domu, ale i tu nie znajduję spokoju. Na biurku dzwoni niepokojąco telefon.

— Czy to pan Scisłowski? — dźwięczy miły kobiecy głosik.

— Ja dzwonię z Poznańskiego Przedsiębiorstwa Produkcji Szpulek. Nasza zasłużona placówka obchodzi właśnie dwudziestolecie swego istnienia i z tej okazji ośmielamy się zwrócić do pana z prośbą o napisanie jubileuszowego wierszyka...

Tężeję w sobie i odpowiadam:

— Kiedy ja się nie znam na szpulkach, żadnych szpulkach, proszę pani!

— Prześlemy panu konspekt, oprowadzimy po zakładzie! — ona na to i czeka na moją decyzję.

Jestem jednak twardy jak szpulka z hebanowego drewna.

— W najbliższym czasie wyjeżdżam na Florydę! — replikuję podstępnie i pani ze szpulek wreszcie się odczepia.

Niebezpieczną kategorię stanowią na koniec osobnicy zamierzający założyć nowy kabaret.

Przychodzi taki pan i roztacza przede mną oszałamiające wręcz perspektywy, a to: telewizja, tournee po Górnej Wolcie i Kazimierzu Dolnym, „Pagart", na koniec Cocatrix i sala „Olimpii" w Paryżu. Ma już oczywiście wszystko załatwione: lokal, wykonawców, afisze, reflektory, brakuje tylko, drobiazg, tekstów. Ten drobiazg mam dostarczyć właśnie ja.

Staram się go najpierw spławić nader kulturalnie, pragnąc się wymigać brakiem czasu i pilnymi zamówieniami. Kabareciarz jest jednak nieugięty.

— Tylko pana widzimy w tej imprezie — powiada i atakuje dalej.

Zmuszony wreszcie do tego, zadaję nietaktowne pytanie o honorarium. Pan Kabareciarz w tym momencie gubi język za zębami.

— No, wie pan, jak rzecz się uda, to oczywiście p o m y ś l i m y i o tym.

To już dobrze — m y ś l ę sobie i spycham go niemiłosiernie do odwrotu.

Pan Kabareciarz wychodzi wreszcie na wpół obrażony, szermując frazesami o powołaniu, sztuce przez duże „S" i Norwidzie, który nie pisał dla pieniędzy.

Zostawia mnie w domu zdruzgotanego tym porównaniem i nieco zażenowanego.

Komunikuję więc uprzejmie, że satyryk to taki sam zawód jak inne. Też czasami śmiać się trzeba przez łzy, no i z czegoś żyć. Nie wiem, czy komunikat mój dotrze tam, gdzie trzeba.

Ano, trudno! Jestem satyrykiem.

Foto: Archiwum

ROMAN GORZELSKI

FRASZKI LITERACKIE i PRASOWE

DIALOG

— Z tych wierszy taka korzyść,
jak z grochu o ścianę.
— To nic, mam jeszcze szansę:
krytykiem zostanę!

O KRYTYCE

Skrytykował raz zając
Niedźwiedzie rzemiosło:
Nie wiedział, że tym samym
Naraził się osłom.

WYZNANIE REPORTAŻYSTY

Nie poznasz życia
Bez wódkopicia.

WARIANT LITERACKI

Nawet nawias czasem
Jest poza nawiasem.

ANALOGIE WSPÓŁCZESNE

Gdybyś nawet był Homerem,
Też cię porównają... z zerem.

KRZYKACZ

Zachowuje ciszę,
Kiedy dono.. pisze.

ANTYPRZYSŁOWIE

Panta rhei.
Pozostał Rej...

WYPISY ŁÓDZKIE (7)

Dr FILIP FRIEDMAN

NARODZINY BAŁUT

Wieś Bałuty graniczyła od niepamiętnych czasów od północy ze Starym Miastem Łodzią. Była to zawsze wioska uboga, stanowiąca aż do rozbiorów własność rodziny Karnkowskich. Karnkowscy posiadający liczne dobra nie rezydowali tutaj i w ogóle mało dbali o tę wieś, jedną z najuboższych w ich posiadłościach. Wieś pozostawiona na łasce dzierżawców lub rządców, była bardzo zaniedbana. Od roku 1682 zaprzestano w ogóle uprawy ziemi ornej w Bałutach, a w roku 1754 były pola bałuckie już prawie całe porosłe lasami. Z końcem XVIII wieku i w pierwszej połowie wieku XIX przedstawiały należące podówczas do dóbr łagiewnickich, stanowiących własność rodziny Zawiszów — obraz bardzo żałosny.

U schyłku XVIII wieku mieściły Bałuty w sobie dwór, karczmę przy rozstajnych drogach i trzy chaty chłopskie. Wieś była zatem zupełnie podupadła, gnieździły się w niej elementy niepewne, przysparzające niemało kłopotu spokojnym mieszkańcom Łodzi, skarżącym się na „złe sąsiedztwo".

Wyzyskanie tych gruntów, położonych na północ od Łodzi — dla celów budowlano-osadniczych mogło być przedsięwzięciem bardzo lukratywnym... Taka właśnie twórcza myśl zaświtała w głowach dwóch rzutkich Żydów łódzkich — Icka Bławata i Icka Birenzwajga, którzy weszli w porozumienie z właścicielem dominium Łagiewniki **Augustem Zawiszą*** i otrzymali od niego 408 mórg gruntu przy trakcie fabrycznym, celem rozparcelowania pomiędzy dzierżawców za czynszem wieczystym**).

* * *

Starając się wyciągnąć z parcelacji Bałut jak największe zyski dla siebie, obeszli Bławat i Birenzwajg zawarte z Zawiszą umowy i sprzedawali działki na prawo i lewo spekulantom, którzy odsprzedawali je z zyskiem osobom trzecim. W gorączce budowlanej, jaka powstała rychło dokoła sprawy Bałut kupowano i sprzedawano działki bez oglądania się na zastrzeżone prawa dziedzica. Skutki były dla wielu nabywców wręcz fatalne: po śmierci Augusta Zawiszy spadkobiercy wystawili Nowe Bałuty na sprzedaż. Nabyli je: jedna z córek Augusta Zawiszy i adwokat Małachowski. Nowonabywcy natychmiast wytoczyli k i l k a s e t procesów nieprawnym posiadaczom gruntów. Sprawa uzyskała w swoim czasie niebywały rozgłos. Prowadzili ją początkowo adwokat Wyrzykowski z Warszawy, a po jego śmierci znany historyk i adwokat Aleksander Kraushar. Sprawę doprowadzono wreszcie aż do IX Departamentu Senatu, który uznał w r. 1871 zaskarżone umowy kupna za podstępne i prawom Zawiszy szkodzące i unieważnił je. Dalsza seria procesów prowadzonych ponownie przez wszystkie instancje, doprowadziła do nakazu eksmisji osadników z nabytych przez nich działek. Staraniem mieszkańców Bałut udało się jednak uzyskać zmianę orzeczenia Senatu, w tym sensie, że pierwsi koloniści, którzy osiedli w Bałutach na podstawie umów zawartych jeszcze z Bławatem i Birenzwajgiem zostali zwolnieni od przedstawienia dowodów hipotecznych i mogli utrzymać się przy swych działkach, reszta osadników natomiast miała podlegać skutkom eksmisji.

Niezależnie od tej głośnej sprawy kolonizacja Bałut czyniła postępy. Liczba ludności Bałut w ciągu 50 lat doszła niemal do 100.000.

* * *

Pomimo swego szybkiego rozwoju i wybitnie miejskiego charakteru, Bałuty nadal pozostawały częścią dominium łagiewnickiego i były zależne pod względem administracyjnym od wójta gminy Radogoszcz. Odbiło się to fatalnie na rozbudowie tej dzielnicy. Ani wójt radogoski ani dominium łagiewnickie — nie dorosły do tak trudnego zadania, jakim było planowe rozbudowywanie Bałut. Nowe Bałuty nie posiadające samorządu municypalnego ani innych form współpracy z władzami rządowymi, pozostawione opiece wójta małej gminy wiejskiej, rozbudowywały się w sposób chaotyczny, urągający podstawowym zasadom nowoczesnej urbanistyki, wszelkim wymogom komunikacyjnym i gospodarczym oraz postulatom higieny. Powstanie, szerokość, kierunek, linia i zewnętrzny wygląd ulic zależne były od przypadkowych okoliczności, od widzimisię i osobistych interesów poszczególnego właściciela parcel budowlanych. Nieraz nazwy ulic również powstawały przypadkowo od nazwiska właściciela pierwszego wybudowanego domku lub właściciela parceli (np. ul. Fajfra, ul. Kielma itd.).

Ulice były niebrukowane, bez oświetlenia nocnego, bez rynsztoków. Władze miejskie łódzkie przewidując, że rosnące szybko Bałuty stać się mogą z czasem integralną częścią Łodzi, dążyły do przyłączenia ich do miasta w tym celu, aby móc wpłynąć na bardziej racjonalną rozbudowę tej dzielnicy.

Lecz wszystkie starania, Magistratu łódzkiego w tym kierunku pozostawały bez skutku. Władze rosyjskie stale odrzucały koncepcję przyłączenia Bałut do Łodzi, obawiając się, by w ten sposób nie rozszerzyła się znacznie liczba elemetu proletariackiego w Łodzi i jego baza strategiczna.

Ta polityka rządu carskiego skazywała proletariat bałucki na nędzną wegetację w ciasnych i niehigienicznych uliczkach i była zarazem przyczyną, dla której stutysięczne miasto Bałuty stanowiło aż do (pierwszej) wojny światowej pod względem administracyjnym przybudówkę małej gminy wiejskiej Radogoszcz. Dopiero w r. 1915 Bałuty przyłączono do Łodzi. Oczywiście wtedy było już za późno, by tę olbrzymią dzielnicę proletariacką przebudować i przeformować w zdrową i normalną część miasta. Po dziś dzień (dr Friedman pisał te słowa w roku 1935, przyp. mój, H. R.) krzywe i ciasne uliczki Bałut są smutnymi świadkami niezwykłej historii powstania Bałut i niezwykłej polityki rządu carskiego.

Wybrał i opracował:
HENRYK RUDNICKI

Dr Filip Friedman: „Dzieje Żydów w Łodzi, od początków osadnictwa do roku 1863" nakładem Łódzkiego Oddziału Żydowskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Polsce.

*) August Zawisza-Czarny, właściciel dominium Łagiewniki, był bratem Artura Zawiszy-Czarnego — członka Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, uczestnika Powstania Listopadowego i wyprawy J. Zaliwskiego do kraju. Ciężko ranny pod Krośniewicami Artur Zawisza dostał się do niewoli rosyjskiej. Powieszony w dniu 15.XI.1833 r. w Warszawie. Na cześć Artura Zawiszy — małą wioskę położoną na skraju lasów łagiewnickich nazwano Arturówkiem.

**) Więcej szczegółów o narodzinach Bałut znajdą PT. Czytelnicy w pracy Heleny Brodowskiej „Kształtowanie się dzielnicy Bałuty w Łodzi", zamieszczonej w tomie XV Rocznika Łódzkiego z roku 1971. Tom ten jest jeszcze dostępny w sprzedaży księgarskiej.

H.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762.

Zam. 1106, W-10